Groźne myszy i kot opiekun

MONIKA WARNEŃSKA

★ Czarna wdowa — ostatni odcinek ★ Kto tego nie przeżył... ★ Młotobij, ogniarz, falbankier... ★ Francja: kolaboracja w czasie wojny nie jest tematem tabu

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 40 (1331) ROK XXVI 1 PAŹDZIERNIKA 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

Pytania człowieka myślącego o polityce

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Nie są to — oczywiście — pytania jednego człowieka. Zetknąłem się z nimi w różnych miejscach i gronach, ale na potrzeby tego artykułu wymyśliłem człowieka, który wziął na siebie trud sformułowania i przedstawienia tych pytań i wątpliwości. Proszę zatem nie wymagać od niego, aby jednocześnie udzielił odpowiedzi na te pytania i sam rozwiał swoje i innych wątpliwości.

Proces wychodzenia z kryzysu wymaga nie tylko porządkowania gospodarki, doskonalenia metod zarządzania, wzrostu wydajności i dyscypliny pracy, poszerzania wpływu obywateli na sposoby sprawowania władzy, umacniania samorządności, ale również rozwoju samowiedzy społeczeństwa, doskonalenia teorii i ideologii jako wskaźników prawidłowości dokonujących się procesów społecznych, wyznaczników ich klasowego charakteru. Jesteśmy bowiem w trudnym okresie, w którym dzieje się wiele i człowiek myślący o polityce nie bez przyczyny zadaje pytanie: dokąd zmierzamy?

Tu niezbędne jest jeszcze jedno zastrzeżenie. Mój człowiek myślący o polityce czyni to w kategoriach socjalistycznych. Dziś wielu ludzi myśli o polityce, ale nie wszyscy myślą w podobny sposób, to znaczy celem tego myślenia nie jest to samo. On po prostu niepokoi się o przyszłość socjalizmu w Polsce i jego pytania i wątpliwości biorą się właśnie z tego. Z tego też powodu pytanie pierwsze dotyczyć musi pytania o

MIEJSCE W PROCESIE BUDOWNICTWA SOCJALISTYCZNEGO, W KTÓRYM OBECNIE ZNAJDUJEMY SIĘ

W „Uchwale VII Zjazdu PZPR" można przeczytać następujące stwierdzenie:

„W ciągu trzydziestu lat budownictwa socjalistycznego zbudowane zostały w Polsce podstawy socjalizmu... Urzeczywistniona została pomyślnie większość zadań okresu przejściowego od kapitalizmu do socjalizmu. Pozwala to Polsce wkroczyć w nowy i wyższy etap budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego".

Dziś wiemy, że nie ma mowy o budowaniu rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego i trzeba nadal zrobić wszystko, aby wyjść z kryzysu. Etapów w procesie rozwoju społecznego nie da się ani przeskoczyć, ani przyspieszyć. Praktyka odrzuca tego typu próby i zamiary. Ale dla skuteczności praktycznych rozwiązań niezbędna jest świadomość miejsca w procesie historycznego rozwoju. Stąd pytanie, czy stwierdzenie, że zbudowaliśmy już podstawy socjalizmu w Polsce jest zasadne czy nie?

Odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa. W zasadzie wszystko rozbija się o stan naszego rolnictwa i dominującą tam prywatną formę własności środków produkcji. Teoretycy zadają tu bowiem pytanie pomocnicze: czy dla zbudowania socjalizmu niezbędne jest uspołecznienie środków produkcji w rolnictwie? Ale teoretycy nie są do końca zgodni. Jedni mówią, że tak, inni, że może występować w rolnictwie mozaika własności: prywatna spółdzielcza i państwowa. Ważny jest natomiast kierunek dokonujących się przemian. Ale u nas i ten kierunek budzi raczej wątpliwości niż nadzieje.

Pytanie o kierunek rozwoju form własności w naszym rolnictwie nie jest li tylko teoretyczne i wcale nie wynika z troski o czystość „dogmatów naukowego socjalizmu". Powód jest

3

W dobrej orkiestrze wszystko musi być dobre

Foto: Andrzej Biedroński

JERZY MAKSYMIUK — dyrygent (kompozytor, pianista) — jeden z najwybitniejszych przedstawicieli polskiego świata muzycznego. Występuje przede wszystkim jako dyrygent. Dyryguje gościnnie w wielu krajach. Jest twórcą i dyrektorem Polskiej Orkiestry Kameralnej. Zespół ten koncertował już we wszystkich prawie krajach Europy, w USA, Kanadzie, Japonii i Australii.

— Kieruje pan znanym w kraju i na świecie zespołem muzycznym. Co wynika z tego faktu?

— Z tego wynika dużo i wciąż jeszcze niewiele. Dla mnie i ludzi pracujących w zespole jest ważne, że nas zauważają — zarówno publiczność, krytyka muzyczna, jak i instytucje upowszechniające muzykę. To daje nam satysfakcję i mobilizuje do dalszych, twórczych poszukiwań. Chciałoby się, aby polska kultura muzyczna egzystowała w stopniu większym niż to jest naprawdę.

— Ponad dwadzieścia nagrań płytowych, dokonanych przez waszą orkiestrę i już wydanych — to nie jest mało.

— Być może dla naszej orkiestry nagrania te znaczą wiele. Jednak nie zmienia to faktu nie największej naszej obecności muzycznej w świecie.

— Krajowe środki masowego przekazu często informują nas o licznych sukcesach odnoszonych w świecie przez naszych artystów.

— Patrząc z kraju, wydaje nam się, że nasza kultura jest znana szeroko poza krajem i jej obecność jest tam normalnym i prawie powszechnym zjawiskiem. Tak jednak nie jest zupełnie. Ta znajomość ogranicza się do niezbyt wielu nazwisk, które w plejadzie znakomitości światowych niezbyt już są widoczne dla szerszego grona zainteresowanych.

— Czym w życiu pana jest muzyka?

— W każdym momencie życia czymś innym. Muzyka jest dla mnie zjawiskiem bardzo dynamicznym; jednocześnie tak wielkim i bogatym, że nie sposób dać tu jakiegoś jednoznacznego określenia.

— Co — zdaniem pana — ma wpływ na powstanie znaczącej interpretacji muzycznej?

— Realizacje znaczące powstają niekiedy nie z aprobaty dla utworu, tylko z gniewu. Nie zawsze fascynacja jest bodźcem twórczym dającym dobry i oryginany wy-

10

Dawno, dawno temu...

— Dawno, dawno temu żyła pewna mysz sprzymierzona z siłami nieczystymi. Śmierć jej się nie imała. Nie schwytał jej nigdy żaden ptak drapieżny, nie wpadła w łapy kota. Mieszkała od kilku wieków w dziupli na wpół spróchniałego, podobno tysiącletniego drzewa. Z czasem przeistoczyła się w demona, który wedle własnej woli albo przybierał postać myszy, albo przeobrażał się w młodego chłopca lub kiedy indziej w urodziwą dziewczynę. I zawsze w każdym swoim kolejnym wcieleniu mysz-demon przywabiała ludzi odmiennej płci. Była dla nich bardzo niebezpieczna: wysysała bowiem krew ze swoich ofiar. Na wpół zmurszałe drzewo, w którym ta niebezpieczna mysz miała swą norę, tkwiło na uroczysku za wioską, gdzie mieszkał zubożały mandaryn w dość podeszłym już wieku. Miał jedynego syna, którego wyprawił do szkół w dalekim mieście. Ów młody człowiek pokochał córkę sąsiadów, dziewczyna zaś odwzajemniła jego uczucie. Rodzice osamotnieni po wyjeździe jedynaka pragnęli mieć pod swoim dachem synową, licząc, że doczekają się niebawem wnuków. Kiedy więc syn pokonał pierwsze szczeble prowadzące do wiedzy, ojciec wezwał go pod dach rodzinnego domu, aby wyprawić obojgu młodym wesele.

Ale po kilkunastu dniach niedawno ożeniony młodzieniec musiał wrócić na dłuższy czas do miasta, gdzie czekał go dalszy ciąg nauki. Rozłąka była bolesna, lecz nieunikniona. Młoda kobieta ocierała ukradkiem łzy. Pojmowała wszakże, iż tak być musi: jej mąż powinien przecież przejść studia aż do końca i uwieńczyć naukę chlubnie zdanym egzaminem. Droga z wioski do miasta była daleka. Na częste przyjazdy męża nie mogła więc liczyć. Oboje przed rozstaniem poprzysięgli sobie wzajemną miłość i wierność.

Po kilku tygodniach młoda kobieta, która jak zwyczaj każe, mieszkała u teściów, ułożywszy się do snu w swojej izdebce, usłyszała pukanie do drzwi tak ciche i ostrożne, jak gdyby ktoś do nich skrobał. Zapaliła kaganek. Jakież było jej zdumienie i radość, gdy zobaczyła, że to jej mąż zjawił się nieoczekiwanie. — Wróciłeś? — spytała przejęta i ucieszona. Przybysz położył palec na ustach z ostrzegawczym: — Cyt! — Nie mów nikomu, że tu jestem — dodał, zrzucając płaszcz. — Lepiej przemilczeć to wobec moich rodziców. Na pewno bowiem gniewaliby się na mnie, że wpadłem tutaj bez ich wiedzy. A ja tak stęskniłem się za tobą, że pożyczyłem konia od przyjaciela, cwałowałem przez cały dzień — i oto jestem!

Młoda kobieta skwapliwie zdmuchnęła lampkę. Mąż wyciągnął ku niej ramiona i oboje kochali się zapamiętale, aż do chwili, kiedy powtórne już pianie kogutów oznajmiło bliski świt. Przybysz zerwał się wtedy z łoża i sięgnął po odzież.

— Czas na mnie, najmilsza! — rzekł — Muszę już wracać. Pamiętaj — nikomu ani słowa!

— Nikomu! — powtórzyła jak echo jego żona. I dotrzymała obietnicy. Nie wyjawiła teściom potajemnych odwiedzin męża, które powtórzyły się jeszcze parokrotnie. Za każdym razem młody człowiek z naciskiem przestrzegał żonę, że powinna oszczędzić mu przykrości i wyrzutów ze strony rodziców. Zapewniał równocześnie, że bez niej istnieć nie może — i że za każdym razem, odjeżdżając pod osłoną nocy, żyje nadzieją ponownego spotkania.

9

Przegląd prasy

Złośliwcy twierdzą, że polityki kulturalnej to nie mieliśmy nigdy, raczej tylko doraźne działania, kiedy błędy i taktyka przesłaniały cele. Złośliwcy zawsze przesadzają, co jednak nie zmienia istoty rzeczy, że potrzeba nam dalekosiężnej, mądrej polityki kulturalnej, jak i to, że coś takiego próbuje się robić, a to nie jest ani łatwe, ani nie pojawi się tak z dnia na dzień. „ŻYCIE LITERACKIE" (nr 39 z 25 września 1983 r.) opublikowało artykuł Witolda Nawrockiego pod znamiennym tytułem: *„Sytuacja intelektualisty w Polsce"*. Artykuł ten opatrzono dwoma dodatkowymi informacjami: *„Przed XIII Plenum KC PZPR"* i *„Fragmenty referatu „O niektórych problemach polityki kulturalnej"* Jest więc to jakby

ZARYS NAJWAŻNIEJSZYCH PROBLEMÓW POLITYKI KULTURALNEJ

„Kultura — pisze Witold Nawrocki — to świat właściwych jej idei; interes klasy robotniczej wymaga, by służyła ona przede wszystkim materialistycznemu rozumieniu świata, by go racjonalizowała, a nie mistyfikowała, by opowiadała się za rewolucyjnym jego przekształcaniem. Nie alienacja, ale walka o przezwyciężenie jej skutków jest problemem epoki, nie paseizm, ale aktywizm i nie elitaryzm, ale masowość rozstrzygają o zawartości i rozwoju kultury."

Dalej wylicza Witold Nawrocki te kierunki, które muszą występować w polityce kulturalnej partii, a które wynikają z walki ideologicznej. A więc przede wszystkim:

— polemika z totalną negacją dorobku kultury PRL,

— przeciwstawianie się hierarchii wartości *„opartymi na stosowaniu kategorii prestiżów politycznych, a nie ocenach artystycznie i metodologicznie weryfikowalnych"*,

— walka z *„pomostowym"* charakterem kultury polskiej, jako *„półprzewodnika"* prądów kulturalnych z Zachodu na Wschód,

— *„walka z tezą o chrześcijańskim i przede wszystkim katolickim rodowodzie kultury polskiej, sprzeczna z jej prehistorycznym reliktowym przekazem oraz antyklerykalną, racjonalistyczną i lewicową tradycją polskiej inteligencji budującej najbardziej istotne zręby kultury polskiej"*

— walka z antysocjalistycznym nurtem w kulturze polskiej.

— gwarancja pełnej suwerenności kultury polskiej, mającej związki z tym wszystkim, co na świecie nie jest wrogie socjalizmowi.

— rozwój autentycznych, twórczych środowisk.

— rozszerzenie społecznego zarządzania kulturą.

Kultura jest pojęciem dość szerokim i często u nas ostatnio używanym. Mówi się więc nie tylko o kulturze rozumianej jako rezultat działalności twórczej, ale też i o kulturze życia codziennego, kulturze politycznej, o dobrych obyczajach, które też składają się na ogólny obraz poziomu kultury społeczeństwa. Częścią tej kultury jest

SZACUNEK DLA UCZUĆ RELIGIJNYCH

Niewykorzystywanie ich do walki politycznej. Problem ten porusza w „PERSPEKTYWACH" (nr 38 z 23 września 1983 r.) Ryszard Świerkowski w artykule pt. *„Więcej niż podszepty"*. Przypomina niektóre myśli wyrażone przez Stefana Wilkanowicza w „Tygodniku Powszechnym" (nr 37 z 11 września 1983 r.), gdzie znajduje się m.in. następujące stwierdzenie: *„Nie musimy udawać, że nauczanie Ojca Św. nie ma politycznych konsekwencji, powinniśmy natomiast umieć pokazać jego pełne polityczne wymiary i to zarówno w uniwersalnym, jak i lokalnym zasięgu"*.

Ryszard Świerkowski pisze więc:

„A jak w lokalnym zasięgu" i na swój sposób można interpretować podobnego typu uzasadnienie, pokazali gospodarze kościoła św. Brygidy w Gdańsku. Proszę spojrzeć na zamieszczone tu zdjęcie obrazu usytuowanego w tymże kościele (zdjęcie to reprodukujemy — przyp. L. B.): *Matka Boska z rozwidlonymi palcami w kształcie litery, na jaką nie zaczyna się żadne polskie słowo, ubrana w koszulkę z napisem „Solidarność"...*

Czy służą dialogowi i pojednaniu ekspozycje o charakterze politycznym w miejscu kultu religijnego?... Czy godzi się wykorzystywać głęboki w Polsce kult Matki Boskiej dla kabotyńskiego pomysłu „ozdabiania" tej postaci nazwą byłej organizacji o charakterze opozycyjnym? Czy wreszcie — autorzy takich ekspozycji nie zdają sobie sprawy, że dla wielu ludzi wierzących uprawianie polityki w miejscach przeznaczonych na modlitwę i

skupienie jest obrażeniem ich uczuć religijnych, a tandetne dekorowanie symboli religijnych tego typu rekwizytami może być odebrane jako profanacja? Kto odpowie na takie pytania?"

I jeszcze R. Świerkowski przypomina, że prymas Polski kardynał Józef Glemp w sierpniu 1982 roku gest *„podniesionej ręki i rozwidlonych palców"* ocenił negatywnie, mówiąc, że *„ten znak nie jest kościelny, nie jest religijny"* Wielu ludzi usiłuje jednak stworzyć takie fakty, aby postawić Kościół w opozycji do państwa socjalistycznego, a to przecież nie leży ani w interesie Kościoła, ani państwa, ani społeczeństwa.

„PRZEGLĄD TECHNICZNY", który bardzo się ostatnio zmienił, rozpoczął w 34 numerze druk fragmentów znanego — ale przede wszystkim z opowiadań i cytatów, a warto byłoby, aby również z edycji książkowej, nadszedł już chyba czas — reportażu

MELCHIORA WAŃKOWICZA „SZTAFETA"

Ostatni numer „Przeglądu Technicznego" (nr 35 z 28 sierpnia 1983 r.) przynosi rozdział tego reportażu pt. *„Opona z kartofla"*. Opowiada w nim autor dzieje kauczuku, którego rozwój motoryzacji uczynił niebywale poszukiwanym. Ale kauczuk — jak wiadomo — rośnie w tropikalnym lesie i nawet zakładanie plantacji kauczukowych niewiele pomaga, bo drzewo musi dorosnąć do swego wieku, aby zaczęło dawać tak poszukiwaną żywicę. Zaczęto więc poszukiwać kauczuku syntetycznego. Niemcy wymyślili *„butę"*. *„W 1938 r. Niemcy wyprodukują 25 tysięcy ton buny"* — pisze M. Wańkowicz. Produkcja syntetycznego kauczuku postępowała szybko również w ZSRR. *„...jeszcze w 1934 r. ogólna produkcja Rosji nie przynosiła 7 000 ton. Natomiast w 1935 r. wyprodukowano już 25 000 ton i przypuszczać należy, że cyfry 35 000 planowane na 1936 r. i 70 000 ton planowane na 1937 r. mogły być osiągnięte, skoro już raz produkcja techniczna została założona, a problemat jest dla Sowietów sprawą wagi pierwszorzędnej"*. W Związku Radzieckim sztuczny kauczuk produkowano wykorzystując jako surowiec ropę naftową.

„Kauczuk — pisze M. Wańkowicz — *można produkować z węgla, z gazów ziemnych i z setek innych surowców. Myśmy zdecydowali się wyrabiać kauczuk z ziemniaków...*

Wydajność przeciętnego hektara ziemniaków wynosi w Polsce 120 q (w Niemczech 170 q). Ze 120 q otrzymamy 1 200 litrów spirytusu tzn. 200 kg kauczuku sztucznego. Ostatecznie — można powiedzieć, że zależnie od wielkości, z hektara ziemniaków otrzymamy 10 do 30 opon samochodowych."

„Sztafeta" Melchiora Wańkowicza była kiedyś wydarzeniem, próbą ukazania drogi, na jaką wkraczała Polska ostatnich lat przed wojną. Dziś jest to raport o naszej niedalekiej przeszłości. Ostatnio na ten temat mamy coraz więcej mitów. Dzieli nas od tamtych czasów zaledwie pół wieku, wydawałoby się czas tak niedaleki, znajomość realiów powinna być znaczna, a tymczasem jest wręcz odwrotnie. Jest to okres, o którym zaczynają tworzyć się mity. Dlatego „Sztafeta" Melchiora Wańkowicza pozwoli wiele z tych mitów rozwiać, spojrzeć oczyma reportera, dokładnie sprawdzającego serwowane mu informacje i opinie, na tak niedawną historię naszej gospodarki.

LUCJAN BOGUSZ

Minął tydzień

TO BYŁO 44 LATA TEMU

Z inicjatywy Tymczasowej Rady Wojewódzkiej PRON odbyło się w Łodzi konwersatorium historyczne poświęcone wojnie obronnej 1939 roku. O sytuacji międzynarodowej Polski we wrześniu 1939 roku mówił dr Bogusław Rakowski z Instytutu Historii UŁ, a przebieg kampanii wrześniowej na Ziemi Łódzkiej przedstawił płk dr Jan Powała z Centrum Szkolenia Oficerów Politycznych w Łodzi.

Wspomnieniami z okresu walk na Ziemi Łódzkiej we wrześniu 1939 roku podzielili się uczestnicy tych walk, byli żołnierze Wojska Polskiego: mjr rez. Lucjan Zieliński oraz Jerzy Wieczorek.

Konwersatorium historyczne PRON odbyło się w Muzeum Historii Miasta Łodzi.

KSIĘGARNIA „WSPÓŁCZESNA" W BYDGOSZCZY

Wieść o tej księgarni szeroko już obiegła Polskę, a to między innymi dzięki organizowanym swego czasu dniom książki poszukiwanej. Naszemu przedstawicielowi udało się obejrzeć bydgoską księgarnię „Współczesną" i musi przyznać ze skruchą, że podobnej nie ma w Łodzi. Bydgoscy księgarze utrzymują, że podobnej nie ma w... kraju.

Bydgoska księgarnia „Współczesna" posiada stale duży wybór książek. Organizowane są w księgarni spotkania z autorami poczytnych książek. Posiada ona telewizję przemysłową, jest zradiofonizowana i zmechanizowana. Transport książek z magazynu znajdującego się w pewnej odległości od samej księgarni odbywa się przy pomocy transporterów. Księgarnia dysponuje podręcznym warsztatem mechanicznym niezbędnym do wykonywania różnych plansz i plakatów reklamowych oraz oprawy wystaw. Zespół księgarni składa się z 30 osób. Księgarnia wyposażona została w bardzo dobre zaplecze socjalne.

WE WŁOCŁAWKU

oddano niedawno do użytku nową księgarnię „Pod arkadami". Jest to księgarnia naukowo-techniczna. Dysponuje ona nowoczesnym wyposażeniem zarówno handlowym, jak i socjalnym. Zatrudnia 7 osób i cieszy się dużą popularnością w mieście.

NIEBEZPIECZNE SKUTKI DAWNYCH ZABAW

Reporterowi „Dziennika Łódzkiego" zwierzył się jeden z łodzian, że wiosną 1945 roku zabawiał się z rówieśnikami „rozbrajaniem" pocisków artyleryjskich i wyrzucaniem ich części do pobliskiego rowu. Pociski naładowane dynamitem wraz z zapalnikami przeleżały w rowie do naszych czasów i obecnie przy budowie wiaduktu na Karolewskiej zostały znalezione. Jak do tej pory obyło się bez wypadku. Ale skutek tej zabawy będzie taki, że specjaliści będą musieli w najbliższym czasie zbadać pas ziemi o szerokości 6 metrów i długości 70 metrów.

Gdyby owi młodzieńcy wiedzieli przed 38 laty, jakie skutki wywoła ich zabawa, może znaleźliby sobie inny sposób spędzenia wolnego czasu, którego im wówczas nie brakowało. Ale tak to już bywa, że na ogół brakuje nam wyobraźni, aby przewidzieć jakie skutki wywoła nasze działanie.

ZAWSZE JESTEŚMY GOTOWI

— twierdzą drogowcy, cieciowie, energetycy i wszyscy inni, od pracy których zależy funkcjonowanie miasta zimą. Później okazuje się, że do zimy owszem wszyscy byli przygotowani, ale zima ich zaskoczyła, bo przyszła w grudniu, a oni myśleli, że w tym roku będzie nadzwyczaj łagodna i przyjdzie dopiero w... lutym.

Ostatnio „Głos Robotniczy" przyniósł wypowiedzi pracowników gospodarki komunalnej o ich przygotowaniu do zimy pod optymistycznym tytułem: **„Dobry stan przygotowań do sezonu ogrzewczego"** Aliści w odredakcyjnym komentarzu pisze się: **„Optymizmem napawają relacje naszych reporterów, choć tu i ówdzie w cytowanych wypowiedziach wyczuć można pojawiające się wątpliwości i obawy... Oby tylko w momencie rozpoczęcia ogrzewania naszych mieszkań nie pojawiły się awarie będące prawdziwym utrapieniem zarówno dla obsługi urządzeń c.o., jak i mieszkańców „zimnych" osiedli".**

Ano, właśnie!

JAK ROZWIĄZAĆ PROBLEM KAPSLI?

Od dawna wiadomo, że surowce wtórne to wielkie bogactwo, którego nie potrafimy należycie wykorzystać. Inaczej postępują kraje wysoko rozwinięte przemysłowo. Jakoś uporaliśmy się z butelkami, choć może jeszcze nie do końca. Być może rozwiążemy „problem słoików", natomiast całkowite fiasko spotkało pomysł z kapslami.

A pomysł był prosty. I w sklepach i w domach zbieramy kapsle do pudełek, a później oddajemy do składnicy złomu i tak odzyskujemy cenny surowiec wtórny. I wszystko byłoby pięknie, gdyby nie... transport. Jak donosi „Express Wieczorny" w Warszawie kapsle ze składów miały zabierać samochody WSS, **„ale szło opornie"**, więc **„sklepy zaczęły wyrzucać zgromadzone kapsle na śmietnik i tak się skończyło"**. „Express Wieczorny" proponował ze swej strony, aby zgromadzone kapsle zabierały samochody MPO. Na wysypiskach są punkty skupu, załogi samochodów MPO zbierają do worków złom, makulaturę i butelki, mogłyby też zabierać pudełka z kapslami i sprzedawać je na wysypiskach, skoro nie ma innego sposobu dostarczenia kapsli do punktów skupu złomu. Ale ludzie zaprotestowali, że nie po to zbierają kapsle, aby... wyrzucać je na śmietnik. Więc teraz kapsli nie zbierają, ale... wprost wyrzucają do koszy ze śmieciami.

Czy my już naprawdę nie potrafimy rozwiązywać spraw najprostszych?

NAJGORSZY JEST BRAK KONSEKWENCJI

Ledwie padły zapewnienia, że do końca roku nie będzie żadnych podwyżek żywności, a już podniesiono ceny chałek ozdobnych, bo to niby jest **„wyrób półcukierniczy"**. I nieważne jest, że akurat cenę podniesiono przed zapewnieniem, że nie będzie podwyżki cen. Nieważne też, że kalkulacja tak nakazuje producentowi. Ważne jest, że ludzie robią z tego problem i podchodzą do wszelkich zapewnień w sposób nieufny.

— A, bo to chałka nie jest artykułem spożywczym? — pytają nie bez racji.

Wzrost cen jest nieuchronny i ludzie gotowi są to zrozumieć choć z trudem, ale nie wybaczą braku konsekwencji i rzucania słów na wiatr.

Z KOMUNIKACJĄ MIEJSKĄ CORAZ GORZEJ

Z listu do redakcji:

„Wróciłem kilka dni temu do Łodzi. Chciałem się dostać z dworca Kaliskiego na Chojny. Czekałem więc spokojnie na autobus „52". Po 20 minutach udałem się na przystanek autobusu pośpiesznego „F", sądząc, że pojadę nim szybciej do Al. Kościuszki i dalej autobusem „A" i jeszcze dalej tramwajem. Był to pomysł iście szalony. Na autobus „F" czekałem kolejne 20 minut. Na autobus „A" dalszych 30 minut. Razem: 70 minut. Najszybciej poszło z tramwajem. A może od Kaliskiego trzeba było jechać tylko tramwajami? Wobec tego, po co autobusy nazywają się pośpieszne?".

My też się nad tym zastanawiamy!

DWIE KOLEJKI DO JEDNEGO SKLEPU

Okazało się, że do sklepu z oponami uformowały się dwie kolejki. Jedna już w 1982 roku, druga zaledwie przed kilkoma tygodniami. Obie uważają, że tylko one są słuszne. Między tymi kolejkami toczy się nie tylko spór o słuszność, ale też i walka na pięści. Musiała interweniować milicja.

I nie to byłoby takie dziwne. W końcu stanie w kolejce, społeczne komitety kolejkowe, sprawdzanie obecności kolejkowiczów, nocne dyżury, stały się już kolejkową codziennością. Ale — jak doniósł „Express Ilustrowany" jedna z kolejek po opony ma... swego rzecznika prasowego. Oto jest znamię czasu!

OGŁOSZENIA

Pierwsze pochodzi z „Dziennika Łódzkiego". Jego rozmiary: wysokość 18 cm, szerokość 11 cm. Na tym białym polu u dołu napis zajmuje tylko 2,5 cm wysokości. Reszta jest niepokalanie biała, jeśli papier gazetowy może być niepokalanie biały. Tekst ogłoszenia: **„Prywatna Agencja Turystyczna „Atlas" Łódź...".** Gdyby nie to puste pole mało kto zwróciłby uwagę na ogłoszenie Agencji „Atlas".

Zwróciła na nie uwagę też Łódzka TV i... ogłosiła konkurs dla dzieci. Dzieci mają na tym pustym polu coś narysować i przysłać do telewizji. Tam obejrzą i dadzą nagrody. Piękny to pomysł i reklama dla Agencji „Atlas". Agencja „Atlas" kupiła pomysł i też ufundowała nagrodę. To się nazywa reklama.

Drugie — a właściwie ich kilka — pochodzą z „Życia Warszawy". Są one podobne. Oto wzór: **„Autonaprawa u klienta..."** albo **„Autoelektromechanika u klienta..."**. I następuje numer telefonu. Rzemieślnicy posiadający warsztaty nazywają takie usługi „warsztatami w teczce". Taki fachowiec naprawiający samochód **„u klienta"** przyjeżdża własnym wozem, ma w torbie narzędzia i bierze się do naprawy. Jest to groźna konkurencja dla rzemieślników „osiadłych", gdyż raz, że odbiera im klientów, a dwa, że pozwala *„rzemieślnikom z teczkami" szybko dorabiać się* warsztatów, czyli startować bez kapitału niezbędnego dla otworzenia warsztatu. Wystarczą jedynie same uprawnienia oraz telefon.

Ile można wyczytać z prostych ogłoszeń! Samo życie.

CIEKAWOSTKA WYDAWNICZA

Otrzymaliśmy miniaturowe wydanie „Opowieści najkrótszych" Władysława Grzeszczyka, numer egzemplarza 021 z autografem autora, a także prośbą o cytowanie. Ciekawostka polega na tym że „Opowieści najkrótsze" ukazały się w Olsztynie, nakładem autora. Nakład: 1000 egzemplarzy. Cena: 50 zł.

Spełniamy prośbę. Oto cytaty:

„Najtrudniej pozbyć się strasznych złudzeń"

„Czasem łatwiej ruszyć drogę niż drogowskaz".

„Półprawda — to więcej niż całe kłamstwo".

Ewentualne dalsze cytaty przy innej okazji.

DO DAKARU I DO ŁODZI

Z redakcyjnej poczty:

„Mój znajomy powrócił niedawno z Afryki — pisze Łukasz C. — *Był między innymi w Dakarze, stolicy Senegalu, i opowiadał, że można tam dostać wszystkie ważniejsze gazety świata tylko z jednodniowym opóźnieniem, czyli nazajutrz. Dakar leży na zachodnim wybrzeżu Afryki. Jest chyba najdalej wysuniętym punktem Afryki na zachód. Jest to mniej więcej 15 stopień szerokości geograficznej, półkula północna. Dla Europejczyka jest to już gorąca Afryka. Ciągle tajemnicza i w gruncie rzeczy mało znana. I proszę, wszystkie ważniejsze gazety z jednodniowym opóźnieniem.*

Tak się złożyło, że był mi potrzebny bieżący numer tygodnika wychodzącego w Bydgoszczy — „Faktów". Ukazuje się on w kioskach Bydgoszczy w czwartek. Z Bydgoszczy do Łodzi kolej jest 200 km. I „Fakty" docierają do łódzkich kiosków dopiero w... poniedziałek.

Jak to się dzieje? Jak to możliwe, aby z Nowego Jorku, Moskwy, Londynu, Paryża, Tokio, Pekinu do Dakaru w Zachodniej Afryce było bliżej niż z Łodzi do Bydgoszczy?"

My się też nad tym zastanawiamy.

A. B. SEKATOR

W najbliższych numerach:

- NA KRESZCZATIKU DOJRZEWAJĄ KASZTANY — KORESPONDENCJA Z KIJOWA
- POLSKA GWIAZDA W AMERYCE — ROZMOWA Z IRENĄ JAROCKĄ
- „JESTEM NIEWINNY..." — CIĄG DALSZY PIOTRKOWSKIEJ AFERY MIESZKANIOWEJ
- NIE TYLKO MONOLOG NOWAKOWEJ — O ROBOTNICZEJ EGZYSTENCJI BEZ UPIĘKSZEŃ
- APOKALIPSA WEDŁUG ŚW. KRZYSZTOFA
- IRAN — KRAJOBRAZ PO REWOLUCJI
- JAK ROZWIĄZAĆ ROZWIĄZANE? — O SYTUACJI PLASTYKI

Dokończenie ze strony 1

zupełnie inny. Po pierwsze — różnica form dominujących w przemyśle i rolnictwie rodzi sprzeczności, które bez wątpienia mają również wpływ na występujące u nas kryzysy. Po drugie — robotnicy są w swojej większości zaniepokojeni umacnianiem się własności prywatnej w rolnictwie, słabościami występującymi jeszcze w pracy sektora spółdzielczego i państwowego w tej dziedzinie gospodarki, gdyż może to zagrażać ich klasowym interesom. Po trzecie, — powoduje to zagrożenie dla sojuszu robotniczo-chłopskiego, rozluźnia go, a niekiedy wręcz rodzi konflikty między robotnikami i chłopami. W tej sytuacji staje się niezbędnym wyjaśnienie, na czym dziś polega istota tego sojuszu, jakie on dziś zawiera treści i jakie są niezbędne działania, dla umacniania tego sojuszu tak ze strony wsi, jak i miasta. Pomocną w zrozumieniu istoty sojuszu robotniczo-chłopskiego w naszych warunkach ma być „Deklaracja ideowo-programowa PZPR", która ma być wreszcie przyjęta na XIII Plenum KC PZPR.

Wszakże pytanie o to, czy zbudowaliśmy już w Polsce podstawy socjalizmu, czy też ciągle jeszcze znajdujemy się w okresie przejściowym między kapitalizmem i socjalizmem, pozostaje nadal otwarte. Wszystko wskazuje raczej na to, że nadal znajdujemy się w okresie przejściowym, ale też warto byłoby znaleźć odpowiedź na pytanie o miejsce w tym okresie, czyli o aktualny etap w procesie naszego rozwoju społecznego, bo to pozwoli precyzyjnie określić cele, jakie są niezbędne do zrealizowania na danym etapie, aby było możliwe przejście do następnego.

Pytanie o etapy w rozwoju społecznym nie jest znów tylko pytaniem teoretycznym, ale ma ogromne znaczenie praktyczne, pozwala bowiem określać cele niezbędne do osiągania w budownictwie socjalistycznym oraz unikać błędów w kierowaniu tym procesem. Zadanie to spoczywa na partii. A partia, dla spełniania tego zadania, musi kierować się marksizmem-leninizmem, nie może unikać rozwijania i wzbogacania teorii naukowego socjalizmu, socjalistycznej ideologii. Świadomość, że o powodzeniu w wychodzeniu z kryzysu decydują przede wszystkim pomyślne rozwiązania, jakie się osiągnie w gospodarce, nie zwalnia z jednoczesnego rozwijania i doskonalenia teorii. A w tej dziedzinie mamy poważne niedostatki, chociaż rozumiemy, że bez właściwego rozwoju teorii nie potrafimy ani określić perspektywicznych celów, ani prawidłowo ich zrealizować, ciągle będziemy skazani na doraźne działania.

Przeżywamy obecnie coś w rodzaju „leninowskiego NEP-u", czyli nowej polityki ekonomicznej ogłoszonej swego czasu przez Włodzimierza Lenina, mimo pełnej świadomości, że *„nowa polityka ekonomiczna oznacza (...) krok w kierunku przywrócenia w znacznej mierze kapitalizmu"*, bowiem na gruncie *„wolnego handlu musi rozwijać się kapitalizm"*. Włodzimierz Lenin zastrzegał przy tym, że *„żadnego z haseł, których nauczyliśmy się wczoraj, nie zapomnimy"*, co było zapewnieniem, że Rosja nie zejdzie z rewolucyjnej drogi, ale jednocześnie Włodzimierz Lenin zdawał sobie sprawę, że wszystko zależy od tego, *„kto szybciej wykorzysta tę nową sytuację"*. Nie można się więc dziwić, że nasz człowiek myślący o polityce pyta też o to,

CZY W POLSCE ODRADZA SIĘ KAPITALIZM?

Zaniepokojony jest bowiem między innymi tym, że na przykład niektóre firmy polonijne zatrudniają przeszło 500 robotników, że na przykład w ostrołęckim pojawiły się prywatne punkty usług dla rolnictwa, dysponujące maszynami rolniczymi i zajmujące się tylko wykonywaniem robót polowych u rolników tymi maszynami. Niepokoi go fakt gwałtownego rozwoju handlu prywatnego, który nie zawsze zajmuje się tylko sprzedażą, ale też niekiedy — nie zawsze zgodnie z przepisami — zajmuje się produkcją. Niepokoi go bowiem gwałtowne bogacenie się nielicznej grupy ludzi, którzy robią doskonałe interesy na kryzysie, podczas gdy cały ciężar kryzysu spada na barki ludzi pracy, a przede wszystkim klasy robotniczej. Czuje ona w tym zagrożenie dla swoich klasowych interesów.

Politycy wprawdzie mówią, że nie ma mowy o odradzaniu się kapitalizmu w Polsce, ale ludzi niepokoi niezbyt skuteczna polityka fiskalna, która nie stanowi dostatecznie silnej tamy dla pieniędzy płynących do prywatnych kieszeni bardzo wąskiej grupy ludzi dorabiających się na kryzysie i zbijających fortuny. W NRD na przykład jest również sektor prywatny, dobrze prosperujący od lat, a nie budzi to żadnych zastrzeżeń tamtejszych robotników. Nasi specjaliści mają się w związku z tym wybrać do NRD, aby poznać mechanizmy kontroli tego sektora, ale to nie zwolni teoretyków i polityków od precyzyjnego określenia miejsca i roli prywatnej własności środków produkcji, rzemiosła i handlu w procesie dalszego budownictwa socjalistycznego. Słusznie bowiem napisał w „Tu i Teraz" Stanisław Kwiatkowski, że *„problemem do rozwiązania jest wprzęgnięcie kapitału prywatnego w rozwój socjalistycznych stosunków produkcji. Znalezienie efektywnych form ewidencji i kontroli nadmiernego bogacenia się drobnomieszczaństwa i drobnej burżuazji"*. Są przecież dylematy okresu przejściowego. Stają one jednak zarówno przed praktykami, jak i przed ideologami.

W dużym stopniu dotyczy to również reformy gospodarczej, która jednocześnie budzi i nadzieje, i obawy, której powodzenie zależy od przełamania starych nawyków, stereotypów, a więc również od pracy ideologów, od wyjaśniania cierpliwego i skutecznego wszelkich trudności, z jakimi spotyka się realizacja reformy gospodarczej i jakie będzie jeszcze napotykała. Ale to osobny temat, od którego człowiek myślący o polityce uciekać nie może. Musi on bowiem pamiętać o jedności polityki, gospodarki i ideologii, o ich wzajemnych powiązaniach, uwarunkowaniach, o dialektyce rządzącej prawami ich rozwoju.

Człowiek myślący o polityce nie zapomina, że gdy na jakieś pytania nie pada odpowiedź z oczekiwanych kół, czyli z właściwej strony, to chętnie inni podsuwają różne odpowiedzi, przeważnie niewłaściwe i mącące w głowach. Oto wspomniany już Stanisław Kwiatkowski napisał w „Tu i Teraz":

„W sferze ideologicznej, przy zastoju i bezradności w środowiskach marksistowskich — zdezorientowanych i podzielonych — zwiększają swoje wpływy konkurencyjne orientacje światopoglądowe. Największy kapitał ideologiczny wynosi z kryzysu Kościół. Katolicyzm aspiruje do doktrynalnej alternatywy socjalizmu naukowego".

Człowiek myślący o polityce widzi to i dlatego pyta o

STOSUNEK DO KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO

choć powinien pytać o stosunek do religii w ogóle i do kościołów. Ale on wie, że w Polsce, mimo że występuje wiele różnych kościołów, to przeważające wpływy ma Kościół katolicki. Pamięta on, że w „Uchwale IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR" znalazło się następujące stwierdzenie:

„Partia przyjmuje w swe szeregi także wierzących ludzi pracy. Umożliwia im działalność polityczną w myśl zasad swego programu, opowiada się jako całość za światopoglądem naukowym oraz prowadzi w tym duchu działalność edukacyjną i wychowawczą".

Rozumie, że Kościół w Polsce jest też zróżnicowany i podzielony, ale widzi, że wobec słabości oddziaływania wychowawczego partii jej członkowie nie zawsze potrafią dokonać właściwego wyboru, że często chcą być aktywistami i w partii, i w Kościele, co nie jest do pogodzenia. Zdaje sobie sprawę z tego, że partia na XII Plenum KC PZPR powiedziała niemal już wszystko o swoim i państwa stosunku do Kościoła, ale przecież nadal oczekuje, że partia zajmie jasno określone stanowisko wobec politycznej działalności części kleru. Bywa przecież i tak, że ksiądz organizuje w mieście ludzi do budowy wodociągu, ale bywa i tak, że wszelkie demonstracje antypaństwowe wychodzą z kościoła lub pod kościołem się rozpoczynają. Bywa i tak, że księża nawołują do spokoju, ale i bywa, że zachęcają do demonstracji. Są wśród katolików zwolennicy współdziałania przy budowie silnego kraju, umacniania socjalistycznej Polski, mimo różnic światopoglądowych, ale i są przeciwnicy jakiegokolwiek porozumienia, dostrzegający tylko to, co nas dzieli, a nie to, co może łączyć.

Odpowiedź na te pytania i wątpliwości musi opierać się na postanowieniach IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR, który — jak pamiętamy — wytyczył linię walki i porozumienia. Tenże Zjazd stwierdził w uchwale:

„Zjazd wyraża szacunek i uznanie dla patriotycznej, nacechowanej wysokim poczuciem odpowiedzialności za Polskę postawy Kościoła katolickiego oraz innych związków wyznaniowych i opowiada się za dalszym konstruktywnym rozwojem dialogu i współdziałania między państwem a Kościołem w imię pomyślności socjalistycznej ojczyzny.

Konieczna jest mobilizacja wszystkich sił rozsądku i odpowiedzialności, wszystkich patriotów do walki z zagrożeniem podstaw socjalizmu, podstaw istnienia niepodległości i suwerenności państwa, z koncepcjami „dwuwładzy", z działalnością przeciwników socjalizmu".

Człowiek myślący o polityce zastanawia się wreszcie nad tym,

CZY POLSKA JEST PAŃSTWEM DYKTATURY PROLETARIATU?

Terminu tego bowiem nie używa się już od lat, a ostatnio na przykład Mariusz Gulczyński na łamach „Życia Partii" wystąpił z postulatem rewaloryzacji dyktatury proletariatu.

„Kto nie zrozumiał — pisał Włodzimierz Lenin — *że w celu odniesienia zwycięstwa każda rewolucyjna klasa musi ustanowić swą dyktaturę, ten — jeśli chodzi o historię rewolucji — nie zrozumiał nic albo nic nie chce wiedzieć w tej materii..."*

Ale — powiadają niektórzy — w Polsce już od bez mała 40 lat mamy władzę ludzi pracy, budujemy nadal socjalizm, umacniamy państwo i nawet jeśli ma ono cechy dyktatury proletariatu, to nie ma powodu o tym mówić, bowiem pojęcie to łączy się z niedobrymi doświadczeniami przełomu lat 40 i 50.

Tylko, czy nie jest to dość uproszczone pojmowanie dyktatury proletariatu, akcentowanie jedynie siły, przemocy, jaką każda klasa musi stosować, aby zapewnić sobie panowanie nad innymi klasami i zapewnić realizację swoich klasowych interesów. Być może kogoś przeraża słowo dyktatura. Nie jest ono sympatyczne, ale jest prawdziwe i odsłania istotę klasowego panowania. Proletariat ma wszakże tę wyższość nad innymi klasami, że nie kryje się za demokratycznym frazesem ze swoją istotą klasowego panowania, tylko otwarcie mówi, że siłą zdusi opór burżuazji, zmusi ją do podporządkowania się robotniczym interesom, czego wymaga nie tylko klasowy interes proletariatu, ale prawidłowość procesu rozwoju społeczeństwa. Poza tym — jak słusznie przypomina Stanisław Kwiatkowski w „Tu i Teraz" — *„w marksistowsko-leninowskim znaczeniu każda władza jest dyktaturą jakiejś klasy nad innymi"*. Nie bójmy się więc słowa dyktatura.

Dyktatura proletariatu nie jest zaprzeczeniem demokracji. Nie ma bowiem demokracji samej w sobie, samej dla siebie. Demokracja też posiada swój klasowy sens.

„Jeśli nie chcemy naigrywać się ze zdrowego rozsądku i z historii — pisał W. I. Lenin — *to jasne, że dopóki istnieją różne klasy, nie można mówić o „czystej demokracji". (Nawiasem mówiąc — „czysta demokracja" jest nie tylko frazesem nieuka, który ujawnia niezrozumienie zarówno walki klas, jak i istoty państwa, ale jest również po trzykroć czczym frazesem, ponieważ w społeczeństwie komunistycznym demokracja przeistaczając się i przechodząc w przyzwyczajenie, będzie obumierała, nigdy jednak nie będzie „czystą" demokracją).*

„Czysta demokracja — to kłamliwy frazes liberała ogłupiającego robotników. Historia zna demokrację burżuazyjną, która wkracza na miejsce feudalizmu, i demokrację proletariacką, która wkracza na miejsce burżuazyjnej".

Istota dyktatury proletariatu sprowadza się do tego, że ma ona zapewnić warunki dla spełnienia się klasowych interesów proletariatu i będącego w sojuszu z nim chłopstwa. W zależności od tego, jak te warunki się układają, inne funkcje dyktatury proletariatu wychodzą na plan pierwszy. Nie oznacza to wcale, że w momencie zagrożenia klasowych interesów proletariatu nie ma on prawa sięgać po siłę i przy jej pomocy umocnić swoje klasowe panowanie. W innych okresach budownictwa socjalistycznego, na innych etapach, na plan pierwszy wysuwają się inne funkcje państwa dyktatury proletariatu.

„Dla Marksa — Engelsa — Lenina — pisze w „Nowych Drogach" Marian Orzechowski — *znamienne jest traktowanie dyktatury proletariatu jako instrumentu, środka realizacji określonych celów: stopniowej likwidacji stosunków kapitalistycznych, organizacji socjalistycznego sposobu produkcji, przeobrażenia świadomości społecznej i postaw, skutecznego zdławienia oporu klas posiadających, ich ujarzmienia przy zastosowaniu wszystkich niezbędnych środków. Jedną z podstawowych przesłanek dyktatury proletariatu było istnienie oporu klas odsuniętych od władzy ekonomicznej i politycznej, chociaż formy i natężenie tego oporu traktowane były jako zmienne, zależne od okoliczności historycznych — warunków narodowych"*.

Zatem i sposób realizacji różnych funkcji dyktatury proletariatu musi w różnych warunkach różnie przebiegać. Będzie to na przykład zależało od sposobu zdobycia władzy przez proletariat, oporu klas wywłaszczonych, stopnia poparcia przez sojuszników, świadomości samej klasy robotniczej i jej sojuszników. Z tego też wniosek, że realizacja tych funkcji przebiega w czasie i nie kończy się zaraz po zdławieniu oporu burżuazji i umocnieniu władzy proletariatu.

Sprawne spełnianie tych funkcji powinno przynieść klasie robotniczej poczucie, że u władzy znajduje się jej partia, to znaczy partia realizująca jej klasowe interesy, stojąca na straży tych interesów, że również władza broni klasowych interesów robotników, a przez to jest też władzą ludu pracującego, jemu służy. Tego nie da się załatwić tylko hasłami. To przekonanie musi wynikać z praktyki, a przyniesie ono poparcie dla tej władzy. Potrzeba jednak na to czasu.

Pytania człowieka myślącego o polityce

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Działacz, parlamentarzysta, redaktor „Robotnika"

PAWEŁ SAMUŚ

Mieczysław Niedziałkowski, teoretyk i ideolog PPS, wybitny parlamentarzysta i świetny publicysta, był jedną z czołowych postaci w życiu politycznym II Rzeczypospolitej i uznanym działaczem międzynarodowego ruchu socjalistycznego. Współcześni politycy i publicyści wyrażali o nim kontrowersyjne, niekiedy skrajne opinie funkcjonujące do dziś w świadomości społeczeństwa. Nazwisko jego przewija się na kartach publikacji prasowych, monografii i rozpraw naukowych, dotyczących najnowszej historii Polski i polskiego ruchu robotniczego.

RODZINA

Urodził się 19 września 1903 roku w Wilnie. Ojciec jego, Konrad Bolesław Niedziałkowski, i matka — Helena z Czayczyńskich, pochodzili ze zdeklasowanych rodzin szlacheckich. Dwóch stryjów Mieczysława poległo w powstaniu styczniowym 1863 roku, a rodzinny majątek Niedziałkowskich, leżący w okolicach Żytomierza, skonfiskowały władze carskie. Stryj Karol Antoni poświęcił się stanowi duchownemu, po ukończeniu seminarium zostając księdzem, a następnie biskupem łucko-żytomierskim; jego pasją życiową stało się pisarstwo apologetyczne.

Ojciec Mieczysława, Konrad Niedziałkowski, podczas studiów w puławskim Instytucie Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa związał się z działalnością partii Proletariat, lecz w 1884 roku został, jak wielu innych socjalistów, aresztowany i skazany na zesłanie. Odbywał je w Twerze. Tu, w środowisku polskich zesłańców, poznał córkę uczestnika powstania styczniowego, Helenę Czayczyńską, która w 1890 roku została jego żoną. Młodzi Niedziałkowscy osiedlili się w Wilnie. Konrad Niedziałkowski został urzędnikiem, poświęcając się pracy w samorządzie miejskim oraz kulturalno-oświatowej. Od 1908 roku był z wyboru wiceprezydentem, a potem prezydentem Wilna. W pierwszych latach niepodległej Polski powierzono mu wysokie stanowisko w aparacie państwowym na Wileńszczyźnie.

Niedziałkowscy mieli pięcioro dzieci: najstarszą była córka Wanda, synem pierworodnym Mieczysław oraz młodsze: Halina, Jerzy i Jan. Mieczysław uczęszczał do I gimnazjum klasycznego w Wilnie.

MŁODOŚĆ

Młodziutki gimnazjalista szukał kontaktu z nielegalnymi organizacjami. W 1909 roku, będąc uczniem 6 klasy gimnazjum, założył w szkole koło **Związku Młodzieży Postępowo-Niepodległościowej (ZMPN)**, zwanego też filarecją, organizacji powstałej z inspiracji PPS-Frakcji Rewolucyjnej i propagującej wśród młodzieży polskiej szkół i uczelni Królestwa i Rosji hasła walki o niepodległość. Działający wówczas w Wilnie W. Kunowski z tej partii wywarł wpływ na kształtowanie poglądów młodego Niedziałkowskiego.

W 1910 roku M. Niedziałkowski, obok T. Hołówki, S. Starzyńskiego, J. Cynarskiego-Krzesławskiego, wszedł w skład Biura Wykonawczego ZMPN, centralnego kierownictwa związku. Uczestniczył w Krakowie w obchodach pięćsetnej rocznicy bitwy pod Grunwaldem. Nawiązał wówczas kontakt z kierownictwem bliskiej ideowo jego związkowi organizacji studenckiej „Promień". Utrzymywał łączność z innymi ośrodkami polskiej młodzieży socjalistycznej zaboru rosyjskiego i samej Rosji. Stał się wkrótce jednym z czołowych organizatorów ZMPN i jego ideologiem.

W 1912 roku rozpoczął studia na wydziale prawa uniwersytetu w Petersburgu. Był pilnym studentem; pozostawał pod wpływem wybitnego uczonego polskiego, profesora Leona Petrażyckiego, teoretyka prawa i socjologa, twórcy i głównego przedstawiciela psychologicznej teorii państwa i prawa.

W ZMPN odgrywał Mieczysław Niedziałkowski czołową rolę wywierając poważny wpływ na jego oblicze ideowe. Pogłębił w tym okresie swoją znajomość teorii i historii socjalizmu. Wchodził w skład redakcji „Głosu Młodych" — dodatku do „Dziennika Petersburskiego", postępowego pisma emigracji polskiej. Na jego łamach publikował artykuły programowe, prowadził polemiki.

Mieczysław Niedziałkowski, choć pozostawał pod wpływem ideowym zwolenników Józefa Piłsudskiego, a nawet w czasie wakacji 1914 roku wstąpił do wileńskiej organizacji Związku Walki Czynnej, to jednak nie zaangażował się w poczynania wojskowe tego obozu. Poświęcił się natomiast propagowaniu idei socjalistycznej w społeczeństwie i pracy w ruchu robotniczym, dążąc do jego umasowienia.

WOJNA

Jesienią 1914 roku, wobec zmiany sytuacji politycznej po wybuchu wojny światowej, porzucił studia i rezygnując z przyszłej kariery naukowej, na wezwanie kierownictwa ZMPN przybył do Warszawy, by podjąć działalność w PPS.

Pracował początkowo jako urzędnik w Centralnym Towarzystwie Rolniczym, a następnie (I 1915 — XI 1918) na stanowisku referenta do spraw socjalnych i prawa państwowego w Biurze Pracy Społecznej. Instytucja ta skupiała grupę postępowych uczonych i pracowników powiązanych z ruchem robotniczym i ludowym. Mieczysław Niedziałkowski poświęcił się badaniom problematyki społeczno-ekonomicznej w Królestwie oraz zagadnień ustrojowych państwa. Wyniki badań opublikował na łamach periodyków oraz w osobnych pracach.

W warszawskiej organizacji PPS — już kilka lat przed wojną PPS-Frakcja powróciła do dawnej nazwy — sytuacja organizacyjna była wtedy dość trudna. W pierwszych miesiącach wojny doszło do połączenia zwolenników militarnych koncepcji J. Piłsudskiego i dotychczasowych opozycjonistów, z Feliksem Perlem na czele, akcentujących potrzebę umasowienia organizacji i rozwijania agitacji socjalistycznej. Zdołano odbudować Warszawski Okręgowy Komitet Robotniczy (WOKR) PPS i dzielnice partyjne. Wśród młodych, wybijających się działaczy, był Niedziałkowski obok B. Ziemięckiego, T. Hołówki i J. Gromadzkiego.

Wiosną 1915 roku wszedł w skład WOKR PPS, w sierpniu tego roku, na konferencji organizacji warszawskiej wybrano go sekretarzem, a na początku roku następnego — przewodniczącym owego komitetu. **Aresztowany w maju 1916 roku przez niemieckie władze okupacyjne za agitację socjalistyczną i niepodległościową**, przesiedział kilka tygodni w więzieniu na Pawiaku, a po zwolnieniu powrócił do działalności partyjnej. We wrześniu tego roku, na konferencji PPS w Dąbrowie Górniczej został dokooptowany wraz z A. Landym do składu **Centralnego Komitetu Robotniczego (CKR)** partii. Do siedmioosobowego centralnego kierownictwa PPS wybrano go również na XIII i XIV jej zjazdach w 1917 i 1918 roku.

Działacz, parlamentarzysta, redaktor „Robotnika”

Dokończenie ze strony 3

Współpracował w 1915 roku z nielegalnym organem PPS „Do Czynu”, a od lipca roku następnego redagował wspólnie z F. Perlem legalny tygodnik partii „Jedność Robotnicza”. Od połowy 1917 roku redagował przez okres półroczny „Robotnika”, zainicjował także wydawanie przez PPS pisma dla czytelników wiejskich „Nowiny Socjalistyczne”.

Propagował idee socjalistyczne nie tylko piórem, ale również uczestnicząc w działalności kulturalno-oświatowej, organizowanej wśród inteligencji i robotników przez Towarzystwo Szerzenia Wiedzy Handlowej i Przemysłowej oraz Towarzystwo Uniwersytetu Ludowego; prowadził agitację socjalistyczną pośród młodzieży szkolnej i studenckiej.

Wielki wpływ na kształtowanie się osobowości i poglądów politycznych Mieczysława Niedziałkowskiego wywarł Feliks Perl. Ten wybitny działacz socjalistyczny, współzałożyciel PPS, cieszył się dużym autorytetem w partii, będąc głównym jej ideologiem w latach I wojny i zaraz po odzyskaniu niepodległości.

Mieczysław Niedziałkowski popierał wprawdzie Polską Organizację Wojskową, Legiony i inne poczynania zwolenników Józefa Piłsudskiego, lecz z kierownictwem tego obozu słabo był związany, angażując się w pracę wśród mas robotniczych. Przyczynił się do wzmocnienia grupy perlowskiej w kierownictwie PPS, uniezależnienia go od obozu piłsudczykowskiego, a także do rozwoju ideologicznego partii.

Wypowiadał się jako zwolennik walki o niepodległość poprzez samodzielny ruch mas ludowych, nie rezygnując z podnoszenia kwestii społecznej. Przeciwny był tendencjom ugodowym wobec burżuazji i okupantów, sceptycznie odnosząc się do koncepcji odzyskania niepodległości w oparciu o państwa zaborcze. Jako cel główny wysuwał odbudowę niepodległego, demokratycznego państwa polskiego, w którym miał być urzeczywistniony socjalizm.

Opowiadał się za zjednoczeniem polskiego ruchu socjalistycznego, uznając za podstawowy warunek zaakceptowanie przez SDKPiL i PPS-Lewicę hasła niepodległości Polski; na tym tle i w innych kwestiach prowadził polemikę z przedstawicielami tych partii. Rewolucje rosyjskie — lutową i październikową powitał z uznaniem, podkreślając przełomowy charakter tych wydarzeń w historii walki klasowej i znaczenie leninowskiego postulatu prawa narodów do samookreślenia. Z czasem jednak krytycznie począł oceniać taktykę bolszewików i budowany w państwie radzieckim system dyktatury proletariatu.

NIEPODLEGŁOŚĆ

10 listopada 1918 roku do Warszawy przybył zwolniony przez Niemców z więzienia magdeburskiego J. Piłsudski, a następnego dnia w Warszawie i innych miastach rozpoczęło się rozbrajanie żołnierzy niemieckich. Rada Regencyjna przekazała 11 listopada Piłsudskiemu najwyższą władzę wojskową, a trzy dni później cywilną. Rząd lubelski, 12 listopada, podporządkował się J. Piłsudskiemu.

W tych dniach Mieczysław Niedziałkowski, obok innych wybitnych działaczy PPS, jak N. Barlicki, I. Daszyński, J. Moraczewski, F. Perl, prowadził pertraktacje z partiami lewicy niepodległościowej w sprawie powołania nowego demokratycznego rządu. Przywódcy socjalistyczni uważali, że należy skonsolidować masy, by zagrodzić drogę do władzy ugrupowaniom prawicowym. 13 listopada PPS zorganizowała w Warszawie wielką demonstrację pod hasłami rewolucyjnymi, ale także wiwatującą na cześć Piłsudskiego, a zakończoną zawieszeniem czerwonego sztandaru na Zamku Królewskim. Kierownictwo PPS odrzucało jednak koncepcje ustrojowe propagowane przez partie lewicy rewolucyjnej, dążąc do wywołania rewolucji i ustanowienia dyktatury proletariatu.

18 listopada 1918 roku Naczelnik Państwa, J. Piłsudski, desygnował na stanowisko premiera rządu socjalistę — J. Moraczewskiego. W rządzie tym, również nazwanym ludowym, M. Niedziałkowski został naczelnikiem Wydziału Sejmowego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Przygotował z zespołem współpracowników, zatwierdzony następnie przez rząd, projekt ordynacji wyborczej do Sejmu Ustawodawczego oraz dekretu o wyborach. Zasady demokratycznej ordynacji oparte na pięcioprzymiotnikowym prawie wyborczym do jednoizbowego parlamentu były bardzo postępowe, ale mieściły się w ramach burżuazyjnego konstytucjonalizmu.

Mieczysław Niedziałkowski brał udział w pracach Warszawskiej Rady Delegatów Robotniczych. Dążył, jak większość socjalistów, ale w przeciwieństwie do komunistów, z którymi krótko współpracował w radzie, by następnie domagać się ich usunięcia — aby radom delegatów nadać charakter opiniodawczy w stosunku do rządu i parlamentu oraz uczynić z nich oparcie dla rządu Jędrzeja Moraczewskiego. Jako zwolennik systemu demokracji parlamentarnej zdecydowanie odrzucał propagowane przez komunistów hasło dyktatury proletariatu i przejęcia władzy w drodze rewolucyjnej.

Socjalizm rozumiał jako „jedyną siłę dziejową zdolną do uratowania świata i ludzkości”. Uznawał jednak za niemożliwe już wówczas, wobec istniejącego układu sił klasowych w Polsce, zdobycie władzy przez proletariat i zbudowanie ustroju socjalistycznego. Uważał za jedną z podstawowych przesłanek zwycięstwa socjalizmu w Polsce zbudowanie niepodległej republiki ludowej, dlatego też, jak stwierdził, PPS „wybrała drogę przez sejm i Rzeczpospolitą ludową do socjalizmu. Droga ta jest najprostsza w obecnych warunkach politycznych i najmniej będzie kosztowała lud”. Obawiał się, że młode państwo polskie nie przetrzyma eksperymentu przewrotu socjalnego i dyktatury proletariatu.

Wskazywał, że koniecznym warunkiem zwycięstwa socjalizmu będzie „zbiorowa wola” klasy robotniczej i jej sojuszników — przynajmniej części chłopów oraz postępowej inteligencji. Akcentował potrzebę uświadomienia i socjalistycznego wychowania klasy robotniczej, rozwinięcia najwyższych wartości duchowych i moralnych. Pisał, że „socjalizm wymaga nie tylko odpowiednich warunków społecznych, politycznych i gospodarczych; zwycięstwo nasze zależy również od tego, jaką będzie sama klasa robotnicza. Nowego ustroju, nowego życia nie stworzą ludzie ciemni, myślący o sobie wyłącznie, egoiści, niezdolni do ofiar. Poziom umysłowy i moralny proletariatu ma tu znaczenie rozstrzygające”.

W SEJMIE

Z nadchodzącymi wyborami do Sejmu Ustawodawczego socjaliści wiązali wielkie nadzieje licząc na zwycięstwo swojej partii i całej lewicy. Parlament miał się stać miejscem zasadniczych rozstrzygnięć politycznych, a stopniowo uchwalane na jego forum reformy prowadzić miały do przeobrażeń socjalistycznych w „majestacie prawa”.

W wyborach do Sejmu Ustawodawczego (26.I.1919) kandydujący z listy PPS Mieczysław Niedziałkowski został wybrany posłem w okręgu nr 6 (pow. płocki, płoński i sierpecki). Jednak ogólne wyniki wyborów, pomimo radykalizacji nastrojów społeczeństwa, stanowiły zaskoczenie dla socjalistów. Na listy stronnictw lewicy padło wprawdzie 34 proc. głosów, ale socjaliści zdobyli tylko 35 mandatów na ogólną liczbę 394 posłów. Wybory przyniosły sukces ugrupowaniom prawicy i centrum, zwłaszcza endecji i jej sojusznikom, które decydowały o obliczu politycznym sejmu. Józef Piłsudski poszukując kompromisu z endecją desygnował na premiera Ignacego Paderewskiego.

Mieczysław Niedziałkowski, skierowany przez klub poselski PPS do sejmowej Komisji Konstytucyjnej, został jej sekretarzem. Już wcześniej powołano go na stanowisko dyrektora Biura Konstytucyjnego Prezydium Rady Ministrów. Stał się niebawem jednym z głównych ekspertów sejmu w sprawach konstytucyjnych.

Był autorem projektu konstytucji, który po wprowadzeniu poprawek zgłoszony został na forum sejmu w maju 1919 roku w imieniu Związku Polskich Posłów Socjalistycznych. Projekt dążył do zbudowania w Polsce swego rodzaju ludowego parlamentaryzmu, ale w ramach demokratyzacji ustroju kapitalistycznego z jednoizbowym parlamentem oraz Izbą Pracy broniącą interesów robotniczych. Zakładał rozbudowę innych instytucji przedstawicielskich robotników, ochronę pracy, zniwelowanie różnic w pozycji politycznej i ekonomicznej między klasami posiadającymi i pracującymi, oddzielenie Kościoła od państwa, prawo swobodnego rozwoju mniejszości narodowych. Projekt został odrzucony przez większość sejmową, ale Niedziałkowski wraz z innymi posłami socjalistycznymi i lewicowymi w toku debaty konstytucyjnej zdołał obronić niektóre postępowe zasady i sformułowania, które weszły do konstytucji marcowej z 1921 roku.

Zasiadając w parlamencie aż do jesieni 1935 roku, zyskał popularność i zaufanie oraz wpływy dla PPS przede wszystkim wśród robotników rolnych, urzędników i nauczycieli okręgu płockiego. Wchodził zazwyczaj do komisji konstytucyjnej, prawniczej i zagranicznej. Od 1928 roku został wiceprezesem, a po dwóch latach prezesem Związku Parlamentarnego Polskich Socjalistów.

W NACZELNYCH WŁADZACH

Na krakowskim kongresie zjednoczeniowym socjalistów (IV. 1919) został wybrany do Rady Naczelnej PPS i odtąd po kolejnych wyborach pozostawał w niej aż do rozwiązania partii we wrześniu 1939 roku. Był członkiem Centralnego Komitetu Wykonawczego (CKW) PPS przez okres dwudziestolecia międzywojennego; wchodził w 1919 roku do Biura CKW, a w roku następnym pełnił funkcję sekretarza generalnego CKW, w latach 1921—25 — sekretarza generalnego spraw zagranicznych partii, zaś w okresie 1924—1931 — wiceprzewodniczącego CKW PPS.

Kierownictwo partii powierzyło mu zadanie utrzymywania kontaktów z międzynarodowym ruchem socjalistycznym. Brał udział w zjazdach partii socjalistycznych: francuskiej, belgijskiej, angielskiej oraz krajów wschodnioeuropejskich. Aktywny był w pracach zmierzających do odbudowy Socjalistycznej Międzynarodówki Robotniczej (SMR) i uczestniczył w jej kongresie założycielskim (Hamburg 1923) oraz kolejnych w Marsylii (1925), Brukseli (1928), Wiedniu (1931) i międzynarodowej konferencji socjalistycznej w Paryżu (1933). Od początku 1925 roku był członkiem egzekutywy SMR, a w latach 1924—25 dwukrotnie wchodził w skład delegacji polskiej na zgromadzenie ogólne Ligi Narodów. Był rzecznikiem uwzględnienia w większym stopniu przez SMR problemów wschodnioeuropejskich i podniesienia w niej rangi partii socjalistycznych tej części Europy; przyczynił się do wypracowania stanowiska międzynarodowego ruchu socjalistycznego w kwestii narodowościowej. Poznał wybitnych ideologów i przywódców międzynarodowego ruchu socjalistycznego jak O. Bauer, L. Blum, H. Branting, G. Ledebour, J. Longuet, J. R. Mac Donald.

REDAKTOR „ROBOTNIKA”

Mieczysław Niedziałkowski pracował jednocześnie jako redaktor i publicysta oraz teoretyk. Redagował organ teoretyczny PPS „Przedświt” (1918—20), a przez następne dwa lata dwutygodnik socjalistyczny „Trybuna”. Publikował na łamach „Robotnika”, centralnego organu partii, a po śmierci redaktora naczelnego F. Perla w 1927 roku, Rada Naczelna PPS powierzyła mu kierownictwo redakcji, które pełnił do 1939 roku.

Wraz ze świetnym zespołem redakcyjnym (m. in. J. Borski, K. Czapiński, H. Diamand, S. Dubois, D. Gross, A. Próchnik, J. Cynarski-Krzesławski) oraz plejadą uzdolnionych współpracowników, pomimo nie sprzyjających dla partii opozycyjnej warunków potrafił zapewnić wysoki poziom dziennikowi, uznawanemu za jedno z najlepszych pism w II Rzeczypospolitej.

Pisał sam w „Robotniku” przede wszystkim artykuły wstępne, czasem krótkie komentarze do aktualnej sytuacji. Nierzadko na jego łamach prowadził polemikę z przeciwnikami politycznymi uprawiając ją bez zaciekłości, w rzeczowym i powściągliwym stylu. Pisał artykuły problemowe o polskiej polityce zagranicznej i teorii socjalizmu.

Wywierał wpływ nie tylko na koncepcje programowe, ale także bieżącą politykę i taktykę partii. W latach 1919—1926 związany był w pewnym stopniu z obozem belwederskim; darzył sympatią Piłsudskiego, dawnego socjalistę i przywódcę ruchu niepodległościowego, choć zdawał sobie sprawę, że nie jest on człowiekiem PPS. Opowiadał się za koncepcją federalistyczną w rozwiązywaniu problemu granicy wschodniej państwa polskiego. Uznawał za bezsporne włączenie w granice Polski Śląska Górnego i Cieszyńskiego. W stosunku do wojny polsko-radzieckiej zajął stanowisko niejednoznaczne, najpierw popierając kampanię pokojową PPS, a potem wycofując się z niej i zbliżając do stanowiska piłsudczyków. Kiedy jednak niepodległość była zagrożona, stał się rzecznikiem udziału partii w rządzie koalicyjnym i podjęcia akcji na rzecz szybkiego zawarcia pokoju z Rosją Sowiecką, szczególnie gabinetów Chjeno-Piasta w 1923 i 1926 roku.

TEORETYK

Mieczysław Niedziałkowski opublikował w 1925 roku broszurę „Położenie międzynarodowe Polski i polityka socjalizmu polskiego”. W roku następnym ogłosił drukiem pracę „Teoria i praktyka socjalizmu wobec nowych zagadnień”. W książce tej, stojąc na gruncie materializmu historycznego, przedstawił własną koncepcję rozwoju społecznego. Była ona odmienna od leninowskiej, a nawiązywała do poglądów teoretyków socjaldemokracji europejskiej: K. Kautsky'ego, O. Bauera, M. Adlera i innych, pod wpływami których pozostawał i później. Dowodził w pracy, że kapitalizm znalazł się po wojnie w fazie przejściowej, a państwo kapitalistyczne, tracąc swe dawne funkcje, występowało w podwójnej roli — działając jako narzędzie klasowego panowania burżuazji i równocześnie w interesie klas pracujących. Wskazywał, że system demokracji parlamentarnej i samorządu stworzył klasie robotniczej duże możliwości kontrolowania władzy wykonawczej i wpływania na sprawy publiczne oraz społeczne. Opowiadał się za rozszerzeniem tej formy demokracji burżuazyjnej i jej udoskonaleniem dla zwiększenia korzyści klasy robotniczej. Uważał, iż demokracja parlamentarna stwarza szansę pokojowego przejścia do socjalizmu; postulował w okresie przejściowym politykę koalicji socjalistów z partiami liberalno-burżuazyjnymi. Odrzucał koncepcję rewolucyjnego przejęcia władzy przez klasę robotniczą i ustanowienia dyktatury proletariatu.

Pogląd autora książki poddał ostrej krytyce Jerzy Ryng, publicysta i teoretyk KPP. W rozprawie polemicznej „Marksizm pana Niedziałkowskiego” zarzucił mu prezentowanie światopoglądu burżuazyjnego, niemarksistowski charakter jego ideologii i brak metody dialektycznej w książce; zinterpretował jego stanowisko jako rzecznika ustroju burżuazyjnego zwalczającego rewolucję społeczną. W latach trzydziestych publicystyka komunistyczna w sposób bardziej wyważony oceniała poglądy Niedziałkowskiego.

Pochłonięty sprawami politycznymi Mieczysław Niedziałkowski znalazł wszakże czas na ułożenie życia osobistego. W październiku 1925 roku zawarł związek małżeński z Marią Sipayłło. Niedziałkowscy zamieszkali w hotelu sejmowym w Warszawie, przy ul. Wiejskiej 4, a po 1935 roku — w skromnym mieszkaniu przy ul. Czerniakowskiej. Mieczysław lubił dom, kochał swoją żonę, która stała się jego powierniczką nawet w sprawach polityki i do końca pozostała towarzyszką jego życia; dzieci nie mieli.

PRZECIW SANACJI

Po zamachu majowym J. Piłsudskiego w 1926 roku, któremu PPS udzieliła poparcia, Niedziałkowski przeszedł ewolucję. Od jesieni tego roku był w kierownictwie partii, obok Ignacego Daszyńskiego, rzecznikiem polityki wyczekiwania wobec osoby samego Piłsudskiego, licząc się z możliwością ewentualnego porozumienia się z nim, a równocześnie opozycji rzeczowej w stosunku do rządów pomajowych. Jego stanowisko wobec rządów sanacyjnych uległo zaostrzeniu w miarę ograniczania przez nie systemu parlamentarnego, a zwłaszcza po rozłamie dokonanym w PPS jesienią 1928 roku przez grupę piłsudczyków. Krytykował w parlamencie i na łamach prasy system rządów pomajowych, był rzecznikiem zaostrzenia opozycji wobec nich. Rozwiały się jego złudzenia co do osoby Piłsudskiego, z legendą którego rozprawiał się w artykule z roku 1929, pisząc, że stał się on wodzem burżuazji i obszarnictwa, stracił zaufanie mas stając „po drugiej stronie barykady”.

Mieczysław Niedziałkowski był jednym z inicjatorów i przywódców Centrolewu, opozycyjnego bloku sześciu stronnictw sejmowych zawartego jesienią 1929 roku. Jako jeden z ideologów Centrolewu opowiadał się za legalnymi środkami w walce przeciwko sanacji. Kiedy jednak opozycja zdecydowała się wyjść poza parlament i szukała oparcia w masach ludowych, zasiadał w prezydium krakowskiego Kongresu Centrolewu (29.VI.1930). We wrześniu organizował Związek Obrony Prawa i Wolności Ludu, zrzeszający stronnictwa Centrolewu i napisał jego program wyborczy. Represje rządu rozbiły jednak Centrolew, a dyktatura sanacyjna umocniła się po wyborach „brzeskich”.

Klęska legalnej opozycji, proces brzeski, umocnienie rządów dyktatorskich w kraju były klęską osobistą Niedziałkowskiego. Fakty te, jak i tragiczne skutki społeczne wielkiego kryzysu gospodarczego oraz narastanie groźby faszyzmu po zwycięstwie hitleryzmu w Niemczech skłaniały Niedziałkowskiego do szukania bardziej radykalnych, także pozaparlamentarnych form walki.

Na XXIII Kongresie PPS (1934) wystąpił z postulatem utworzenia rządu robotniczo-włościańskiego, którego zadaniem miało być opanowanie skutków kryzysu, stopniowa likwidacja kapitalistycznej gospodarki na rzecz rozwoju sektora socjalistycznego. Sformułował cenną myśl o sojuszu klasy robotniczej z warstwami pośrednimi; wskazywał, że polski i międzynarodowy ruch socjalistyczny wobec narastającej groźby faszyzmu winien pozyskać dla swego programu całą klasę robotniczą, masy chłopskie i drobnomieszczaństwo. To właśnie zasługą Niedziałkowskiego między innymi było nowe ujęcie stanowiska międzynarodowego ruchu socjalistycznego wobec warstw pośrednich oraz w kwestii faszyzmu. Pozostał nadal zasadniczo przeciwnikiem dyktatury proletariatu, ale, przychylając się do stanowiska lewicy partyjnej, akceptował taką możliwość jedynie w okresie przejściowym, w wypadku groźby zamachu faszystowskiego.

W latach 1934—37 toczyła się w PPS dyskusja nad nowym programem. Lewica partyjna, rysując wizję Polski socjalistycznej, podkreślała odrębność interesów klasy robotniczej i uznała za konieczne wysunąć postulat dyktatury proletariatu w okresie przejściowym. Mieczysław Niedziałkowski, przeciwny temu, formułował program zjednania socjalistom sojuszników do walki o Polskę demokratyczną i ludową; podkreślał, że socjalizm będzie realizowany w Polsce i innych krajach po obaleniu rządów faszyzmu. Projekt Niedziałkowskiego stał się podstawą nowego programu PPS przyjętego na radomskim XXIV Kongresie w 1937 roku; przy czym dokument ujmował kompromisowo najbardziej kontrowersyjną kwestię przewidując możliwość, ale nie konieczność przejściowego wprowadzenia dyktatury proletariatu.

W latach trzydziestych wiele uwagi poświęcał sprawie polskiej polityki zagranicznej i umocnienia niepodległości Polski. Krytykował politykę zagraniczną rządu, wskazywał na niebezpieczeństwo grożące Polsce ze strony Niemiec hitlerowskich; był rzecznikiem zacieśnienia związków z krajami zachodnimi i poprawy stosunków ze Związkiem Radzieckim. Uczestniczył dwukrotnie (XI.1937, IV.1939) w delegacji PPS przedkładającej memoriały prezydentowi I. Mościckiemu o sytuacji wewnętrznej i międzynarodowej Polski, postulujące konieczność demokratyzacji ustroju i zmiany polityki zagranicznej, wskazujące na groźbę niemieckiej agresji. W lipcu 1939 roku, przebywając w Paryżu, starał się pozyskać socjalistów zachodnich dla idei stawiania oporu hitleryzmowi i obrony niepodległości Polski.

DRUGA WOJNA

Po wybuchu wojny we wrześniu 1939 roku Mieczysław Niedziałkowski nie opuścił stolicy. Stał się jednym z czołowych organizatorów obrony cywilnej Warszawy. Redagowany przez niego „Robotnik” mimo ogromnych trudności wychodził niemal do ostatniego dnia przed kapitulacją, zagrzewając mieszkańców oblężonej stolicy do wytrwałości, apelując o opanowanie i spokój. Był współtwórcą Robotniczego Komitetu Pomocy Społecznej, organizował Robotnicze Bataliony Obrony Warszawy. Ściśle współpracował z Komisarzem Cywilnym stolicy, Stefanem Starzyńskim, został w dowództwie obrony Warszawy doradcą gen. W. Czumy i gen. J. Rómmla, a także jednym z przedstawicieli PPS w Komitecie Obywatelskim, grupującym reprezentantów innych stronnictw politycznych. Za okazane męstwo i zasługi dla obrony stolicy odznaczony został Krzyżem Walecznych.

Po kapitulacji Warszawy kontynuował działalność polityczną pozostając w kontakcie z gen. M. Karaszewiczem-Tokarzewskim, dowódcą tworzonej organizacji ruchu oporu oraz innymi wybitnymi politykami i wojskowymi. Niedziałkowski od października 1939 roku wchodził do Rady Politycznej Służby Zwycięstwu Polski i został powołany na stanowisko komisarza cywilnego przy dowódcy tej organizacji. Uczestniczył w posiedzeniach kierownictwa rozwiązanej po kapitulacji stolicy PPS, lecz nie wziął udziału w tworzeniu jej konspiracyjnej struktury — Wolność, Równość, Niepodległość.

Wezwany przez gestapo do jej komendy w Alei Szucha na przesłuchanie (22.XII.1939) został następnie aresztowany. 18 lutego 1940 roku hitlerowski sąd doraźny skazał go na karę śmierci. 21 czerwca 1940 roku Niedziałkowski wraz z grupą 370 skazanych polskich patriotów został rozstrzelany w masowej egzekucji w Palmirach pod Warszawą. Hitlerowska kula przerwała życie człowieka, który credo swego życia określił słowami: Polska i Socjalizm. Uroczysty pogrzeb Mieczysława Niedziałkowskiego odbył się w maju 1946 roku: pośmiertnie, przez władze Polski Ludowej, odznaczony został Krzyżem Grunwaldu I Klasy, Medalem Zwycięstwa i Wolności.

PAWEŁ SAMUS

Kto tego nie przeżył...

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Przyjechał na zachód od razu, tak jak stał: w mundurze z siedmiuset złotymi w kieszeni i pismem, w którym *„Za ofiarną walkę z niemieckim faszyzmem i wierną służbę dla dobra demokratycznej Polski naczelny dowódca, marszałek Michał Żymierski rozkazem nr 141 przyznał..."* mu *„...10 hektarów ziemi wraz z domem i zabudowaniami gospodarskimi..."*. To było wszystko, co posiadał w chwili demobilizacji. Do siebie, na Wołyń nie miał po co wracać — nie było tam już ani Polski, ani nikogo z najbliższych. Gdy był jeszcze w wojsku, przesiedlono ich w Szczecińskie. Wśród swoich zawsze lepiej — pomyślał więc i pociągnął za nimi.

* * *

Edward Runiewicz po raz pierwszy znalazł się w Nowogardzie latem czterdziestego piątego roku. Dostał właśnie urlop i spod Krakowa, gdzie stacjonował wtedy 16 Pułk Artylerii Przeciwlotniczej I Armii Wojska Polskiego, wybrał się do rodzeństwa, które osiedliło się we wsi Świerczewo niedaleko Nowogardu.

Zniszczone w czasie niedawnych walk miasteczko wyglądało ponuro. Zburzone doszczętnie śródmieście, wypalone mury wielu domów, czekające na wysiedlenie w strachu i niepewności niemieckie rodziny, które nie zdążyły uciec przed frontem i kilkuset Polaków, z trudem usiłujących tu żyć, budować nową Polskę. Wieś sprawiała trochę lepsze wrażenie, choć i ona naznaczona była wyraźnie piętnem wojny. Zniszczone i częściowo rozgrabione domostwa. Niepewne jutra grupy osadników, wystawiających na noc uzbrojone warty. Brak podstawowych artykułów żywnościowych, mydła, nieraz maszyn rolniczych i najprostszych urządzeń. Nędza, gwałty, kradzieże, napady...

A jednak spodobała mu się ta murowana wieś. Jakże inna od wsi wołyńskiej, gdzie prawie wszystko było drewniane. I kultura rolna, widać, wyższa...

Jeszcze tęsknił do rodzinnych Troskotów koło Kowla. Jeszcze myślał: żeby choć zobaczyć... Tam się przecież urodził, tam umarł ojciec, a po jego śmierci matka z jedenaściorgiem dzieci obrabiała dwudziestohektarowe gospodarstwo, tam we wrześniu trzydziestego dziewiątego wkroczyła Armia Radziecka, do której w pół roku później został wcielony.

Był to batalion pomocniczy, w większości złożony z miejscowych Polaków. Broni nie mieli. Budowali lotnisko dla bombowców pod Kołomyją. Nie bardzo wiedzieli, co dzieje się na świecie. Aż tu nagle dwudziestego drugiego czerwca czterdziestego pierwszego roku, w sam dzień jego urodzin... Ruszyła ofensywa niemiecka — Rosjanie wycofali się na wschód. Na ich miejsce zjawili się Węgrzy. Szli na Kowel, a Edward Runiewicz wraz z innymi „rozbitkami" obok nich, piechotą, czterysta pięćdziesiąt kilometrów.

W domu na szczęście wszyscy ocaleli. Ale już byli tam Niemcy, już część władzy przekazywali Ukraińcom, starając się cały czas podsycać odwieczne na tych ziemiach konflikty narodowościowe, już zaczęli wywozić na roboty do Rzeszy. Dwudziestoletni Edward Runiewicz też miał zostać wywieziony. Dwukrotnie otrzymał wezwania. Raz zamiast niego pojechał starszy brat, za drugim razem zdołał załatwić sobie pracę na kolei i został.

Zawodzeni nie spełnianymi obietnicami niepodległości Ukraińcy stawali się coraz bardziej agresywni. Mordowali Polaków, Rosjan, Niemców. W spokojnych dotąd Troskotach żyć było coraz trudniej. W pobliskich lasach działała już partyzantka. We wrześniu czterdziestego trzeciego odszedł i Edward Runiewicz do lasu walczyć o wolną i niepodległą Polskę. Ale droga do wolności była jeszcze daleka. Wiodła go przez więzienie w Kowlu, gdzie trafił po rozbiciu jego oddziału, a po ucieczce stamtąd — znowu przez las. W maju czterdziestego czwartego Zgrupowanie Oddziałów Partyzanckich „Jeszcze Polska nie zginęła", po nawiązaniu współpracy z partyzantką radziecką, skierowało go w szeregi I Armii Wojska Polskiego w ZSRR. Po krótkim przeszkoleniu w Sumach nad Psiołem wyjechał na front. Jako były partyzant miał prawo wyboru rodzaju broni. Wybrał artylerię przeciwlotniczą. W Kiwercach jego pułk został uzbrojony w nowoczesny sprzęt i szybko przerzucony za Bug.

To był już przedsmak wolności. Edward Runiewicz napięta dobrze łzy szczęścia w oczach mieszkańców Lubelszczyzny na widok polskiego munduru, wiwaty i radosne powitania. A potem długie miesiące stania nad Wisłą, za którą walczyła bohaterska Warszawa. Ale rozkazu do natarcia ciągle nie było. Dopiero w Sylwestra znów coś zaczęło się dziać, a potem jak poszli... Warszawa, Bydgoszcz, Wał Pomorski, Kołobrzeg, Odra i wreszcie — dziewiątego maja nad Łabą, za Berlinem, gdzie dotarli manewrem oskrzydlającym. I ten dzień zapamiętał na całe życie.

* * *

3 czerwca 1945 roku naczelne dowództwo Wojska Polskiego wydało pamiętny rozkaz nr 111: *„Realizując i doceniając wkład męstwa i wysiłku żołnierza w dzieło wolności Polski, Rząd Rzeczypospolitej, spełniając swe przyrzeczenia, przyznaje pierwszeństwo żołnierzom i ich rodzinom w obejmowaniu ziemi na zachodzie. (...) Wśród milionów rodzin polskich, które w najbliższych miesiącach zaludnią ziemie zachodnie na pierwszym miejscu znajdą się rodziny żołnierzy polskich. Zwyciężyliśmy w boju z wrogiem, zwyciężymy w pracy nad odbudową..."*.

Ale przecież już wcześniej w I Armii mówiło się, że granicą polsko-radziecką będzie po wojnie rzeka Bug, a ludność z terenów wschodnich przesiedlona zostanie nad Bałtyk, Odrę i — jak wówczas pisano — Nissę. W pułku artylerii przeciwlotniczej, w którym służył Edward Runiewicz, nie wszyscy przyjmowali te wiadomości z aprobatą. Większość żołnierzy pochodziła z Tarnopolskiego i trudno im było pogodzić się z myślą, że nigdy już nie wrócą w rodzinne strony.

Na Ziemi Szczecińskiej dla osadników wojskowych przeznaczono powiaty: kamieński, gryfiński i chojeński, później zaś także szczeciński i wolliński oraz część powiatu nowogardzkiego i samo miasto Szczecin. Początkowo wyobrażano sobie, że osiedlą się tam prawie wyłącznie rodziny wojskowych, a dowódca I Armii gen. broni Stanisław Popławski żądał wręcz stuprocentowego wpisywania się żołnierzy na listy kandydatów wojskowej akcji osiedleńczej. Ale życie szybko zweryfikowało te nierealistyczne plany, gdyż — jak pisze doc. dr Arkadiusz Ogrodowczyk — *„Mimo różnorodnych form pracy propagandowo-informacyjnej i organizacyjnej tylko 10-15 proc. żołnierzy zgłosiło się na listy do osiedlenia na zachodnich rubieżach kraju."*

Ludzie przede wszystkim bali się nowego. Bali się pozostających tu jeszcze Niemców (w samym powiecie nowogardzkim w końcu 1945 roku było jeszcze ponad 1700 osób narodowości niemieckiej, a cała akcja ich wysiedlenia trwała aż do 1949 roku). Ziemie przeznaczone dla osadników wojskowych były nie najlepsze, miasteczka zniszczone, a po wsiach nierzadko grasowały bandy rabusiów i szabrowników. Poza tym *„...wojskowe władze osiedleńcze i oficerowie przeprowadzający akcję osiedleńczą nie ustrzegli się potknięć, które w efekcie zaważyły na całokształcie osadnictwa w nadgranicznych powiatach Ziemi Szczecińskiej. Jednym z nich był fakt objęcia i zarezerwowania przez grupy operacyjne całych wiosek, do których nie wpuszczano innych rodzin wojskowych, jak tylko ze swoich jednostek i tym wyłącznie udzielano pomocy w zagospodarowaniu się. Brak w tych wioskach osiedleńców sprzyjał ubytkowi inwentarza żywego i martwego. Niewielka była także pomoc jednostek wojskowych w zakresie przekazywania poniemieckiego inwentarza żywego osiedlającym się."*

A jednak przyjeżdżali. Nie tylko wojskowi, ale także chłopi z centralnej Polski, Białostocczyzny i Śląska. Przyjeżdżali z Kresów, a od sierpnia 1945 roku — również Polacy z zachodnich stref okupacyjnych Niemiec. Prawdziwa mozaika typów, charakterów, zwyczajów i doświadczeń.

Na początku trzymali się osobno: „sieradzaki", z „sieradzakami", „kresowiaki", których tu i ówdzie uważano za Ukraińców, — z „kresowiakami", i tak dalej. Nawet małżeństwa zawierali między sobą. A potem, jak pierwsze lody nieufności przełamano, trudno już było poznać kto i skąd pochodzi. Po prostu przestało to być ważne.

Władysław Kuczyński, obywatel polski miasta Nowogard nr 500, we wrześniu 1939 roku dostał się do niewoli, do Stalagu II D w Stargardzie Szczecińskim. Uciekał, siedział na Pawiaku, potem pracował u Niemca — właśnie pod Nowogardem. Poznał dobrze te tereny i zaraz po wyzwoleniu chciał tu zostać. Tłumaczył towarzyszom niedoli, że przecież teraz będzie tu Polska, że to będzie ich ziemia, a ziemię trzeba obsiać i zebrać plon. Nie słuchali. Zabierali swoim niedawnym panom wozy i konie i — byle dalej, do swoich. Potem wracali. Powoli, stopniowo. Brat ściągał brata, sąsiad — sąsiada. Wsiadali do bydlęcych wagonów z całym dobytkiem: krową po matuli, pierzyną i kilkoma garnkami i jechali na zachód, na nowe, na dobre i złe.

* * *

Odtworzyć atmosferę tamtych dni — po trzydziestu ośmiu latach — czy to jeszcze możliwe? O czym opowiedzieć, a co pominąć jako nieważne? I czy będzie to obraz prawdziwy? Przecież tyle już o tym mówiono, pisano — niemal od pierwszej chwili.

A te lata, co minęły — jaki będą mieć wpływ na owe wspomnienia? O czym każą zapomnieć, a o czym powiedzieć — może po raz pierwszy? I co z opowiedzianych dziennikarzowi faktów pozostanie potem w druku? Bo ważne jest nie tylko co, ale i kiedy się wspomina. Jak na przykład opowiadaliby o swoim życiu tu, na zachodzie Pelagia i Franciszek Urbańscy trzydzieści, dwadzieścia, dziesięć lat temu?

Do Olchowa pod Nowogardem przyjechali w czerwcu czterdziestego szóstego. Byli ostatnią rodziną, która osiedliła się we wsi. W rodzinnych Szarkach nie było dla nich ani ziemi, ani pracy. Zabrali więc trochę gratów, kozę i przyjechali, bo słyszeli, że tu, na zachodzie ziemi można dostać — ile kto chce. Spod Częstochowy jechali równo tydzień, a kiedy znaleźli się już na miejscu, usłyszeli, że na jedną kozę dziesięciu hektarów dostać nie mogą. A skąd mieli wziąć więcej inwentarza? W Szarkach nie było, a pod Nowogardem bydło, które zostało po Niemcach, zabrało już albo wojsko, albo ci, co przybyli wcześniej. Domu też dla nich nie było. Gdyby nie paczki z UNRRA, nie wiadomo, jak przetrzymaliby pierwszy okres. Zaczynali od pracy u innych, mieszkali w rozwalającej się chałupie. A kiedy mieli już, mimo wszystko, swoje upragnione hektary, odebrano im je i dano inne — dalej, piaszczyste, w wielu kawałkach, bo te, co dotąd obrabiali, potrzebne były spółdzielni, którą akurat tu organizowano. Ale przecież przetrwali, przetrzymali najtrudniejsze lata. Jakoś wyszli na swoje. W domu — centralne ogrzewanie, kolorowy telewizor, meble na wysoki połysk, na podwórku — dwa ciągniki, fiat i budulec na nową „chałupę" dla dzieci. Postawią jak dokupią ziemi.

Niejedno w życiu przeszli, ale przecież... Czy trzydzieści, dwadzieścia, dziesięć lat temu powiedzieliby tak samo?

* * *

Różne losy, różne wspomnienia.

Kiedy w październiku czterdziestego piątego Edward Runiewicz dotarł wreszcie do Świerczewa, bracia chcieli, żeby został na ich gospodarce. On kawaler, oni już się trochę urządzili, zresztą we wsi nic wolnego już nie ma. Dobrze, ale zawsze z braćmi nie będzie, a i ożenić też się będzie trzeba... W Karsku od sołtysa dowiedział się, że właśnie jeden z osadników wraca do „centrali", bo podobno jego córkom klimat tutejszy wyjątkowo nie służy, więc gdyby reflektował... Zgodził się, umówił, kiedy obejmie gospodarstwo, po czym pojechał zameldować się jeszcze do RKU w Gryfinie.

— Wracałem razem z kolegą ze Świerczewa i on pojechał prosto do domu — opowiada — a mnie korciło, żeby przyjechać do Karska, bo tamten miał się jutro wyprowadzać. Myślę — zobaczę jeszcze, pogadam, może od razu przenocuję... Jadę, patrzę — drzwi pootwierane, okien brakuje, z mieszkania też pozabierane... Tamten wyprowadził się dzień wcześniej, a ludzie, jak to ludzie... Potem już nie odchodziłem. Kartofli na polu trochę znalazłem, to żem ukopał, w piecu je upiekłem, zjadłem i tak nocowałem. Łóżka były, ale materace dopiero na drugi dzień odebrałem, bo poszedłem na milicję i jak rewizję przeprowadzili, to materace znalazły się u sąsiada. I jemu, i mnie było potem nieprzyjemnie.

W pierwszym roku było tak, że ile kto ziemi zdołał obrobić, tyle użytkował. Dopiero w następnym przeprowadzono pomiary i Edwardowi Runiewiczowi przydzielono dwanaście hektarów. Zboże na siew wydawano z magazynów. Jęczmień dostał mu się taki, że pół na pół ozimego z jarym, więc jak zasiał, to z hektara zebrał może cztery kwintale. Konia i krowę miał od sióstr, które przywiozły je jeszcze z Wołynia. Potem dokupił drugiego konia, duńskiego. Pług znalazł w polu. Latem robił w polu, zimą — w lesie, przy wyciąganiu drzewa, bo taki był obowiązek.

Na początku biedował. Chleba nie było — bo i skąd. Na krutowniku mielić trzeba było żyto, przesiać przez sito i piec z tego placki na blasze. Jakże mu te placki wtedy smakowały! Popijał je kawą zbożową, ugotowaną na wywarze z buraków cukrowych, żeby choć trochę słodką była. Jak zdarł jedyne buty, to sam wystrugać musiał kopyta i drewnianymi ćwiekami przybić znalezione gdzieś nowe — stare podeszwy.

W czterdziestym ósmym, dziewiątym zaczął się wreszcie „stawać na nogi". Ożenił się z łowiczanką z sąsiedztwa i kiedy wydawało się, że teraz będzie im już coraz lepiej, przyszło odgórne polecenie tworzenia spółdzielni produkcyjnych. Prezes koła Związku Osadników Wojskowych powiedział mu: — Ty, jako osadnik wojskowy też powinieneś wstąpić do spółdzielni, a jak ci się nie będzie nadawało, to złożysz podanie i wyjdziesz.

Większość wsi wstąpiła, więc i on dał się namówić, ale już w następnym roku złożył podanie. Nie tak łatwo jednak było „wyjść" ze spółdzielni, jak mówił prezes. Od samego początku wiedział, że nic z tego nie będzie, że to żadna gospodarka. Kierownictwo było nieudolne, tworzyły się rodzinne kliki, szerzyło złodziejstwo, a na dodatek organizacja pracy była taka, że żaden ze spółdzielców nie czuł, iż pracuje na swoim. I tak wszyscy męczyli się „z własnej i nieprzymuszonej" woli aż do października pięćdziesiątego szóstego, kiedy spółdzielnię szybko rozwiązano, majątek podzielono komisyjnie między spółdzielców i — o dziwo! — każdemu z osobna od razu zaczęło się lepiej powodzić. Znów była nadzieja i zapał.

* * *

Kto tego nie przeżył, temu trudno zrozumieć. Młodzi dziwią się, słuchają często jak bajki, kiwają głowami i... też mają swoje problemy na miarę swoich czasów. Też będą o nich kiedyś opowiadać.

Kto tego nie przeżył, temu trudno uwierzyć. W siedemdziesiątym czwartym roku Edward Runiewicz uległ wypadkowi i lekarz zabronił mu ciężkiej fizycznej pracy. Przeniósł się więc z rodziną do Nowogardu, przekazując gospodarstwo w Karsku na Skarb Państwa. Po dwudziestu dziewięciu latach pionierskiej pracy na Ziemiach Odzyskanych dostał osiemset złotych renty. Teraz ma sześć tysięcy, przy czym tysiąc — za krzyż kawalerski.

Kto tego nie przeżył, nie wie — dużo to czy mało.

Różne losy, różne wspomnienia...

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

Dyplomacja włoska o najeździe hitlerowskim na Polskę

Benito Mussolini (1883 — 1945), twórca i wódz (duce) faszyzmu włoskiego razem z Hitlerem i z gen. Franco dokonał zbrojnej interwencji przeciwko Republice Hiszpańskiej, zajął Etiopię i Albanię, uczestniczył w pakcie antykominternowskim i w układzie monachijskim. Wreszcie przystąpił do II wojny światowej, opowiadając się po stronie Hitlera.

Ministrem spraw zagranicznych Włoch był zięć Mussoliniego Galeazzo hr. Ciano (1903—1944). W przeciwieństwie do teścia, nienawidził Niemców za ich pogardę dla Włochów i za zaborczą politykę Hitlera.

— *Nie rozmawiano z nami jako partnerem* — podkreślał często w rozmowach z przyjaciółmi i z teściem, — *a raczej jako niewolnikiem.*

Początkowo, acz niechętnie podzielał pogląd przymierza włosko-niemieckiego. Później jednak, kiedy Niemcy zaczęły ponosić klęski, na słynnym posiedzeniu Wielkiej Rady Faszystowskiej 24 lipca 1943 r., odmówił posłuszeństwa Mussoliniemu i opowiedział się za współpracą z państwami zachodnimi. Zdradę tę przypłacił własnym życiem. Skazany został przez Mussoliniego na śmierć przez rozstrzelanie w styczniu 1944 r.

Wiele interesującego materiału odnośnie wydarzeń, poprzedzających agresję hitlerowską na Polskę, dostarczają pamiętniki Ciano pt. *„L'Europa verso la catastrofe" (1948).* Oto ich fragmenty, w których autor opisuje swoje podróże i rozmowy z najwybitniejszymi mężami stanu Polski i Niemiec hitlerowskich w 1939 r.

Hr. Ciano interesował się sprawą Polski już na początku 1939 r. W lutym tego roku złożył wizytę w Polsce 25 lutego 1939 r. przybył do Warszawy. Mieszkańcy stolicy przyjęli jego przyjazd — jak pisze — *„z ciekawością i być może z sympatią, jednak bez zapału".* Na wstępie swojej wizyty dowiedział się o manifestacjach antyniemieckich, jakie miały miejsce w niektórych miastach polskich — w odpowiedzi na prowokacyjne zachowanie się Niemców wobec Polaków w wolnym mieście Gdańsku.

„Polska mimo wszelkich wysiłków politycznych Becka — pisał Ciano pod datą 25 lutego 1939 r. — *jest zasadniczo i do głębi antyniemiecka. Jej tradycje, instynkt i interesy przeciwstawiają się Niemcom. Kraj katolicki z wielkimi skupiskami żydowskimi, skrępowany silną mniejszością niemiecką, już z naturalnego biegu rzeczy wrogi jest imperializmowi teutońskiemu. Wobec Włochów za to wiele pozytywnych, lecz nie wchodzących w rachubę elementów bliżej nieokreślonej sympatii. Polacy wolą naszą sztukę od naszego życia. Znają lepiej nasze zabytki niż historię. W głębi serca nie uważają nas za takich, za jakich chcielibyśmy wchodzić (...). Kochają w nas bardziej pędzel, niż siłę zbrojną, w którą jeszcze nie wierzą całkowicie. Trzeba ciężko pracować, by poprawić złą sławę, jaką przyczyniły nam trzy wieki".*

Następnego dnia 26 lutego t.r. Ciano złożył wizytę ministrowi spraw zagranicznych J. Beckowi. W rozmowie, jaką odbyli obydwaj dyplomaci, nie było „sensacyjnych szczegółów". Polski dyplomata podkreślił dobitnie, iż:

„Polska będzie nadal prowadziła politykę równowagi, jaką narzuca jej położenie geograficzne. Z Rosją tylko konieczne kontakty. Z Francją alians obronny, jednak nie wierzy się już jakoby alians ten był konieczny. Z Niemcami poprawne sąsiedztwo, które utrzymuje się obecnie z trudnością, z powodu licznych przyczyn natury psychicznej i materialnej.

Co do Gdańska trzeba będzie znaleźć rozwiązanie, ale Beck chciałby dojść do niego na drodze wolnych rokowań dyplomatycznych, unikając bezużytecznego nacisku na opinię publiczną (...). Beck przychylnie, ale bez przekonania wspomina zapewnienia dane w tej sprawie przez Hitlera".

W trzecim dniu swego pobytu w Warszawie Ciano zwiedził niektóre jednostki wojskowe. M.in. zapoznał się z lotnictwem polskim, które wywarło na nim „dobre wrażenie". Stwierdza, iż w Polsce jest daleko do rządów totalitarnych.

„Ponieważ jedyny głos, który się liczy w Polsce, to głos zmarłego Piłsudskiego, a tych, którzy uważają się za jego następców, jest zbyt wielu (...). W sumie, takie wnioski wydają mi się — twierdził Ciano — *słuszne w interesujących nas sprawach: Nie można twierdzić zbyt pochopnie, że Polska jest krajem związanym z systemem Osi czy Trójkąta; jednak byłby to zbytni pesymizm uważać ją za istotnie wrogą. Gdy wybuchnie wielki kryzys, Polska stać będzie jeszcze długo z bronią u nogi, i dopiero wtedy, gdy losy zostaną rzucone, Polska stanie przy boku zwycięzcy i postąpi słusznie, ponieważ kraj ten ma przyjaciół i wrogów w obu obozach".*

31 marca 1939 r. Ciano rozmawia z polskim ambasadorem w Rzymie Bolesławem I. F. Wieniawą-Długoszowskim. Dowiaduje się od niego, iż:

„Polacy pragną pokojowego rozwiązania, ale jeśli Niemcy przyjmą stałą nieprzejednaną taktykę, Polacy będą się bili; Wieniawa wyraża się optymistycznie o możliwościach oporu armii polskiej".

Dnia 6 kwietnia włoski minister spraw zagranicznych w imieniu Mussoliniego i rządu włoskiego powitał na dworcu rzymskim przybywającego z wizytą przyjaźni przedstawiciela III Rzeszy Niemieckiej H. Goeringa. W czasie drogi do Villa Madama, marszałek hitlerowski zasypuje towarzyszącego mu hr. Ciano potokiem słów o potędze Niemiec pod wodzą genialnego führera. Nie szczędzi przy tym gwałtownych uniesień i oskarżeń pod adresem Polski.

„Najbardziej uderzył mnie w rozmowach z Goeringiem ton, — pisał Ciano 16 kwietnia — *jakim mówił o stosunkach z Polską; to mi przypominało szczególnie ton, jakiego użył niegdyś w Niemczech, wspominając o Austrii i Czechosłowacji. Zresztą Niemcy mylą się, sądząc, że będą mogli działać w ten sam sposób: Polacy będą pobici, lecz nie złożą broni, aż zostaną ostatecznie zwyciężeni".*

Dnia 17 kwietnia 1939 r. zakończyła się wizyta Goeringa w Rzymie. Ciano odprowadził gościa na dworzec. Palladyn Hitlera — pisał Ciano — *„jest zadowolony z pobytu w Rzymie, gdzie udało mu się nawiązać kontakt z Duce i ze mną. Odniosłem na ogół wrażenie, że nawet u Niemców są zamiary pokojowe. Tylko jedno niebezpieczeństwo: Polska. Mniej o tym świadczą zwroty, co ton pogardliwy używany na wspomnienie o Warszawie. Ton, który mnie zaskoczył. Niech Niemcy nie wyobrażają sobie, że również przez Polskę urządzą marsz triumfalny: zaatakowani Polacy będą się bronić. Duce jest również tego zdania".*

Dnia 20 lipca t.r. ambasador włoski w Berlinie Attolico donosi włoskiemu Ministerstwu Spraw Zagranicznych o przygotowaniu przez Niemców na 14 sierpnia zamachu na Gdańsk. Równocześnie Ciano otrzymuje od generalnego konsula włoskiego w Czechosłowacji Caruso wiadomość z Pragi o „niepokojących ruchach wojsk niemieckich".

„Czy możliwe — zapytuje Ciano — *by to wszystko dokonało się bez powiadomienia nas, szczególnie po tylu pokojowych zapewnieniach, jakie złożyli nam towarzysze z Osi?...".*

Dnia 11 sierpnia 1939 r., Ciano zaniepokojony przygotowaniami wojennymi w Niemczech, postanawia dowiedzieć się prawdy bezpośrednio od samego Hitlera i ministra spraw zagranicznych III Rzeszy J. Ribbentropa. Ten ostatni

„uchyla się — pisał Ciano — *ilekroć pytam o szczegóły, dotyczące bezpośrednich planów Niemców. Nie ma czystego sumienia, kłamał zbyt często na temat zamiarów niemieckich wobec Polski, by teraz swobodnie powiedzieć mi o tym, do czego się przygotowują. W sposób niewzruszony pragnie rozpoczęcia wojny. Odrzuca wszelkie rozwiązania zdolne zaspokoić Niemcy i przyczynić się równocześnie do uniknięcia konfliktu zbrojnego. Jestem pewien, że odtąd dano Niemcom nawet więcej, niż żądają, zaatakowaliby jednak, ponieważ opanował ich demon zniszczenia. Rozmowa nasza przyjmuje czasem obrót dramatyczny. Nie waham się wyrazić myśli w sposób brutalny. Wcale go to nie wzrusza. Stopniowo zdaję sobie sprawę z tego, co przedstawiamy w oczach Niemców. Atmosfera jest chłodna i chłód ten towarzyszy nam już do końca. Podczas obiadu nie wymieniamy ani słowa. Nie dowierzamy sobie".*

12 sierpnia 1939 r. Ciano odnosi jak najgorsze wrażenie z dalszych rozmów z Hitlerem i Ribbentropem.

„Jestem obrzydzony Niemcami, ich wodzem i ich sposobami prowadzenia spraw — czytamy w pamiętnikach hr. Ciano. — *Oszukali nas i okłamali, a teraz pakują nas w aferę, której nie chcemy, i która może tylko skompromitować nasz reżim i kraj cały. Naród włoski przestraszy się, gdy dowie się o agresji na Polskę. Reakcja Duce na wszystko była zmienna. Najpierw zgodził się — „Nie możesz i nie powinieneś tego uczynić Duce* — rzekłem. — *Wierność, z jaką ci służyłem, pozwala mi dzisiaj otwarcie z tobą mówić. Pojechałem do Salzburga, aby omówić wspólną linię postępowania. Spotkałem się twarzą w twarz z dyktatorem. Niemcy, a nie my, zdradzili nasz alians (...). Zerwij pakt! Rzuć go w twarz Hitlerowi, a Europa uzna cię za naturalnego wodza antyniemieckiej krucjaty!* — powiedziałem mu to wszystko i kilka innych rzeczy".

Minister spraw zagranicznych Włoch G. hr. Ciano

A oto jak opisuje Ciano pamiętne wydarzenia w dniu 31 sierpnia 1939 r., poprzedzające wybuch wojny niemiecko-polskiej:

„Przykre przebudzenie. Attolico telegrafuje około 9, że sytuacja jest rozpaczliwa i jeśli nie zajdą nowe okoliczności, wojna wybuchnie w ciągu kilku godzin. Udaję się natychmiast do Pałacu Weneckiego. Trzeba stworzyć tę nową okoliczność. Za zgodą Duce telefonuję do lorda Halifaxu (minister spraw zagranicznych W. Brytanii — przyp. F. L.), *aby mu powiedzieć, że Mussolini może interweniować u Hitlera, tylko pod tym warunkiem, że będzie mógł mu przyobiecać Gdańsk. Nie może niczego żądać z pustymi rękami. Ze swej strony lord Halifax prosi mnie o wywarcie nacisku na Berlin, by pominięto pewne trudności proceduralne i ułożono wreszcie bezpośrednie porozumienie między Niemcami i Polską. Telefonuję w tej sprawie do Attolico, który jest coraz bardziej pesymistycznie nastrojony. Wkrótce potem Halifax donosi mi, że nasze sugestie dotyczące Gdańska są niewykonalne. Horyzont zaciemnia się coraz bardziej. Przyjmuję Francois Poncета* (ambasador francuski w Rzymie — przyp. F.L.). *Rozmowa bez określonego tematu. Wyrażamy raz jeszcze pokojowe chęci. Poncet pragnie się dowiedzieć, jakie będą wytyczne naszego zachowania w wypadku wojny, ale nie odpowiadam. Francuz jest romantyczny, smutny i pełen nostalgii. Dodałbym jeszcze — jest szczery w swoich wynurzeniach...*

O godz. 20 minut 20 administracja telefonów zawiadamia, że Londyn zerwał połączenie telefoniczne z Włochami (...). Udaję się do Duce, aby zdać mu z tego sprawę. Wywarło to na nim wrażenie.

— Wojna — powiedział — ale jutro złożę w Radzie oświadczenie, że my nie ruszymy.

— Jutro, to zbyt późno! — — powiedziałem. — Być może Anglicy i Francuzi wykonają jakieś posunięcia, które uniemożliwią dalszy kontakt z nimi.

Proponuję wezwać Percy Lorraina (ambasador angielski w Rzymie — przyp. F.L.) *Duce zgadza się. Percy Lorain przybywa. Opowiadam mu co zaszło. Potem, jakbym nie mógł powstrzymać okrzyku serca mówię:*

— Dlaczego chcecie stworzyć sytuację nie do naprawienia? Czyż jeszcze pan nie zrozumiał, że nigdy nie podejmiemy inicjatywy walki przeciw wam czy Francji?

Percy Lorain wzruszony, z oczami pełnymi łez, chwyta mnie za ręce:

— Przed 15 dniami — mówi — zdałem sobie z tego sprawę i zatelegrafowałem o tym do mojego rządu. Ale ostatnie dni zachwiały moje zaufanie. Cieszę się niezmiernie, że przybyłem tego wieczoru do pałacu Chigi.

Ścisnąwszy mi raz jeszcze rękę wyszedł uszczęśliwiony. Donoszę o tym telefonicznie Duce, który w tym czasie kazał zapalić światła w mieście dla zmniejszenia niepokoju.

Z Berlina otrzymujemy komunikat niemiecki, opisujący zdarzenia ostatnich dni oraz propozycje rządu niemieckiego postawione Polsce. Są one wprawdzie umiarkowane, ale jest coś niejasnego w zachowaniu się Niemców. Propozycje są postawione dość nawet przychylnie, ale są już przedawnione. Zresztą wszelka dyskusja jest zbyteczna i program Hitlera, który podano do wiadomości w Berghofie, bardzo dokładnie omawia plan zamiarów Hitlera punkt po punkcie. Atak na Polskę ma się rozpocząć tej nocy, ponieważ 31 sierpnia jest oznaczony w komunikacie niemieckim, jako ostatni termin dla ewentualnych rokowań (...). O północy Magistrati donosi, że w Berlinie rozdają bezpłatnie biuletyn pod znamiennym tytułem: „Polska odmówiła. Atak się zaczyna". Rzeczywiście zaczął się 1 września 1939 r. o godz. 5 min. 25 rano. Wieść tę zakomunikował mi minister Alfieri, a tuż potem Duce".

O nastroju, jaki zapanował w Rzymie na wiadomość o agresji hitlerowskiej na Polskę, tak pisze w swoich wspomnieniach polski attaché wojskowy w Rzymie, podpułkownik dyplomowany pilot Marian Romeyko.

„...Gdy nadszedł 1 września, gdy Hitler bez wypowiedzenia rozpoczął wojnę napadem lotniczym na całą Polskę, Włosi musieli odkryć swe karty, musieli zająć wyraźne stanowisko, we własnym, dobrze zrozumianym interesie, po prostu ze strachu (...). Na włoskiej radzie ministrów, tegoż dnia — 1 września o godz. 3.30 po południu postanowiono i ogłoszono, urbi et orbi, że Włochy zajęły postawę non-belligerente (postawa nie wojująca — przyp. F.L.) *(...) Był to dzień radości dla Włochów. Co prawda nie pojmowali oni całej finezji tej deklaracji (...). Stanowisko, jakie zajęła prasa włoska już od samego początku wojny, było dla nas prawdziwą niespodzianką (...). Była stronnicza, złośliwa, nieprawdziwa i wysoce propagandowa na korzyść Niemców (...). Z naszej strony reakcji być nie mogło: pozostawało nam dziwić się i martwić; nie mieliśmy na to rady, bowiem jasne było, że wszystko jest z góry ukartowane, że działa się na rozkaz i to rozkaz najwyższy. Zdawaliśmy sobie sprawę, że prasa włoska, jeśli chodzi o ocenę napadu Hitlera, w żadnym stopniu nie była odzwierciedleniem opinii publicznej Włoch. Wręcz przeciwnie; stała w jaskrawym przeciwieństwie do tego, co czuli, myśleli i mówili (po cichu) Włosi. W społeczeństwie włoskim wrzało od dołu do góry; oburzenie na Niemców było powszechne i bezgraniczne. Współczucie dla Polski było szczere, serdeczne, nie ukrywane. Narastanie narodowej nienawiści Włochów do Niemiec niewątpliwie kojarzy się z datą 1 września"*

Następnego dnia — 2 września 1939 r. hr. Ciano próbował ratować sytuację. Stara się doprowadzić do skutku zainicjowaną przez Mussoliniego i proponowaną już uprzednio konferencję. Tego samego dnia w godzinach rannych zatelefonował do ministra spraw zagranicznych Bonneta:

— „Ambasadorzy Francji i W. Brytanii są u mnie w gabinecie — mówił Ciano. — *Rozmawiałem z Francois Poncetem, który poradził mi, bym do pana bezpośrednio zatelefonował, ponieważ nie ma wiele czasu do stracenia. Mam dla pana ważną wiadomość. Zawiadomiłem Berlin o projekcie naszej konferencji. Hitler powiedział, że weźmie to pod rozwagę, ale studiuje teraz noty francuską i angielską, które zostały doręczone mu wczoraj. Jeśli noty te mają charakter ultimatum, to jego odpowiedzią dla rządów Paryża i Londynu będzie kategoryczne: Nie! i projekt konferencji zostanie odrzucony. Proszę więc pana o zapoznanie mnie z waszą odpowiedzią na notę Ribbentropa (...). Chciałbym dodać, że Polska została również zaproszona na tę konferencję.*

— Nota złożona wczoraj na Wilhelmstrasse nie ma charakteru ultimatum — brzmiała odpowiedź Bonneta — *ponieważ nie było jeszcze posiedzenia parlamentu. Jeśli chodzi o mnie całkowicie zgadzam się na wasze propozycje i myślę, że parlament będzie tego samego zdania. Nim jednak damy definitywną odpowiedź, muszę skonsultować się z rządem brytyjskim i premierem...".*

Tego samego dnia późnym wieczorem Ciano otrzymał odpowiedź francuską i angielską, ale odmowną. Oba państwa wprawdzie zgodziły się na udział w konferencji, ale pod warunkiem, że Niemcy natychmiast wycofają swoje wojska z terytorium Polski i Gdańska.

— Nigdy! — krzyknął z wściekłości Mussolini, gdy zięć zrelacjonował stanowisko państw zachodnich. — *Takiej odpowiedzi nie mogę przekazać Hitlerowi.*

Od tej chwili rozdźwięki nabierały coraz większej siły i oddalały Ciano od Mussoliniego. 24 lipca 1943 r. na posiedzeniu Wielkiej Rady Faszystowskiej Ciano wystąpił z otwartą walką przeciwko Mussoliniemu, wydając tym samym na siebie wyrok śmierci.

■

Francja; kolaboracja w czasie wojny nie jest już tematem tabu

Zachodnioniemiecki tygodnik RHEINISCHER MERKUR/ CHRIST UND WELT Nr 28 z bieżącego roku zamieszcza całokolumnowy materiał na temat kolaboracji Francuzów z Niemcami w czasie wojny. Autorem artykułu jest Wolf Scheller. Prasa RFN od dłuższego czasu poświęca temu tematowi wiele miejsca, chcąc w ten sposób, jak gdyby częściowo przynajmniej umniejszyć winę Niemców. W każdym razie Niemcy chcą dziś zaakcentować, że faszyzm nie był li tylko wytworem niemieckim, lecz miał również zwolenników w tak demokratycznym kraju jak Francja, co zresztą jest prawdą.

Francja, w polu wprawdzie pokonana, ale u siebie w kraju ostoją ruchu oporu? Fala książek i filmów dowodzi jednak czegoś wręcz przeciwnego, co jest zapewne bolesne. „Jeszcze nigdy nie byliśmy swobodniejsi niż pod panowaniem niemieckim... Trucizna nazistowska przeniknęła do naszego myślenia, a każda słuszna myśl była zdobywaniem... Ponieważ byliśmy prześladowani, każdy z naszych gestów miał wagę zaangażowania...". Jean-Paul Sartre rozprawia się w swojej pracy „La république du silence", którą we wrześniu 1944 roku zamieściły LETTRES FRANCAISES, z minionymi „mrocznymi latami", „annèes noires", okresem okupacji. Jego pierwsza powieść, „Mdłości" (La Nausèe), ukazała się 6 lat wcześniej, zaś Albert Camus — również w 1938 r. — poczynił pierwsze notatki do swojego „Obcego" (Etranger). W swoim dzienniku w Boże Narodzenie 1938 roku zapisał on: „Il n'y a qu'un cas ou le dèsespoir soit pur. C'est celui d'un condamnè a mort...". (Jest tylko jeden moment czystej rozpaczy — gdy jest się skazanym na śmierć).

Był to okres bezpośrednio poprzedzający „dziwną wojnę" (drôle de guerre), gdy paryżanie znów, po raz ostatni, nie niepokojeni wyjechali na wakacje. Uspokojone zdawały się namiętności podsycane przez politykę Berlina, przede wszystkim jednak przez wojnę domową w Hiszpanii. A mimo to panował znamienny wewnętrzny niepokój. Po dymisji Leona Bluma, jego następcy: Chautemps i Daladier czynili wszystko, by zaspokoić wybujałe ambicje faszystowskich mocarstw Osi, Niemiec i Włoch. Protesty — jak ten przeciwko aneksji Austrii, czy rozbiciu Czechosłowacji — były niemal niewarte papieru, na którym je spisano. Francja w tych dniach sprawiała wrażenie nieco nerwowej i przemęczonej — La France fatiguèe. Czytano Kafkę. Francuzi czekali, że coś się zdarzy, chociaż przeczuwano, że nic zdarzyć się nie może. Agresor niemiecki zdawał się wyznaczać bieg dziejów. Francuzi czuli się obezwładnieni. Wstręt, jaki odczuwał Antoine Roquentin Sartre, miał swoje źródła w tamtej bierności.

Później, w 6 miesięcy po napadzie Hitlera na Polskę i francuskiej mobilizacji naród zdawał się być sparaliżowany. Dopóki nie szło o to, by przeciwstawić się napastnikowi, Francuzi skłaniali się do tego, by możliwie uprzyjemnić sobie życie. Gdy po „błyskawicznej wojnie" Francja została rzucona na kolana, podzielona na dwie strefy i wydana na łaskę zwycięzcy, wielu w kraju postawiło odtąd na żywotność i przerażającą potęgę przeciwnika, który okazał się górą. Spośród 2 milionów paryżan, którzy opuścili miasto uciekając przed nadciągającymi wojskami niemieckimi, większość wkrótce wróciła. Cieszono się, że wszystko już minęło. Sartre pisał w „Paryżu pod okupacją": „Paryż był martwy... Miasto wyglądało jak płaska, bezużyteczna miejscowość, po której w powietrzu krążył duch dawnej wielkości...". Ale tak całkiem upiornie znów nie było. Nawet Sartre przyznał to: „Jeśli zapytało się kogoś, co porabiał w latach terroru rewolucyjnego, odpowiadał: po prostu żyłem. Taką odpowiedź moglibyśmy dać również dzisiaj".

Zresztą nie żyło się źle. Dotyczy to przynajmniej tych, którzy byli gotowi do ułożenia się z nowymi władcami. Dla nich zaczęły się „piękne dni kolaboracji" (les beaux jours des collabos), jak jedną ze swoich książek zatytułował historyk Henri Amouroux. W swojej książce pt. „Vichy France" amerykański historyk, Robert Pacton, ocenia, że po zawieszeniu broni w 1940 roku Francuzi jak nigdy dotąd byli gotowi do podporządkowania się dyscyplinie i autorytetowi. Zaledwie 2 proc. obywateli, być może 10 proc., jeśli doliczy się sympatyków i okazjonalnych pomocników, było faktycznie aktywnych w ruchu oporu (Resistance). W przekonaniu Henri Amouroux, osób tych wręcz było tylko „najwyżej kilka tysięcy".

Wśród zwolenników panującego pod narodowosocjalistycznym nadzorem marszałka Petaina można znaleźć te kręgi, których przedstawiciele byli albo zwalczani w czasach Trzeciej Republiki, ale niepokojeni, albo byli tą republiką rozczarowani; dawni rojaliści, katolicy, wojskowi, przedsiębiorcy i antydemokraci z faszystowskimi skłonnościami na prawicy, albo lewicowcy.

Narodowi socjaliści mieli szczególne plany wobec Francji. Z „odwiecznym wrogiem" nie tylko zawarli formalne zawieszenie broni, lecz pozostawili mu pozornie suwerenne państwo. Kraj ten nie miał być objęty protektoratem. Berlin zainteresowany był wspieraniem we Francji tych sił, które ideowo popierały marzenia Hitlera o „nowej Europie", o „panowaniu elit". W lecie 1940 roku do Paryża przybył Otto Abetz, który jako ambasador Hitlera przejął ważne zadanie zorganizowania we wszystkich dziedzinach kolaboracji. Abetz był tu właściwym człowiekiem. Już w latach trzydziestych organizował spotkania młodzieży niemieckiej i francuskiej. Miał żonę Francuzkę i uchodził za frankofila, człowieka nieco egzaltowanego. 17 sierpnia 1940 roku oświadczył: „W każdym przypadku... strona niemiecka musi uczynić wszystko, by podsycać wewnętrzne waśnie, a tym samym osłabiać Francję".

Wewnętrzne rozdarcie kraju od dawna było wszystkim wiadome. Okres międzywojenny (entre-guerres) zrodził u wielu intelektualistów i artystów poczucie szczególnej wspólnoty z niemieckim sąsiadem. Dochodzi do tego fakt, że znacznej większości Francuzów ze wszystkich warstw antysemityzm nazistów dał dodatkową wskazówkę przemawiającą za koniecznością współpracy z nimi. Był to antysemityzm z szowinistycznym piętnem, już od dawna nie tylko monopol prawicy. Począwszy od fourierowskiego opisu „Judasza" (z roku 1808), aż po przedstawienie przez Giraudoux „tysiącletniego aszkenazizmu" (1939 r.) literatura francuska pełna była antysemickich wypadów i pamfletów.

Jeden z tzw. nowych filozofów z późniejszych lat siedemdziesiątych, Bernard-Henri Lèvy, w swoim bestsellerze pt. „L'Ideologie Francaise" zniszczył tak chętnie do dziś pielęgnowany wizerunek własny Francuzów. Według Lèvy'ego, dla większości Francuzów typowe były rewolucje wszczynane nie pod sztandarem oświecenia i demokracji, lecz „radosna rewolucja" z Vichy: „La France, la patrie des droits de l'homme, est, en un sens, la propre patrie du nationalsocialisme en general" (Francja, ojczyzna praw człowieka, jest w pewnym sensie właściwą ojczyzną generalnie narodowego socjalizmu).

Klęska z 1940 roku była dla rojalistów z ACTION FRANCAISE oraz dla faszystów z JE SUIS PARTOUT przede wszystkim końcem znienawidzonej republiki. Jean-Paul Sartre pisał: „Większość kolaborantów wyrosła z tych, których określano jako prawicowych anarchistów. Nad narodową rzeczywistość przedkładali oni ład, który zdawała im się prezentować sobą niemiecka władza".

Ale „piękne dni kolaboracji" nie trwały zbyt długo. Gdy de Gaulle wkroczył do wyzwolonego Paryża, święto się skończyło, a od tego czasu upojone zwycięstwem dzwony Paryża biją rokrocznie, gdy patrioci Paryża obchodzą wyzwolenie spod hańby okupacji. Głuchy łoskot werbli przy grobie Nieznanego Żołnierza pod Łukiem Triumfalnym, prezydent Mitterrand, który ze wzruszeniem pochyla głowę, granie trąb i przepełnione orderami piersi posiwiałych partyzantów — wszystko to przypomina ciągłe samookłamywanie się, do którego przykładają rękę autorzy książek historycznych i oficjalnych roczników od 1944 r.: to mianowicie, że Francja w polu została wprawdzie pokonana, ale u siebie była ostoją ruchu oporu, że Francuzi byli narodem walczącym. Aż do dzisiaj powtarza się tu akrobatyka spychania w niepamięć, przypominając formułkę z wczesnych dni psychoanalizy.

Dyskusja o latach kolaboracji jednak coraz bardziej przybiera na sile. Jak mogło do tego dojść? — pyta dziś wielu Francuzów. Jeszcze w kwietniu 1944 roku ogromny tłum wiwatował w Paryżu na cześć Petaina. Zaledwie w kilka miesięcy później te same masy ludzkie znów wyległy na ulice. Tym razem by wiwatować na cześć de Gaulle'a, wyzwoliciela ojczyzny. „Pospolite ruszenie" (Levèe en masse) było totalne. Tylko: pozostało jeszcze tych wielu intelektualistów, właściwych rzeczników kolaboracji, na których szybko musiała wyładować się wściekłość ludu. Rewolucyjne komitety Ruchu Oporu nieco na oślep i bez planu dokonywały aresztowań i egzekucji. Rozstrzelany został pisarz Robert Brasillach, zaś Drieu La Rochelle popełnił samobójstwo, a Cèline uciekł do Danii i został zaocznie skazany na śmierć.

O tym, jak faktycznie wyglądał okres okupacji w Paryżu, większość Francuzów dowiaduje się właściwie dopiero dzisiaj z fali książek i filmów. Przy tym wtajemniczeni już od dawna wiedzieli, że faszyzm we Francji kwitł przede wszystkim pod znakiem kultury. Zachwyt miał ambiwalentny charakter. Tutaj Ernst Juenger i Friedrich Sieburg w zajętym Paryżu, tam Drieu La Rochelle i Brasillach w Weimarze i Norymberdze. Mówiąc banalnie: jedni delektowali się serem i czystością francuskiego stylu, inni zaś już przed wojną upajali się żądnym śmierci przepychem nazistowskich parteitagów. Wszystko to złączyło się ze sobą, tak, że kolaboracja pod znakiem artystycznej i kulturalnej ententy przekształciła się w orgiastyczne fetowanie. W paryskiej Oranżerii, w maju 1942 roku, śmietanka pisarskiej i artystycznej awangardy obu krajów tłoczyła się u stóp rzeźbiarza Hitlera, Arno Brekera. Grano Beethovena i Chopina, zaś wojacy z Wehrmachtu oklaskiwali w „Casino de Paris" Maurice'a Chevaliera — a w tym samym czasie, nie opodal na stadionie Vel d'Hiv spędzonych tam Żydów szykowano do deportacji do komór gazowych w Treblince, Oświęcimiu i Majdanku. To była rzeczywistość owych „mrocznych lat".

Czołowymi kolaborantami po stronie francuskiej byli obok Cèline'a, Drieu La Rochelle i Roberta Brasillacha pisarze: Lucien Rebatet, Alphonse de Chateaubriand i Jacques Chardonne. Historyk literatury, Herman Hofer pisał: „Żyli oni faszyzmem i sławili go w upojeniu i w snach... Podobali się sobie w tej pozie patetycznych i niesłychanych outsiderów... Ich orgazmiczne okrzyki wieku dojrzewania nie wstrząsały Francją. Po klęsce nadeszła jednak dla nich godzina politycznego działania...".

Cèline np. zachowywał się tak, jak gdyby cała współczesna literatura francuska była napiętnowana tradycją żydowską, a tłumaczone były tylko dzieła autorów żydowskich. W swoim pamflecie z 1938 roku pt. „Bagatelles pour un massacre", który został przetłumaczony na język niemiecki jako „Sprzysiężenie Żydów we Francji", Cèline pisał: „Ubogi, niewielki francuski rynek księgarski, który już i tak skurczony wydaje ostatnie tchnienie, oto jeszcze bardziej przytłaczają, a wręcz niszczą powieści i felietony takich panów i pań jak Lerhmann, Rosamunde, Wirginia Woolf, Vicki Baum, Ludwig, Cohn, Davis, wszystko Żydzi i Żydówki...". To poważne zafałszowanie mógł odeprzeć każdy, kto by tylko chciał i potrafił to uczynić.

Niemcy już w 1933 roku zaczęli zabiegać o życzliwość i wpływy intelektualistów francuskich. W swoim „Dzienniku Literackim" Paul Léautaud zanotował we wrześniu 1940 r.: „Niemcy przygotowywali wojnę nie tylko militarnie, politycznie i gospodarczo, ale również duchowo... Byli na bieżąco i mieli na to dowody w ręku, ze wszystkim co w ciągu 20 lat napisano o nich we Francji dobrego i złego...".

Człowiekiem, który swoim działaniem najlepiej dowiódł prawdziwości tej tezy, był Gerhard Heller, literacki cenzor władzy okupacyjnej. Znał on we Francji osobiście niemal wszystkich najważniejszych artystów i pisarzy, miał dostęp do Picassa, Braque'a i Fautriera, zaś pisarza Jeana Paulhana nazywał swoim mistrzem, choć był on współzałożycielem Rèsistance. Tak jak inni Niemcy, którzy podążyli do Paryża, Heller traktował siebie jako pośrednika między kulturami obu krajów. Dostrzegał on wprawdzie „morze brudu i krwi", które terror nazistowski sprowadził na Francję, ale mówił: „Nie mogliśmy całkowicie uniknąć zadawania się z tą represyjną władzą. Każdy z nas na własnej skórze doświadczył tej ambiwalencji, tych sprzeczności...". Inni, jak Sieburg, który w swoim osławionym przemówieniu do „Grupy Kolaboracji" w marcu 1941 roku opowiedział się za narodowym socjalizmem, później czując wstręt do takich praktyk w okupowanej metropolii, powrócił do Niemiec.

Rudolf Schleir, odpowiedzialny w czasie wojny za cenzurę prasy, podczas przesłuchania oświadczył, że Abetz mógł wydać na propagandę kulturalną miliard franków. Polityka kulturalna była istotną częścią składową taktyki wobec pokonanego kraju. Sartre dostrzegł to bardzo wcześnie: „Sztuki teatralne, wyścigi, żałosne i makabryczne święta miały jedynie na celu pokazanie światu, że Francja jest zdrowa, a Paryż żyje...". Zaś pianistka Lucienne Delfroge mówiła: „Kolaboracja to jest Mozart w Paryżu".

Życie artystyczne nad Sekwaną faktycznie kwitło w tych latach. Teatry, kina i koncerty cieszyły się ogromną frekwencją. Ernst Juenger jadał z Sachą Guitry, generał Speidel z Jeanem Cocteau. Serge Lifar, nowy dyrektor Opery Paryskiej, 23 czerwca 1940 roku powitał Adolfa Hitlera i zaprosił go do swojego domu. Wielka wojna wydawała się odległa, a w każdym razie niemal nie mąciła życia kulturalnego. Kabarety promieniowały dawnym blaskiem. Opowiadano sobie dowcipy zawodowe — oczywiście nie o okupantach. Wszyscy wiedzieli, że w tym samym czasie gestapo wespół z policją paryską urządzało polowania na bojowników Ruchu Oporu — Pierre Melville przedstawił to w swoim filmie zatytułowanym „Armia w mroku". Równie dobrze znane było, że pociągi pełne stłoczonych Żydów z Francji odchodziły do Niemiec. Karajan, Kempff i Mengelberg, Winifried Wagner i Arno Breker — wszyscy oni w tych rozkosznych miesiącach kolaboracji podążali nad Sekwanę, witani tam z entuzjazmem przez francuską publiczność. Złudą jednak było to kulturalne bogactwo — w każdym razie w sferze wydawniczej i prasowej. W niektórych dziennikach i tygodnikach Niemcy nabywali większość akcji i wykupywali całe pisma. Czołowe czasopismo literackie, NOUVELLE REVUE FRANCAISE, rozwinęło się pod kierownictwem Drieu La Rochelle'a do najważniejszego organu „kolaboracji ideologicznej" (collaboration ideologique). Drieu zaproponował swojemu przyjacielowi Abetzowi utworzenie „francuskiej partii faszystowsko-socjalistycznej", ale nie spotkał się z poparciem, podobnie jak Cèline, który Niemcom zaoferował swoje usługi „doradcy" przy „ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej".

Co zadziwiające, również w okresie kolaboracji nie została przerwana ciągłość twórczości literackiej we Francji. Pod okiem Petaina i jego niemieckich przyjaciół rozwinął się filozoficzno-literacki ruch egzystencjalizmu. W 1942 roku został wydany „Obcy" Camusa i „Muchy" Sartre'a, zaś w rok później podstawowe dzieło Sartre'a „Byt i nicość". Francois Mauriac przedłożył niemieckiemu cenzorowi Gerhardowi Hellerowi pierwsze wydanie „Faryzeuszki" — z własnoręczną dedykacją: „Porucznikowi Hellerowi, który interesował się losem „Faryzeuszki", z wdzięcznością — Francois Mauriac.

Literacka produkcja lat okupacji prezentowała się całkiem okazale. Z błogosławieństwem cenzora publikowali nie tylko Sartre, Camus i Mauriac, którzy byli związani z Ruchem Oporu. Ukazywały się również dzieła Simone de Beauvoir i Colette, Aragona i jego żony Elsy Triolet. Nie wydawano książek innych autorów, jak Henri Barbusse, Leon Lemonnier, czy Paul Nizan, których przed wojną jednoznacznie zaliczano do lewicy. Niemcy szybko okazali gotowość do „interesu" z wydawnictwami książkowymi, których 90 proc. miało swoją siedzibę w Paryżu. Wywłaszczono natomiast wydawnictwa żydowskie, jak Dom Wydawniczy Fernanda Nathana czy Calmana Levy'ego, w innych okupanci stali się właścicielami kapitału. Z reguły powstrzymywano się od przemocy, ponieważ sterowanie przydziałem papieru było wystarczająco skutecznym środkiem nacisku. Zresztą już w 1938 roku na kongresie wydawców w Lipsku wydawcy francuscy ukorzyli się przed nazistami. Podpisali telegram z pozdrowieniami do Goebbelsa i nazwali go „oświeconym protektorem wszelkich wartości kulturalnych".

„Ma vie vit toujours" — moje życie trwa każdego dnia. Tego niezmąconego optymizmu nabrało wielu Francuzów właśnie w latach kolaboracji i ten dylemat do dziś determinuje ich historyczne wspomnienia. Naród, który swój początek polityczny miał u boku zwycięzców, musiał stworzyć sobie czyste sumienie.

Tylko z wielką trudnością znacznie bardziej złożona rzeczywistość historyczna wyłania się spośród rozpadających się mitów. Ale rozmiarów tego, co faktycznie działo się pod znakiem kolaboracji, wielu Francuzów jeszcze dziś nie może pojąć. Nie tak dawno przecież odtwórcy w filmie „Lacombe Lucien" Louisa Malle'a nie mogli się pokazać na prowincji, nie ryzykując, że zostaną zlinczowani przez wzburzonych rodaków. Jeszcze dla Giscarda d'Estainga temat „kolaboracji" był czymś, czego lepiej nie tykać, żeby nie otwierać dawnych ran. Spór wokół Barbiego sprawił zaś, że obecnie nie przymyka się już oczu na wydarzenia w „szarej Francji". Jako apologii nie można już wykorzystywać stwierdzenia Sartre'a, że „piekło — to inni".

■

Bestsellery lata czyli nadspodziewane bogactwo

GRZEGORZ GAZDA

Ci, którzy nie bacząc na zwyczajowy, bo potwierdzany od lat, księgarski przednówek, zdecydowali się regularnie odwiedzać w okresie lata placówki „Domu Książki", przeżywali chwile nieoczekiwanych radości. Spodziewając się — jak co roku — stosów podręczników szkolnych i pustek w innych działach, zaskakiwani bywali atrakcyjnymi tytułami które — ot tak po prostu — leżały na ladach. Wprawdzie krótko, ale zawsze. Nie chcę przez to powiedzieć, że oto — ni stąd, ni zowąd — zwiększyły się nakłady i ilość tytułów. Byłoby to zbyt piękne.

Tak czy inaczej, jestem skiopotany co z listy kilkudziesięciu tytułów, które pojawiły się w księgarniach w ciągu ostatnich trzech miesięcy — czyli od czasu poprzedniego odcinka „Odgłosowych" bestsellerów — wybrać do niniejszego omówienia czym zainteresować, co polecić. Rozpocznę zatem od książek, które wymieniano najczęściej w wakacyjnych rozmowach, po które ustawiały się najdłuższe kolejki zemocjonowanych czytelników.

Pierwsza z nich to powieść **Jeffreya Archera** z rodzaju political fiction pod tytułem **„Czy powiemy prezydentowi?"** (Czytelnik", 120 tys., cena 120 zł., przekład Stefana Wilkosza.) Jej akcja rozpoczyna się 20 stycznia 1985 roku w dniu zaprzysiężenia czterdziestego pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych Edwarda Kennedy'ego, który w dwa lata później ma stać się ofiarą starannie przemyślanego zamachu. Czy zamachowcy przeprowadzili swój plan czy nie? Czy inteligentni agenci FBI zdołali zamach udaremnić? Po odpowiedź odsyłam do powieści. Nie dorównuje ona wprawdzie arcydziełu gatunku jakim jest słynny „Dzień Szakala" Forsythe'a, jednak dostarcza sporych emocji.

Że tę książkę wyrywali sobie z rąk żądni relaksu urlopowicze, nie ma się co dziwić. Sensacyjna niby-prawda zawsze była w cenie. Może natomiast zaskakiwać czytelniczy sukces **„Reguły przetrwania" Vitusa B. Dröschera** (PIW, 20 tys., cena 120 zł.), książki z podtytułem „Jak zwierzęta przezwyciężają niebezpieczeństwa ze strony środowiska". Autor, zajmujący się m.in popularyzacją nauki o zachowaniu się zwierząt, znany jest w Polsce z trzech książek, a zwłaszcza z wydanej w 1980 roku „Ceny miłości" Przetłumaczona właśnie „Reguła przetrwania" jest pasjonującą lekturą, ponieważ przedstawia faunę w perspektywie swoistej socjologii i psychologii zwierząt. Jak mało wiemy o tych sferach życia przyrody! Czytelnik coraz jest zaskakiwany rewelacjami na temat mądrości natury, „społecznej inteligencji" zwierząt, ich umiejętności przystosowawczych itd. Z książki wynika jeszcze jedno: homo sapiens wciąż wiele jeszcze może skorzystać w rozwijaniu swoich humanitarnych wartości, biorąc przykład z zasad, którymi rządzi się świat zwierząt.

To najprawdopodobniej tegoroczne upały zadecydowały o tym, że gazety miast pisać o trójkątach bermudzkich, potworach z Loch Ness i zielonych ludzikach prześcigały się w reportażach z plaży nudystów — golasów zorganizowanych i naturystów niezależnych. O UFO natomiast mogliśmy poczytać w książce samego **Carla Gustava Junga „Nowoczesny mit O rzeczach widywanych na niebie"** (Wydawnictwo Literackie 10 tys., cena 100 zł.) Ten słynny psycholog i psychiatra podjął temat niezidentyfikowanych obiektów latających zgodnie ze swoimi zainteresowaniami. Uznał UFO za „zbiorowe lub indywidualne wizje, które mają być nieświadomym wyrazem lęku ludzi żyjących w okresie kryzysu cywilizacyjnego". Tłumaczowi i autorowi wstępu, Jerzemu Prokopiukowi, jak się zdaje, taka interpretacja UFO nie bardzo odpowiada. Postanowił więc na pięćdziesięciu stronach przekonać nas, że UFO to rzeczywistość, a nie jakaś tam podświadoma wizja.

Kontrowersyjny film Andrzeja Wajdy oparty o sztukę Stanisława Przybyszewskiego z całą pewnością wywołał szersze zainteresowanie tematem Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Stąd często sięgaliśmy do wydanych uprzednio monografii profesora Jana Baszkiewicza o Robespierze i Dantonie. Tamte dwie książki otrzymały obecnie swoje dopełnienie. **Jan Baszkiewicz** opublikował kolejne tytuły: **Ludwik XVI"** (Ossolineum" 100 tys., cena 190 zł.) oraz **„Rewolucja francuska 1789-1794. Społeczeństwo obywatelskie"** (PIW, 20 tys., cena 350 zł.). Ten ostatni wespół ze Stefanem Mellerem. „Historia Ludwika XVI poucza — pisze Baszkiewicz — jak wielką rolę w systemie rządów autorytatywnych podminowanych kryzysem grają talenty elity rządzącej i przede wszystkim samego władcy. ich dojrzałość, wyobraźnia, umiejętności podejmowania decyzji z jednoczesnym przewidywaniem co będzie w trzecim i czwartym ruchu". I dalej: „Wolno współczuć losowi tego przeciętnego człowieka, dobrego ojca rodziny, władcy pozbawionego demonicznych wad i wybitnych zalet. Prawa sukcesji dynastycznej odebrały mu szansę powodzenia na miarę jego możliwości. Mógł być przecie bardzo dobrym kartografem, zegarmistrzem albo ślusarzem". Podobnie jak i biografie Robespierre'a i Dantona, tak i ta, Ludwika Kapeta, rysuje obraz niezbędnego kontekstu społecznego. W książce „Rewolucja francuska. Społeczeństwo obywatelskie" ów kontekst wysuwa się na plan pierwszy.

Jakby beletrystycznym uzupełnieniem powyższych wątków są **„Pamiętniki lekarza" Aleksandra Dumasa.** Ukazała się właśnie ich część trzecia **„Anioł Pitou"** (Wydawnictwo Literackie, 60 tys., cena za dwa tomy 250 zł.). Nowy przekład „Pamiętników", który prezentuje nam krakowska oficyna, odkurzy być może to postarzałe nieco czytadło.

Aby pozostać przy Francji i przy historii: zainteresowanym tym tematem chciałbym polecić książkę **Michela Pastoureau „Życie codzienne we Francji i Anglii w czasach rycerzy Okrągłego Stołu"** (PIW, 20 tys., cena 150 zł.), która zgodnie z profilem tej poczytnej serii („Życie codzienne") jest ciekawą lekturą nie tylko dla historyków. Tego typu opracowania sprawiają, że historia — domena wybitnych jednostek, pastwa wielkich procesów społecznych i konfliktów klasowych — uzyskuje zwyczajny, ludzki wymiar, staje się równie pasjonującą codziennością.

Co z beletrystyką? Ano właśnie. Polecam więc dwa tytuły obok siebie, bo oba wydane przez PIW w serii „Współczesna Proza Światowa", oba rozwijające swoje fabuły w aurze niejakiej nostalgii, choć różny mam do nich stosunek. Bez przekonania odkładam po lekturze powieść **Isaaca Bashevisa Singera**, choć to przecież laureat nagrody Nobla z roku 1978, zatytułowaną **„Sztukmistrz z Lublina"** (30 tys., cena 130 zł.). Może to wina przekładu (oto próbka: „Z początku zachowywał dyskrecję odnośnie do Zewtel, ona sama jednak nie ukrywała tego stosunku"), a może niespójności konstrukcyjno-stylistycznych: ni to Dołęga Mostowicz, ni powieść środowiskowa z egzotycznego zaułka. Wydawnictwa zapowiadają kolejne utwory. Może one będą argumentem potwierdzającym entuzjastyczne recenzje które tu i ówdzie w polskiej prasie się pojawiły?

Natomiast z pełnym przekonaniem zachęcam do przeczytania **„Takiej pięknej żałoby" Bohumila Hrabala** (20 tys., cena 150 zł), cyklu 23 opowiadań-wspomnień z dzieciństwa, związanych osobą narratora, które jakby rozwijają wątki, wydanych w 1980 roku „Postrzyżyn". Znajdziemy tam wszystkie cechy hrabalowskiego stylu, znane z jego najlepszych tekstów: od refleksyjnego powrotu w przeszłość, poprzez tragiczne obrazy wojny do najczystszej próby komizmu.

I miłośnicy literatury iberoamerykańskiej nie wychodzili z księgarń z pustymi rękoma, bo oto Wydawnictwo Literackie sprezentowało im dwie następne książki. Pierwsza to powieść **Maria Vargasa Llosy „Ciotka Julia i skryba"** (20 tys., cena 135 zł), zabawna i świetnie skonstruowana parodia fabuł i seriali radiowo-telewizyjnych. Rodem z bulwarowej komedii historia miłosnych perypetii młodego, początkującego pisarza i jego ożenku z ciotką Julią przeplecione została z mrożącymi krew w żyłach opowieściami, które snuje dla słuchaczy radiowych Pedro Camacho, niespożyty scenarzysta. Powieść Llosy ma i swoje walory głębsze wynikające z realistyczno-krytycznych intencji autora. Także i one decydują o tym, iż wypadnie się zgodzić z ocenami krytyki, że „Ciotka Julia i skryba" to dzieło w twórczości Llosy najbliższe literackiego ideału. Druga, to książka **Maria de Andrade „Macunaima. Bohater zupełnie bez charakteru"** — rapsodia, jak nazwał ją autor (10 tys., cena 50 zł.) — napisana w roku 1928. Trudno przecenić znaczenie tego utworu dla kształtowania się nowoczesnej literatury iberoamerykańskiej, bo przecież nie tylko brazylijskiej. W swoim czasie „Macunaima" była wyrazem jej awangardowego przewrotu, współcześnie pozwala nam lepiej rozumieć to, czym fascynujemy się czytając powieści tamtych obszarów kulturowych. Aż dziw, że dopiero teraz pomyślano o jej polskim przekładzie.

Swoje trzydziestolecie Wydawnictwo Literackie uświetniło także kolejnymi tytułami z dwujęzycznej serii poetyckiej, publikując **„Wybór poezji" Oscara V. de L. Milosza** (5 tys., cena 140 zł.) w opracowaniu Marii Leśniewskiej oraz **„150 wierszy" E. E. Cummingsa** (3 tys., cena 180 zł.) w wyborze i przekładzie Stanisława Barańczaka. Pierwszy z poetów jest nieobcy polskiemu czytelnikowi choćby z esejów naszego Miłosza, drugi znany dość wyrywkowo. Oba zatem tomy wypełniają puste miejsca w bibliotece polskich przekładów znaczących dzieł literatury XX wieku.

Literaturę polską w tym omówieniu reprezentuje wydane w dwu opasłych tomach (na marginesie: rozsypują się po pierwszym otwarciu) **„Antologia noweli polskiej 1918 — 1978"** w opracowaniu i wyborze **Jacka Kajtocha i Ewy Sabelanki** (Wydawnictwo Literackie, nakład 20 tys., cena 320 zł.). Jak wskazują daty w tytule miała być to książka rocznicowa na 60-lecie Polski niepodległej, jakby uzupełnienie poetyckiej antologii „Ze struny na strunę" Andrzeja Lama. Nie mam miejsca, aby zastanawiać się nad kryteriami tak doboru autorów, jak i ich tekstów. Powiem więc tylko że antologia taka była potrzebna, bo pozwala prześledzić, przynajmniej na przykładzie jednego gatunku, rozwój polskiej prozy dwudziestowiecznej: od Żeromskiego, Kadena Bandrowskiego, Dąbrowskiej poprzez Gombrowicza, Schulza, Andrzejewskiego, Pruszyńskiego, Broniewskiego, Borowskiego, Rudnickiego do Czeszki, Putramenta, Różewicza, Hłaski, Mrożka i Nowakowskiego (aby poprzestać na tych kilku nazwiskach z dziesiątków, jakie przynosi antologia).

Poza tym — już w bibliograficznym skrócie — warte uwagi z różnych powodów są: **Wiktora Woroszyłskiego** dziesięć biograficznych esejów zatytułowanych **„Kto zabił Puszkina"** („Iskry", 20 tys., cena 200 zł.); **Wojciecha Młynarskiego „W co się bawić"** (Wyd. Literackie, 20 tys., cena 90 zł) — zbiór znanych piosenek, wciąż lubianego autora; **Izaaka Lewina „Z historii i tradycji"** (PWN, nakład 3 300, cena 120 zł.) — szkice z dziejów kultury żydowskiej; **Melchiora Wańkowicza, „Karafka La Fontaine'a"** trzecie wydanie (WL, 60 tys., cena 250 zł.) anegdotycznej historii i teorii reportażu; **„Haiku"**, „Ossolineum", 20 tys., cena 150 zł.) — zbiór japońskich miniatur poetyckich w przekładzie Agnieszki Żuławskiej-Omedy w tzw. serii orientalistycznej.

Wirydarz poetycki

Anna Kiesewetter

Igranie z ogniem

Igranie z ogniem.
To tak serce cieszy,
kiedy płomienie biegnące
otoczą ciało, które się nie pali,
a samo parzy sumienia gawiedzi.
Tyś jest jak ogień,
a my w ogniu — stali,
nam się zmiennością nie ubierać w wieńce.
Czekaj!
Nie odchodź jeszcze z tego tłumu,
patrzaj mi w oczy,
nie odwracaj wzroku.
Myśmy koroną ognia uwieńczeni,
nie kwiatem polnym,
więdnącym co roku.

★ ☆ ★

Grabarzu smutny,
pochyl własne czoło
nad czaszką grobów,
gdzie pomniki świeże
w kształt się starają przyobiec
niedawno
jeszcze chełpliwe swą harmonią ciała.
Biedny Yoricku!
Jakże się oddala
chwila, gdyś razem grał i był Hamletem.

★ ☆ ★

Czym mi mój pałac przyozdabiasz,
Bestio?
Gdzie spojrzę — róże błękitne:
porzucone w koło
płatki
jak nieba oderwane strzępy.
Zapach ich wszędzie sen przynosi.
ciebie tu nie ma.
Nikt mi już nie powie
baśni przed nocą,
choć ją obiecałeś.
Termin się bowiem zbliża wyzwolen
bo róże płoną.
Nie widzisz płomienia?

Wacław Krakowski

Podziwiać tylko

Skąd
u ludzi starych
życia tyle
co wartkości w rzekach
a może
jak te wody
płynąć nauczone z góry
o zakrętach nie myślą
i na nieba przychylność
nie liczą
wcale

jak liście suche
na los ślepy
starzy ludzie nie czekają
na pewno

Łódź, maj 1983 r.

W lipcu przy Więckowskiego 73

Ludzie mówią
że we własnych
przez sześćdziesiąt lat
odkładanych myślach
zaplątała się kobieta
niczym pająk
w pajęczynie nie zgarnianej
od dawna

a przecież ona
na klamce powiesiła się
zwyczajnie

Łódź, lipiec 1983 r.

Wzruszony

Własnych dzieci pozbywają się
ludzie
i jak miałem się nie wzruszyć
czytając
że w nurt Pilicy
rzuciła się kobieta
na pomoc dziewczynce
nieznanej

i jak radość
do oczu nie miała napłynąć
nagle

Krystynie Konopko
wybawczyni 7-letniej Agnieszki
(nawiązanie do Głosu Robotniczego z 28.07.83 r.)
Łódź, sierpień 1983 r.

Barbara Bianek

Podróż I

Pochylam się nad tobą
moja rzeko rodzinna.
Widzę jak odchodzisz
do morza.
Ty znikniesz
w piersiach morza.
Ja zostanę na brzegu
nie przygotowana
do podróży.

Podróż II

Odchodzą ciężkie obłoki
niebo zostaje wsparte na koronach
nieruchomych drzew,
pochylonych w blasku słońca
nad ziemią,
pod ciężarem owoców,
spadających z wysoka,
w dół,
i to jest jedyna ich podróż

Wahanie

Jeszcze chwila
przed odjazdem w ciemny tunel,
gdzie ani powietrza ni światła.
Czerwień pelargonii na oknie,
taka zblakła, jest teraz intensywna.
Zamglone słońce żółto świeci,
krzyczą dzieci za oknem,
żywe dzieci.

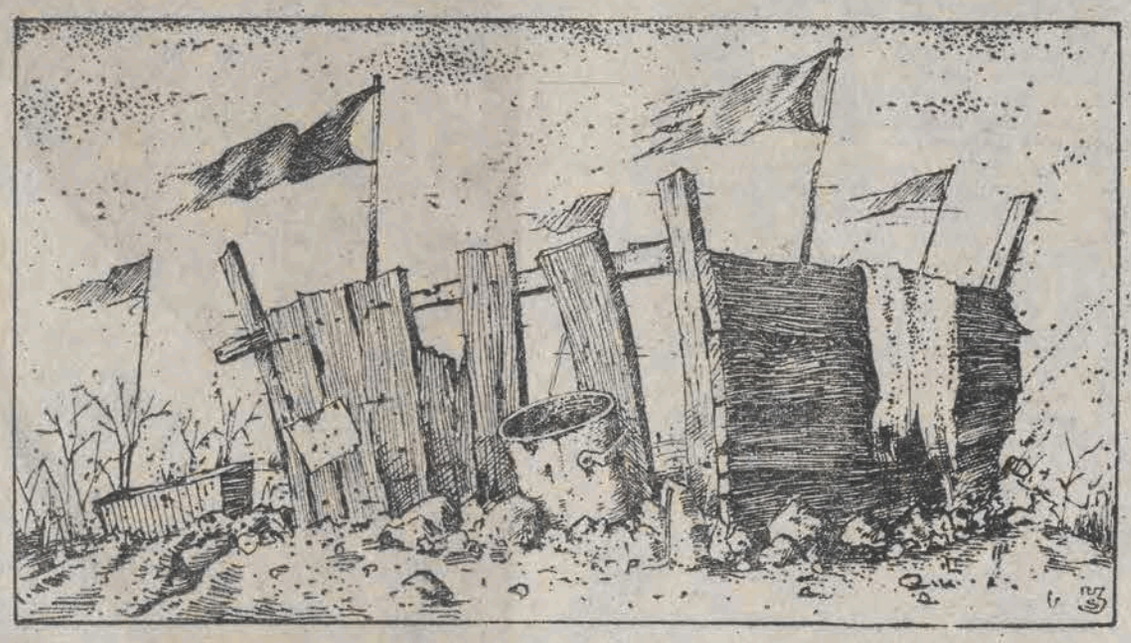

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Dokończenie ze str. 1

Tymczasem oboje: mandaryn i jego żona — zauważyli, że z synową dzieje się coś niedobrego. Młoda kobieta do niedawna zdrowa i kwitnąca urodą chudła i mizerniała. Cera jej zżółkła, oczy podkrążone sinymi obwódkami zdawały się świecić gorączkowym blaskiem w zapadłej twarzy. Teściowa z troską a zarazem nadzieją w głosie zadała pierwsze pytanie: — Może spodziewasz się dziecka? Młoda kobieta zaprzeczyła. Nie była w odmiennym stanie. Ale czuła się źle i z każdym dniem coraz gorzej. Kładła to na karb nocnych, potajemnych wizyt męża, które musiała za każdym razem przemilczeć i ukryć wobec otoczenia. Nie chciała przyznać się do tego nawet sama przed sobą, ale męczyła ją doznawana rozkosz, gwałtowne pieszczoty — a przede wszystkim konieczność ukrywania przyjazdów najbliższego człowieka.

Matka męża napoiła synową odwarem ziół, które podczas niejednej choroby czy dolegliwości okazały się skuteczne. Ale tym razem nie pomogły. Młoda kobieta nikła w oczach. Mandaryn wezwał więc na pomoc mieszkającego w sąsiedniej wsi czarownika, który znał się nie tylko na sekretach leczenia chorób, lecz także na tajnikach magii. Obejrzał on dokładnie i gruntownie dom mandaryna i całe gospodarskie obejście. Obszedł ogród. Porozmawiał z młodą kobietą. Wreszcie oświadczył gospodarzom, że prawdopodobnie synowa ich owładnęły siły nieczyste za sprawą demona. Początkowo nie mogli w to uwierzyć. Kiedy bowiem i jakim sposobem zły duch mógłby omotać tę dobrą, młodą, niewinną istotę? Czarownik obstawał jednak przy swoim, utrzymując, że choć jeszcze na razie nie wie, w jakiej postaci objawia się ów demon, jakie przybiera wcielenie, jedno wszakże jest pewne, że to za jego sprawą młoda kobieta stopniowo traci zdrowie, siły i urodę. Dodał wreszcie, że zauważył na jej szyi podłużną, siną plamkę. Takie piętno, jego zdaniem, pozostawia po sobie wampir, który po ukąszeniu ofiary wysysa z niej krew.

Gospodarze byli przerażeni i wstrząśnięci. Jakim sposobem wampir mógł zakradać się w ich obejście? Czarownik poprosił, aby pozwolono mu sam na sam porozmawiać z młodą kobietą. Chciał wiedzieć, co dzieje się z nią podczas nocy, kiedy cały dom zapada w sen. Długo zapewniała, że nocą śpi spokojnie. Aż wreszcie słysząc, że sprawa jest poważna, że chodzi o jej zdrowie, a być może nawet o życie, z płaczem wyznała, że odwiedza ją po kryjomu stęskniony mąż, za każdym razem prosząc, aby jego obecności nie zdradzała rodzicom.

Usłyszawszy tę opowieść czarownik nie miał wątpliwości, że w grę wchodzą nieczyste sprawy. Opowiedział gospodarzom domu wszystko, co usłyszał od młodej kobiety. Nie mogli pojąć, dlaczego syn przyjeżdża potajemnie?! Przecież potrafiliby zrozumieć jego tęsknotę za młodą, niedawno poślubioną małżonką! Czarownik z naciskiem podkreślił, że nie powinni rozmawiać o tym z synową, ani czynić jej jakichkolwiek wyrzutów. Zarazem jednak polecił, aby nie zwlekając pchnęli do miasta posłańca z wezwaniem do syna, który powinien stawić się jak najszybciej w domu. Bez niego trudno będzie bowiem wyjaśnić ową złowrogą zagadkę.

Nadeszła noc. Młoda kobieta długo łkała na swoim posłaniu, zanim zmorzył ją sen. Nie podejrzewała, bynajmniej, że pod postacią męża odwiedza ją ktoś inny. Tym razem gość musiał dłużej niż zwykle skrobać do drzwi, zanim ocknęła się i uchyliła je, jak poprzednio. Gdyby demon ujrzał jej twarz, być może z wyrazu oczu domyśliłby się, że w ciągu minionego dnia zaszło coś, co przyprawia ją o troskę. Ale przez cały ubiegły dzień zamieniony w mysz spał mocno w dziupli spróchniałego drzewa. Nie wiedział o wizycie czarownika ani o jego rozmowie z młodą kobietą. Ta zaś, obawiając się z kolei wymówek męża, nie powiedziała mu o tym ani słowa.

Demon przyobiekłszy ludzkie wcielenie, poczuł że ogarnia go spotęgowana żądza. Lecz w tejże chwili za drzwiami izby dały się słyszeć człapiące kroki i półgłośne pytanie gospodyni:

— Lien, córko moja! Czy jesteś sama? Słyszeliśmy skrzypnięcie drzwi!

Młoda kobieta zastygła w bezruchu dygocąc z lęku i wstydu. Jej fałszywy małżonek, bynajmniej nie zmieszany odparł:

— Ja tu jestem, matko.

Drzwi uchyliły się. Do izby zajrzała teściowa młodej kobiety. Za nią, w półmroku stał jej mąż.

— To ty, mój synu? — zapytał surowo — Cóż to za igraszki wyprawiasz, skradając się pod dach domu potajemnie, jak złodziej albo przestępca?!

— Ojcze i matko, wiem, że źle czyniłem — odparł przybysz. — Ale zechciejcie mnie wysłuchać...

Lecz w tejże chwili zabrzmiał tętent kopyt. Przed domem zarył kopyta w ziemi spieniony koń. Zsiadł z niego prawdziwy syn gospodarzy. Pędził bez wytchnienia przez całą noc, otrzymawszy wezwanie w obawie, że u jego bliskich zdarzyło się coś niedobrego. Wbiegł do izby — i w mdłym świetle kaganka trzymanego przez matkę zobaczył rodziców oraz żonę. Odetchnął lżej, wszyscy troje bowiem byli cali i zdrowi. Ale można sobie wyobrazić, jakie ogarnęło go zdumienie, a zarazem przerażenie, kiedy obok posłania swojej małżonki ujrzał człowieka, który był do niego podobny bardziej niż brat bliźni. Wydawało mu się, że widzi własne odbicie w zwierciadle. Rodzice młodego człowieka patrzyli, nie wierząc własnym oczom. Mieli przed sobą dwóch jednakowych młodych ludzi. Ta sama postać, spojrzenie. I ubiór ten sam. Młoda kobieta ujrzawszy dwóch ludzi, z których każdy miał postać jej męża, z cichym okrzykiem padła zemdlona. Pod matką ugięły się nogi. Tylko mandaryn nie stracił przytomności umysłu.

— Mam jedynego syna — rzekł surowo. — Który z was nim jest?

— Ja!

— Ja!

Odpowiedź padła równocześnie, przy czym nawet głosy dwóch młodych ludzi, prawdziwego i fałszywego brzmiały tak samo.

— Czcigodni rodzice — rzekł domniemany syn, którego postać przybrał demon. — Przyznaję, zawiniłem, zjawiając się tu potajemnie. Ale krew nie woda, miłość ma swoje prawa. Pragnąłem spędzić niekiedy kilka chwil z moją żoną, bałem się zaś waszego gniewu. Pokornie proszę więc o wybaczenie. Przepędźcie obcego, który zjawia się tu bezprawnie!

— Kłamstwo! — zawołał przybyły z miasta. — To ja jestem synem tego domu i prawowitym mężem tej kobiety! Nie przyjeżdżałem tu ani razu, cały czas poświęcając nauce!

— Nie słuchajcie go, czcigodni rodzice! — przerwał fałszywy syn. — Ja jestem waszym potomkiem...

— Nieprawda!

Trudno powiedzieć, co stałoby się, gdyby wybuchła na dobre zwada, a może i bójka pomiędzy dwoma przybyszami, z których jeden był demonem. Lecz w tejże chwili pojawił się czarownik zdyszany, od szybkiego biegu. Ktoś z wiernych sług tego domu dał mu znać, co się święci. Mądry ów człowiek zdążył w ciągu minionego dnia dowiedzieć się wszystkiego, co opowiadano we wsi i w okolicy o wcielonym w mysz demonie, który podstępnie nadużywał ludzkiej postaci. O nic nikogo nie pytając, czarownik rozwiązał przyniesiony worek. Wyskoczył z niego duży szary kot. A kotów bardzo boją się wszystkie myszy, nawet mysz obdarzona siłą nieczystą i przeobrażająca się w człowieka. Kot sprężył się, najeżył grzbiet... Zabrzmiał przeraźliwy pisk, kłąb pyłu i jak gdyby dymu zawirował pośrodku izby. A kiedy rozwiał się, zdumieni świadkowie tego wydarzenia ujrzeli martwą mysz w pazurach kota.

Złośliwy demon przestał istnieć i nikomu już nie zagrażał. Gospodyni uklękła obok synowej i cuciła młodą kobietę, po chwili ocknęła się z omdlenia. Ujrzawszy męża, wybuchnęła płaczem — i wśród łkań jęła pytać, czy wybaczy jej mimowolne wiarołomstwo.

— Miła moja — rzekł łagodnie młody człowiek — przecież nie mogłaś wiedzieć, że to zły demon przybiera podstępnie moją postać. Cieszę się, że ocalałaś!

Mandaryn hojnie wynagrodził czarownika, który zapewnił, że młoda kobieta rychło powróci do zdrowia. Był już ostatni czas, żeby odżegnać zły urok, inaczej bowiem demon wyssałby z niej wszystką krew.

Opowieść w samą porę dobiegła końca. Od sufitu mrugnęła ostrzegawczo lampa, zapowiadając, że niebawem agregat będzie wyłączony. Przedstawiciele władz wstali, aby nas pożegnać. Dziękując za opowiedziane legendy, z przykrością myślałam, że trzeba powrócić do prozy życia. Innymi słowy: czekała mnie noc w towarzystwie złośliwych gryzoni, które nawet jeśli nie są demonami, potrafią dokuczyć człowiekowi, zwłaszcza nie nawykłemu do ich harców.

Torbę zawieszono na sznurku u pułapu. Aparat — było nie było! — schowałam jednak pod koc.

Położywszy się wśród ciemności, mimo woli nadsłuchiwałam, kiedy zabrzmi niemiłe chrobotanie. Lecz — o dziwo! — panowała cisza. Już chciałam sięgnąć na wpół omackiem po reladorm, gdy nagle ozwał się szelest, ale odmienny. Zapaliłam latarkę, w której wymieniona została podczas dnia bateryjka — i poświeciłam. Głośniejszemu szelestowi towarzyszyło wyraźne miauknięcie. Kot!

Zawołałam go półgłosem. Podszedł bliżej. Początkowo nieufny, łasił się po domowemu. Nie był czarny, jak nasz w Warszawie, ale żółtawy, jak większość kotów w Azji. Z ulgą zobaczyłam, że wskakuje na łóżko, moszcząc się wśród koców. Szkoda, że nie mam go czym poczęstować! Mruczał przyjaźnie, kiedy go głaskałam, prosząc szeptem: — Zostań, nie odchodź!

— Chi Ba! — zawołał półgłosem ktoś z zewnątrz. Poznałam głos Khoanga. — Śpisz już?

— Jeszcze nie, ale mam zamiar.

— Jest u ciebie kot?

— Na szczęście jest. Oby tylko nie uciekł!

— Miejmy nadzieję, że nie.

— A skąd się wziął?

— Przedstawiciele władz wypożyczyli go z sąsiedniego domu, żebyś mogła lepiej spać tej nocy.

— Podziękuj im za to — ziewnęłam.

— Tylko, że wiejskie koty u nas czasem miewają pchły...

— Wszystko jedno. Sto razy wolę pchły niż myszy, a tym bardziej szczury.

— Nie wiem do dziś, czy żółtobury kot z owej wioski w prowincji Quang Tri miał pchły. Ważne jest, że nie uciekł. Pod jego strażą całą noc przespałam znakomicie. Ranc znikł równie nagle, jak się pojawił. Skłonna byłam wierzyć Khoangowi, który z całą powagą twierdził, że duch opiekuńczy tej wioski, wcielił się w postać kota, aby przepłoszyć myszy i szczury, umożliwiając mi zarazem spokojny, zdrowy sen.

MONIKA WARNEŃSKA

Groźne myszy i kot opiekun

Bigos hultajski

MIESZANKA FIRMOWA LITERACKO OBYCZAJOWA

SZLACHCIC GOMUŁA I KRÓL JAN III

Król Jan III Sobieski odznaczał się prostotą i całkiem niemonarszym stylem życia, co stało się przyczyną zabawnego nieporozumienia podczas prezentacji zagranicznego posła. Interesującą tę anegdotę powtarzam słowami Zygmunta Glogera, wielkiego szpargalisty sprzed lat:

Pewnego razu, gdy król Jan Sobieski rozmawiał w gabinecie swoim ze szlachcicem, co się nazywał Gomuła, wprowadzono przez podwoje jednego z posłów zagranicznych. Ponieważ król ubrany był skromnie, a Gomuła miał kontusz, żupan i pas świąteczny, a szablę złotem okowaną, ów tedy poseł, który nigdy jeszcze króla Sobieskiego nie widział, a na okazałość ubioru baczył, wziął Gomułę za króla i zwróciwszy się do niego z niskim ukłonem, rzecze: „Sire!", co tyle znaczy, jakby powiedział: „Królu!" Ale szlachcic widząc pomyłkę, rzecze doń: „To jest syr (wskazując króla), a ja jestem Gomuła".

KRÓL JAN I TREFNIŚ SOKOŁOWSKI

Na inną znów anegdotę o pogromcy Turków natrafiłem zupełnie przypadkowo wertując dewocyjną książkę pióra niejakiego ks. Macieja Mateusza Fryczkiewicza. Okazało się, że owa książka pt. „Sto sposobów nabożnie wesołych, z skarbów łaski i Opatrzności Boskiej wydane" (Kraków 1767) obfituje w facecje i figliki, które piszący te słowa zamierza niebawem opublikować, idąc za wierszowaną radą Fryczkiewicza: „Gdy się ubóstwo przykrzy lub choroba zdrowiu, masz w tej książce rozrywkę dobrą w pogotowiu". Zanim dojdzie do pełnej publikacji podaję następującą anegdotę o Sobieskim:

Król Sobieski sypiać nie mogąc, często trefnisia Sokołowskiego przebudzał, żeby mu co wesołego powiedział. Kiedy go jednej nocy często przebudzał, sprzykrzyło się mu, odezwać się też nie chciał. Zawołał król: „Powiedz jedno co, powiedz, już ci ze wszystkich zwierząt i bydląt, które jutro na kuchnią królewską pójdą, wszystkie skóry daruję".

Ucieszony pańską darowizną, roztropną powiedział historią i zasnęli. Nazajutrz w nocy Sokołowski spać nie może, krząka, spluwa; pyta się król: „Czemu spać nie możesz?" Odpowie: „Mości królu, skóry mi w głowę wlazły i spać nie mogę, turbuję się, komu ich i po czemu poprzedam". Mówi król do niego: „To widzisz, tobie skóry spać nie dadzą, a dopierož ja o całej Rzeczypospolitej myślący jako mogę głęboko zasypiać?"

KTO SZPETNĄ CAŁUJE

Dworowali sobie poeci z młokosów oddających serca starszym od siebie niewiastom, a nawet niewinny pocałunek na szpetnym liczku złożony dawał asumpt do złośliwych wierszyków, odnotowanych przez Ignacego Piotra Legatowicza „Epigrammata bezimiennych pisarzów naszych" (Wilno 1854, reprint 1983). Dwa końcowe dystychy zapisał Kazimierz Bartoszewicz w „Słowniku prawdy i zdrowego rozsądku" (Warszawa 1905).

Ten, kto szpetną całuje, podwójnie on grzeszy:
Bo i Boga obraża i ludzi też śmieszy

o * o

Ten, kto szpetną całuje, ten swą duszę zbawi:
Albowiem w samym grzechu pokutę odprawi.

o * o

Kochać się w starej babie, jest to ciężko zgrzeszyć:
Jest to Boga obrazić i diabła rozśmieszyć.

o * o

Kochać się w starej babie, jest to duszę zbawić:
Jest to w samym uczynku pokutę odprawić.

NOWINKI Z ŁODZI A. D. 1824

W „Krótkim rysie województwa mazowieckiego", zamieszczonym w „Nowym Kalendarzyku Politycznym na rok 1825", niejaki A. K. podaje wiadomości o grodzie nad Łódką, który, dodajmy, w 1820 r. liczył zaledwie 799 mieszkańców, zaś w siedem lat później już 2843 stałych obywateli:

Dopiero w roku zeszłym przystąpiono do urządzenia osady rękodzielniczej w mieście Łodzi, a w roku bieżącym rozprzestrzeniono osadę nie tyle dla sukienników, ale więcej jeszcze dla tkaczów wyrobów lnianych przeznaczoną. W tym celu są tam właśnie urządzone bieżniki, potrzebne wodociągi, budowle do pomieszczenia magla, folusza i lugarni, a to dla zupełnego uregulowania w roku przyszłym zakładu płóciennicznego. Tymczasem w mieście przybyło już pobudowanych i budujących się domów fabrycznych i mieszkalnych 31, urządzona została farbiarnia. Osiadło sukienników 23, postrzygaczy 3, tkaczy wyrobów lnianych i bawełnianych 32, pasamonik wstążek 1, fabrykanci instrumentów muzycznych tudzież nożów i inni rzemieślnicy.

PRZYCZYNA DYMISJI

Stanisław Koźmian (1336—1922), filar stronnictwa klerykalno-konserwatywnego, był w latach 1871—1875 dyrektorem teatru krakowskiego. Surowy zwierzchnik zespołu uciekał się czasem nie tylko do reprymend udzielanych niesfornym aktorom, czasem członek trupy żegnać się musiał ze sceną, choćby dla przyczyn, o jakich mowa w anegdotycznej rozmowie z Michałem Bałuckim (1837—1901), dramaturgiem i krytykiem literackim. Anegdota znajduje się w krakowskim piśmie humorystycznym „Bocian", 1906, nr 3.

Pewnego dnia dał Koźmian zupełnie niespodzianie dymisję jednej z głośnych wówczas artystek dramatycznych, pannie S., która cieszyła się niepodzielnym uznaniem krytyki i publiczności. Nazajutrz zjawił się w kancelarii dyrektora znany ówczesny krytyk teatralny Ba... z zapytaniem o powód tak nagłej dymisji.

— Widzisz, kochany panie Michale — rzecze dyrektor Koźmian — ona jest wcale dobrą aktorką, ale ma jedną wadę: oto czasem zupełnie błędnie akcentuje kwestie, które ma ze sceny wypowiedzieć!

— Źle akcentuje? I o taką drobnostkę? Ależ temu można łatwo przy reżyserowaniu zaradzić!

— Zdaje ci się! A kiedyś na premierze przez złe akcentowanie zasypała mi całą sztukę.

— Kiedy? Jak?

— Jeśliś ciekaw, to ci opowiem. W trzecim akcie na początku jest sama na scenie. Wchodzi jej kochanek, a ona ma do niego całkiem naturalnie powiedzieć słowa: Co znowu chcesz? A tymczasem, w jej kiepskim akcentowaniu, kwestia wyszła następująco: Cooo? Znowu chcesz?!...

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

Zaostrzenie apetytu

Pisząc dziś o polskiej książce trzeba zachować nie tyle umiar, co ostrożność. Prawda jest bowiem taka, że książka jest i zarazem jej nie ma. Rosną nakłady, wydaje się coraz więcej tytułów — a lady księgarń są nadal puste. Wielokroć podnosiłem sprawę książki w swojej publicystyce, lecz zawsze kierowała mną nadzieja, że przecież lata chude kiedyś muszą się skończyć, że nastanie czas, gdy będę mógł wejść do księgarni i otrzymać interesujący mnie tytuł bez umizgów i przypochlebień panience stojącej po drugiej stronie lady. Tymczasem mój apetyt czytelniczy pozostaje nadal nie zaspokojony.

Aby ten apetyt zaostrzyć Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia" zorganizował wraz z Domem Książki wielką wystawę w Muzeum m. Łodzi obrazującą produkcję tej zasłużonej oficyny wydawniczej z powodzeniem prosperującej już 62 lata. „Nasza Księgarnia" — jakże ważne ogniwo w edukacji narodowej — wypuszcza co roku książki dla dzieci i młodzieży zebrane w różnych seriach, książki w językach obcych, dzieła klasyków literatury rodzimej i obcej, książki popularnonaukowe, z dziedziny pedagogiki i psychologii, czasopisma dla dzieci i młodzieży, albumy, monografie... Tegoroczny plan zakłada, że rynek czytelniczy otrzyma 218 tytułów w nakładzie ok. 17 mln egz. W niedalekiej perspektywie ze znakiem „NK" będzie barwnych książek już 20 mln. Pocieszający to fakt, choć „Nasza Księgarnia" oprócz znanych innym wydawnictwom trudności poligraficznych, posiada swoje, specyficzne. Właściwie są dwie przyczyny, dla których książek jest ciągle za mało: po pierwsze — papier, po drugie — poligrafia. Książka dla dziecka musi odpowiadać specyficznym warunkom. Musi być w miarę trwała, o przejrzystym druku i barwnych, wyrazistych ilustracjach. Do tego najlepiej nadają się wszelkiego rodzaju kredy, kartony, papiery offsetowe. 65 proc. zużywanego przez „NK" papieru to właśnie ten wysokogatunkowy. Niestety, nie ma go zbyt wiele. I dlatego jakże często spotyka się zamiast barwnych ilustracji rozmazane plamy, bezkształtne twory straszące dziecko.

Nie ma potrzeby udowadniać znaczenia książki dla dzieci i młodzieży. Bez niej nie ma pełnej edukacji, pozostaje na zawsze nie wypełniona luka, zaprzepaszcza się jedną z ważnych możliwości rozwoju dziecięcej wyobraźni. Niestety, upłynie jeszcze sporo czasu, nim sytuacja zbliży się do normalnej, czyli takiej, kiedy książki będą czekać na czytelnika i będą to książki na przyzwoitym poziomie graficznym. Przecież nie tylko brak odpowiedniego papieru stanowi przeszkodę w zwiększaniu nakładów, ale górą nie do obejścia pozostaje poligrafia. „Nasza Księgarnia" drukuje swoje książki w 20 drukarniach w kraju, nie licząc drukarń, gdzie wydaje jeden lub dwa tytuły. Chociaż drukarze twierdzą, iż mogą dziś wydrukować każdą ilość książek, to sprawa rozbija się o introligatornie, które stanowią owe przysłowiowe „wąskie gardło" przemysłu poligraficznego. By ten stan zmienić, trzeba nam nowych drukarń, nowych maszyn, nowych ciągów produkcyjnych. Dlatego „Nasza Księgarnia" od lat nosi się z zamiarem wybudowania własnego zaplecza poligraficznego. Może wtedy nasze dzieci będą mogły czytać bajki i opowieści kształtujące ich wyobraźnię i psychikę.

Na koniec refleksja: zorganizowana w Muzeum m. Łodzi wystawa jest bogata i kolorowa, ale twarze odwiedzających ją dzieci są smutne i zawiedzione. Jest to bowiem lizanie cukierka przez papierek.

EUGENIUSZ IWANCZYK

Kronika kulturalna

PRZYZNANO tradycyjną już nagrodę miasta Piotrkowa Trybunalskiego „Złotą Wieżę Trybunalską". Laureatem został nauczyciel I Liceum Ogólnokształcącego im. Bolesława Chrobrego w Piotrkowie Trybunalskim — **Zbigniew Solarz.** Zbigniew Solarz jest autorem jednego z pierwszych w kraju szkolnego planetarium, a pierwszego rodzimej konstrukcji.

---

23 BM., w ZDK ŁZPB im. Obrońców Pokoju odbyło się spotkanie z cyklu „Konfrontacje literackie" poświęcone prezentacji twórczości **Kazimierza Arendta** i **Zbigniewa Kosińskiego.** Autorzy przedstawili swoje utwory i wzięli udział w dyskusji z publicznością. Spotkanie prowadził dr Henryk Pustkowski.

TEATR „Arlekin" wystąpił z premierą widowiska **Marii Kownackiej „Szewczyk Dratewka, czyli o straszliwym smoku i dzielnym szewczyku, prześlicznej królewnie i królu Gwoździku".** Spektakl reżyseruje **Stanisław Ochmański,** scenografię przygotował **Jan Zieliński,** a muzykę **Bogumił Pasternak.** Grają m. in.: **Teresa Wrocławska, Alina Czerwińska, Teresa Sawicka-Owsik, Zdzisław Owsik, Zbysław Wilczek, Wiesław Tarczyński.**

---

24 BM., w Łodzi wystąpiła z koncertem Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Leningradzkiej. Orkiestra w Łodzi zaprezentowała program złożony z fragmentów baletu „Romeo i Julia" S. Prokofiewa, II Koncertu Skrzypcowego D. Szostakowicza oraz V Symfonii c-moll P. Czajkowskiego.

W I OGÓLNOPOLSKIM Przeglądzie Amatorskich Filmów Dziecięcych i Młodzieżowych, który odbył się w Osiedlowym Domu Kultury „Mokotów" w Warszawie, jedno z trzech wyróżnień przypadło filmowi pt. „Cmentarz", zrealizowanemu w AKF „Emdek" w Zduńskiej Woli. Film ukazuje zduńskowolski kirkut — cmentarz żydowski z jego ciekawym artystycznie krajobrazem nagrobków i łuku bramy.

Realizatorami filmu są: **Jacek Weher, Konrad Pokora, Jarosław Palatyński, Piotr Michalak** pod kierunkiem instruktora **Zbigniewa Listowskiego.**

W PAŁACU Kazimierzowskim w Warszawie czynna jest wystawa prezentująca osiągnięcia Polskiej Stacji Archeologii Śródziemnomorskiej w Kairze. Na wystawie zgromadzono fotogramy pokazujące miejsca prac naszych ekip, a także ceramikę nubijską, wazy cypryjskie z VII—VI w. p.n.e. i wiele innych cennych eksponatów.

---

17 BM., warszawski Teatr Współczesny wystąpił z premierą **„Ślubu" Witolda Gombrowicza.** Spektakl reżyseruje **Witold Zalewski,** muzykę opracował **Jerzy Satanowski.** Grają: **Czesław Wołłejko, Krystyna Tkacz, Wojciech Wysocki, Grzegorz Wons, Maria Pakulnis, Adam Ferency i Marcin Troński.**

W IŁAWIE zmarł nagle **ALEKSANDER RYMKIEWICZ.** Aleksander Rymkiewicz urodził się w 1913 roku w Wilnie, absolwent Uniwersytetu Wileńskiego im. Stefana Batorego. Debiutował w 1933 roku. Związany był z grupą „Żagary". W 1937 r. wydał tom poezji pt. „Tropiciel". W czasie wojny działał w podziemiu. Od 1945 r. mieszkał stale w Warszawie. Był urzędnikiem Ministerstwa Aprowizacji i Handlu, dyrektorem Biura Zarządu Głównego ZLP. Redaktor działu literackiego tygodnika „Radio i Świat". Laureat nagrody literackiej im. Pietrzaka.

---

23 WRZEŚNIA zmarł **HENRYK RYL,** twórca teatru lalkowego Polski Ludowej. Założyciel PTL „Arlekin". Autor wielu sztuk teatralnych (ps. Grzegorz Frant), reżyser i pedagog.

Foto: Andrzej Biedroński

W dobrej orkiestrze wszystko musi być dobre

Dokończenie ze strony 1

nik, publiczność oczekuje znaczących wykonań. My chcemy temu sprostać. Mamy własną wizję. Koncepcja dyrygenta, nie zawsze spotyka się z pełną aprobatą ze strony zespołu czy poszczególnych muzyków. Powstają wówczas pewne napięcia, powstałe z wzajemnych wymagań — ale one rodzą coś, co publiczności daje określone przeżycia emocjonalne i poszerza jej widzenie nie tylko sztuki, ale i świata. Sztuka nie może naśladować świata. Ona dodaje do naszego widzenia świata pewne obszary, które doświadczamy poprzez nią.

— Ostatnio nagrywaliście płytę z Yehudi Menuhinem.

— Jest to tyle samo wspaniały artysta, co i człowiek. On dostarczył nam wrażeń, które są nieczęste, które przed nim — czy poza nim — trudno dostrzec. Poprzez swoją wielką i niepowtarzalną sztukę ukazał nam jak gdyby w nowym świetle, znane — wydawałoby się — wartości estetyczne, np. szlachetność w muzyce, subtelność etc. Dopiero dzięki niemu mogłem te wartości zauważyć i odkryć ich nowy wymiar.

Działalność takich ludzi jak Menuhin jest czymś wspaniałym i niezwykłym. Jest to również bardzo potrzebne z punktu widzenia społecznego i rozwoju kultury przede wszystkim. Tylko ciągłe stawianie dużych wymagań pozwala dojść do czegoś w sztuce.

— Aby stworzyć taki zespół jak ten, którym obecnie pan kieruje — czego trzeba bardziej: żelaznej dyscypliny, partnerskiego współdziałania, czy czegoś jeszcze innego?

— Do rzeczy elementarnych, prostych — dochodzimy poprzez niezwykłą, wprost żelazną konsekwencję. Na przykład punktualność. Niby to sprawa drobna, normalna. A tak trudna. Tak wymagająca wielkiej subtelności i kultury.

— Słowem — mozolna praca.

— Trzeba dużo i dobrze pracować. Mam bardzo wysokie wymagania wobec zespołu, ale i zespół wobec mnie również. Świadomość, że ktoś z nas mógłby nie sprostać pozostałym — mobilizuje mnie i zespół. Honor nie pozwala nam grać gorzej w kraju niż za granicą. Na koncert w Łodzi przyjechaliśmy prawie wprost z Londynu. Ambicją naszą było grać w waszym mieście równie dobrze, jak w Londynie. Ten koncert nie mógł być gorszy od londyńskiego. Mieliśmy przed publicznością łódzką sporą tremę.

— Co ponadto udało się wam osiągnąć w grze zespołowej?

— Kiedyś marzyłem o kilku takich sytuacjach, które bardzo rzadko zdarzają się w życiu. Otóż grupa drugich skrzypiec prawie w każdej orkiestrze nie jest tak doskonała jak grupa pierwszych skrzypiec. Myśmy chcieli to przełamać.

W dobrej orkiestrze nic nie może być słabszego. Wszystko musi być dobre. Przecież kompozytor, gdy tworzy utwór, to nie pisze czegoś pośledniejszego dla drugich skrzypiec — pisze tylko inną nutkę, ale nie gorszą. Proszę zwrócić uwagę na brzmienie drugich skrzypiec w naszej orkiestrze — w niczym nie ustępują one pierwszym skrzypcom.

U nas wszyscy muszą grać dobrze — innej możliwości nie ma. Również ten najdalej siedzący członek orkiestry musi być bardzo dobrym. My musimy tak grać, jeśli chcemy swoją pozycję utrzymać i przebijać się w górę. To jest konieczne — jeśli chcemy — aby świat wiedział o tym, że Polacy też grają muzykę kameralną.

— Od czego jeszcze — zdaniem pana — zależy sukces?

— Na jakiś zauważalny rezultat składa się bardzo wiele czynników, równoległych wobec siebie. Bezwzględnie muszą być wrodzone predyspozycje. Muszą też zaistnieć okoliczności życiowe, które temu wszystkiemu będą sprzyjać.

Te okoliczności — to np. zainteresowanie się nami przez telewizję, wytwórnie płytowe, także kontakt z Yehudi Menuhinem, koncert za dwa miesiące dla niewielu ludzi u papieża, zainteresowanie prasy itp. Te i inne okoliczności, towarzyszące ciągłemu zainteresowaniu nami, także przyczyniają się do naszego sukcesu.

— Krytycy piszą, że pańskie interpretacje — zwłaszcza muzyki Mozarta — są odrębne od powszechnie przyjętych konwencji.

— Tak to czuję. Rzadkością jest dojść do takiej sytuacji, kiedy to, co się przedstawia publiczności jest absolutnie doskonałe. Tempo uważane przeze mnie za właściwe, odbiera się często jako zbyt gwałtowne.

Prawdziwy artysta — to ten, który odczytuje utwór według własnej myśli, a nie sztywnych i utartych już szablonów; które nie znaczy, że są złe — ale nie znaczy to również, że są doskonałe i jedyne. Ważne jest, by duch kompozycji nie został wypaczony. Dobrze, jeżeli ktoś wyczuwa utwór w sposób tak wspaniały jak kompozytor. Bach pisząc swoje utwory, nie studiował reguł. Studiował kompozycję, ale poprzez swą wielkość i oryginalność — wytyczał reguły. Mozart tak samo wyczuwał pewne prawa. Ale z takimi przypadkami w sztuce nieczęsto się spotykamy.

— Czy zbyt częste zmiany na stanowiskach kierowników artystycznych placówek muzycznych przeszkadzają w wypracowaniu wysokiego i uznanego poziomu artystycznego zespołów muzycznych?

— Znowu wspaniała przeszłość skłania do refleksji. Takim długoletnim szefem zespołu, pracującym z jedną orkiestrą był Grzegorz Fitelberg, a później Jan Kreuz, Bohdan Wodiczko i Witold Rowicki. Stała, długoletnia współpraca z jednym zespołem jest pozytywnym zjawiskiem nawet wówczas, gdy dyrygent ten nie ma tych wartości, które posiadają dyrygenci występujący gościnnie z zespołem. Ale dyrygent ten z pewnością ma wiele cech dobrych, na których pełne rozwinięcie i kontynuowanie przez innych — potrzebny jest czas. Wartością nie są bowiem tylko same czynniki pozytywne. Wartość musi mieć własne oblicze, o czym często decyduje przewaga pozytywów nad negatywami. Jeden człowiek jest w stanie osiągnąć jakiś artystyczny kształt własnej osobowości. Kiedy wielu rozpoczyna trudne dzieło według własnej wizji, ale nie jest im dane rozwijanie i kontynuowanie go — to sztuka z pewnością nie osiągnie szczytów.

— Pana sympatie muzyczne.

— Bardzo lubię muzykę współczesną. Powiem szczerze — polską lubię najbardziej. Bardzo cenię Witolda Lutosławskiego, Krzysztofa Pendereckiego, Grażynę Bacewicz, Marka Stachowskiego, Zbigniewa Bujarskiego, Zbigniewa Penherskiego... Mogę wymienić jeszcze wiele nazwisk. Anglicy, Amerykanie nie wymienią tylu kompozytorów o takim znaczeniu. Tu jesteśmy w lepszej sytuacji. Z wykonawcami jest odwrotnie.

— Co panu przeszkadza w realizacji planów i zamierzeń artystycznych?

— Na razie nic nie przeszkadza, tylko droga jest trudna. Wyczerpuje się „napęd". My pracujemy na niezwykłych emocjonalnych bateriach życiodajnych. M. Bejart już zakończył pracę. Szajna również. Dlaczego? — Tego nie wiem. Domyślam się jedynie.

— Ile trzeba pracy, aby przedstawić publiczności np. kilkunastominutowy utwór „Eine kleine Nachtmusik"?

— Pierwszy utwór przedstawiliśmy publiczności po trzech latach pracy, następny po sześciu miesiącach, następny po trzech miesiącach; teraz zdarza się, że po kilku próbach. Zależy to się wkłada serca i wysiłku w opracowanie utworu oraz jakie są wymagania i okoliczności.

— Pana ideał wśród dyrygentów?

— Mam wielu — L. Bernstein, G. Solti, G. Szell, C. Abbado, B. Wodiczko, W. Rowicki, J. Kasprzyk.

— Co pana fascynuje u tych najlepszych?

— Ich talent. To jest coś, co oni otrzymali od Pana Boga i dzięki temu mogą przekazywać własną wizję widzenia muzyki.

— Wyłączając dyrygentów — kto pana jeszcze fascynuje?

— Ivo Pogorelić, ponieważ on widzi utwór na swój sposób. Nie powiela po raz wtóry scherza Cis-moll F. Chopina. On odczytał ten utwór na nowo, upraszczając niektóre rzeczy. To jest prawdziwy talent, który sam potrafi czytać z nut, a nie powiela sposobów odczytania przez innych. Takimi wielkimi i oryginalnymi odtwórcami byli także Paderewski i Rachmaninow.

— Czy zdarzają się wam „wpadki" na koncertach?

— Tak, na naszym pierwszym koncercie w Rzymie. Drogo za to płacimy — nie zapraszają nas tam. Na to niepowodzenie złożyło się wiele przyczyn: ośmiogodzinna jazda autobusem bezpośrednio przed koncertem, debiut w największej sali Rzymu, wybór utworów nie najlepiej opanowanych. Ta pomyłka zdarzyła się nam pięć lat temu, ale jej skutki do dziś odczuwamy. Pomyłka w sztuce drogo kosztuje.

— Występujecie na najbardziej renomowanych estradach muzycznych świata i na prowincji. W czym dla was przejawia się takie zróżnicowanie?

— W zasadzie nie ma różnicy. Jest tylko różnica w otrzymaniu angażu do tych sal. Ponieważ tamci mają możliwość większej selekcji, wobec tego wybierają to co jest im najbliższe. Otrzymanie zaproszenia do znanej sali koncertowej potwierdza wartość zespołu, buduje autorytet. Myślę, że żyjemy w takich czasach, że jeżeli artysta jest interesujący, to jest zapraszany. Artysta może jeszcze odmówić. Ale nie znam takiego, który odmówiłby zagrania w Cornegie Hall czy w Londynie. Ja jednak czuję się równie odpowiedzialny przed publicznością np. łódzką co londyńską. Myślę, że tak czyni każdy artysta.

— Nagrań płytowych dokonujecie przede wszystkim dla brytyjskiej firmy EMI.

— Współpracujemy także z firmą francuską i niemiecką. Obecnie sześć naszych nagrań płytowych ukaże się w najbliższym czasie. Byłbym najbardziej dumny, gdyby te płyty były tutaj — w Polsce. Czuję się zażenowany, że tak nie jest. U nas od nagrania do ukazania się płyty w sklepie trzeba niekiedy czekać kilka lat. Kto może sobie na to pozwolić?

— Czy utrwalano wasze nagrania koncertowe?

— W zasadzie nie. Ale cóż prostszego, aby jedna z naszych wytworni przysłała ekipę np. do Filharmonii Łódzkiej i nagrała tam nasz koncert. Jednak tak się nie stało.

— Zna pan wiele sal koncertowych. Które z nich oceniłby pan najwyżej?

— Moją najlepszą opinię o sali koncertowej, a także koncertmistrzyni zespołu Neville'a Marrinera pani I. Browa mogę odnieść do sali Filharmonii Bostońskiej oraz Cornegie Hall. W Polsce wspaniałą jest sala Filharmonii Poznańskiej.

— Jazz pana interesuje?

— Trochę. Lubię ten gatunek muzyki.

— Czy podczas dyrygowania zdarza się, że myśli pana ulatują w daleki pozamuzyczny świat?

— W zasadzie na takie pytania powinno się odpowiedzieć, że nic takiego się nie zdarza, że jest pełna koncentracja... Muszę jednak przyznać, że czasem myśli ulatują gdzieś w inny świat. W takich sytuacjach nie powinno się dyrygować. Jednak nie można sobie wybrać dowolnie koncertu i czasu jego prowadzenia. To są ryzyka tego zawodu, że stale trzeba być dobrym i ciągle zdawać egzamin. A przecież człowiek ulega różnym nastrojom. Jeżeli utwór się zna, to dyryguje się nim czasem jak we śnie — chwilowa emigracja myśli jest chyba zauważalna przez publiczność. Moi muzycy powiedzieli mi kiedyś w takiej sytuacji, że pracując wyglądam tak, jakbym nie myślał o tym co robię. Orkiestra zauważa więc ulatujące myśli.

— Czy dyrygowanie z pamięci ułatwia technikę manualną?

— Powtarzam za B. Wodiczką — utwór jest tak skomplikowanym dziełem, że nie można go znać bez reszty dobrze (pamiętać można dwa utwory, ale nie więcej). Miałem sam tego dowody.

— Z wyuczonego zawodu jest pan także kompozytorem, pianistą.

— Komponuję muzykę filmową. Myślę, aby kiedyś zagrać Mozarta na fortepianie. Zdaję sobie jednak sprawę, że to musiałoby być na jakimś poziomie. Myślę, że każdy dyrygent chciałby pisać udane kompozycje — to jednak rzadko się zdarza.

— Czym dla pana jest muzyka Mozarta? — ukrytym dramatem czy pogodnymi i beztroskimi perłami?

— Mozart jest nieprzeniknięty. Grając jego muzykę, bardzo trudno jest przekazać jego intencję. Wykonywanie jego muzyki wymaga nie tylko niezwykłej perfekcji, ale i jeszcze czegoś, czego słowami opisać nie można. Jest w jego utworach coś ukrytego i trudnego do uchwycenia — ale decydującego o wartości kompozycji

Rozmawiali:
MARIAN STRZELECKI
i JACEK WOLAŃSKI

Polemiki • Listy • Opinie

W POSZUKIWANIU „ODGŁOSÓW"

Powszechnie znane są nam narzekania na braki poczytnych książek, czasopism. Przyczyny bywają różne. Występujące okresowo braki papieru, zużyty park maszyn poligraficznych, niewydolność produkcji. Mnie osobiście zaintrygowała zgoła odmienna sprawa. Sprawa dystrybucji, a więc tego co nosiadamy.

Z takim zamiarem zaplanowałem sobie trzydniowy rekonesans po niektórych dzielnicach m. Łodzi. Od dłuższego czasu jakoś nie mogę nabyć „Odgłosów". Pisma do którego się przyzwyczaiłem i chętnie czytuję. Z pewnych wiarygodnych źródeł dowiedziałem się, że dystrybucja tygodnika nie jest w ogóle zależna od redakcji, podobnie zresztą jak i innych czasopism.

Instytucją odpowiedzialna za dystrybucję jest RSW „Prasa—Książka—Ruch". Detaliczne punkty sprzedaży w naszym mieście.

Rajd w poszukiwaniu „Odgłosów" rozpocząłem w środę o godzinie 13.00. Stanąłem grzecznie w kolejce przed kioskiem „Ruchu" u zbiegu ulic Rzgowskiej i Leczniczej. Niestety nadaremnie. Nie dowieźli — taką usłyszałem odpowiedź z ust uroczej panienki w kiosku. Przeszedłem szybko na drugą stronę ul. Rzgowskiej, gdzie udało mi się nabyć ostatni egzemplarz „Odgłosów" z 17 — tu dostarczonych przed dosłownie pół godziną. Nic dziwnego, że w czwartek nie mogłem już otrzymać „Odgłosów". Chcąc mieć rzetelne i obiektywne spostrzeżenia na drugi dzień z samego rana udałem się ponownie tym razem do śródmieścia.

Kiosk „Ruchu" nr 33 róg A. Struga, Piotrkowskiej .Centrum miasta.

Posiada pani „Odgłosy" w sprzedaży — pytam sprzedawczynię.

— Wczoraj miałam 20 egzemplarzy, które w mig się rozeszły.

— Czy nie ma pani żadnego wpływu na przydział?

— Niestety, nie mogę nic na to poradzić — pada odpowiedź.

Przechodzę przez ul. Piotrkowską na drugą stronę do kiosku usytuowanego w bramie posesji pod nr 96.

— Poproszę „Odgłosy".

— Niestety — nie mam.

— A ile w ogóle pani otrzymuje egzemplarzy?

— Jedynie 20 sztuk. Taki mam przydział — sprzedałabym więcej.

— Dziękuje za informację. Poproszę „Słowo Powszechne".

Płacę. Idę dalej do kiosku nr 37 przy Al. ZMP. Zamknięty. Przez okno widzę jeden egz. „Odgłosów" a kolejka już się ustawiła.

Okolice Dw. Fabrycznego. Kiosk nr 105. Są „Odgłosy"! Eureka! Wprawdzie niewiele pozostało z otrzymanych 28 szt. — ale są. Peron Dw. Fabrycznego. Kiosk „Ruchu" nr 100. Dość spora ilość różnego rodzaju czasopism, między innymi cała sterta „Odgłosów".

Wielce zdziwiony i jednocześnie zaskoczony pytam sprzedawcy.

— Ile pani otrzymała egzemplarzy „Odgłosów"?

— Tyle co zawsze — 130 sztuk — pada odpowiedź.

— Wszystkie pani sprzedaje?

— Nie mam zwrotów. Do niedzieli wszystkie wysprzedane.

— Dziękuję serdecznie za udzielenie mi informacji tak pokrzepiającej bowiem zwątpiłem czy uda mi się napotkać jeszcze chociaż jeden egzemplarz w sprzedaży.

Zerkam na zegar stacyjny. Dokładnie 9.40. Wracam z powrotem do miasta. Po drodze na chwilę zatrzymuję się przy kiosku nr 102.

— Posiadała pani w sprzedaży „Odgłosy"?

— O tak, ale wszystkie 18 sztuk, które otrzymuję już wczoraj sprzedałam. To bardzo mało. Ludzie chcą czytać, denerwują się, że nie mam ich w sprzedaży.

— Proszę kierować na peron — tam otrzymają jeszcze.

— Dziękuję, nie wiedziałam o tym w ogóle.

Postanawiam udać się jeszcze na Widzew-Wschód. Czekam na 29. W kiosku nr 64 przy przystanku tramwajowym również nie uświadczysz „Odgłosów". Te same niechodliwe tytuły czasopism — zalegają. Dojeżdżając na nowe osiedle, obserwuję z lewej i prawej strony rozpoczęte, nowe zupełnie budowle. Każdy skrawek ziemi jest tu właściwie zagospodarowywany. Teren uporządkowany. Wystrój nowych prywatnych kiosków warzywno-owocowych — cieszy oko przechodnia. Pętla tramwajowa Wysiadka. Kieruję się w stronę pobliskiego kiosku nr 214 przy ul. Puszkina. Na zapytanie o „Odgłosy" — moja sympatyczna rozmówczyni uprzejmie informuje: — Panie kochany „Odgłosy" na naszym osiedlu to rarytas. Otrzymuję zaledwie 6 sztuk. Sama nie mogę zdążyć przeczytać, aczkolwiek lubię je czytać. Szczególnie lubię rubrykę „Opinie. Polemiki. Listy". Są ciekawe wypowiedzi. Dziękuję za rozmowę i idę dalej. Być może inne kioski otrzymują więcej egzemplarzy — myślę po drodze. Niestety taka sama historia powtarza się w rozmowie z pozostałymi sprzedawczyniami: Kioski nr 287, 179, 269 i 295 — mniej więcej otrzymują taką samą ilość egzemplarzy do sprzedania. Kropla w morzu istniejących potrzeb na takie duże osiedle. Wracam mocno zawiedziony.

Po drodze jeszcze wysiadam na Tatrzańskiej. Kiosk „Ruchu" nr 214. Identycznie jak na Widzewie. Przejeżdżam na drugie nowe osiedle Chojny-Zatorze. Taka sama sytuacja. Szkoda się powtarzać. Muszę skończyć zaplanowany rekonesans na trzy dni. Nie ma żadnego sensu jeździć po innych dzielnicach Łodzi. Szkoda zachodu i czasu. A wnioski? Wnioski nasuwają się same.

Podsumowania nie będzie. Podaję stwierdzone fakty pod rozwagę naszym dystrybutorom, czytelnikom „Odgłosów".

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

KOLONIJNEGO SKANDALU CIĄG DALSZY

Wojewódzki Ośrodek Sportu i Rekreacji w Łodzi oraz ajentka Anna Zawadzka są szczerze zdziwieni, skąd czerpałem informacje dotyczące obozu rekreacyjno-wypoczynkowego dla dzieci zorganizowanego w „Zameczku", w Grotnikach. Otóż wyjaśniam, że w ogromnej mierze dostarczyli mi ich osobiście, resztę widziałem sam. W dniu 31 lipca br., wraz z Wojewódzką Stacją Sanitarno-Epidemiologiczną w Łodzi — dr Piotrem Tyfą oraz pracownikami sekcji żywienia: mgr Barbarą Musierowicz i mgr Urszulą Pytasz uczestniczyłem w kontroli placówki. W dwa dni później interweniowałem u z-cy dyr. łódzkiego WOSiR d.s. technicznych, Ryszarda Zakrzewskiego o natychmiastowe dowiezienie sprzętu sportowego do Grotnik. Dostarczono go po mojej rozmowie, właściwie już na zakończenie drugiego turnusu... Uprzednio liczne monity kierowniczki obozu, Teresy Dąbek, która od początku dysponowała, dosłownie, jedną zniszczoną piłką, pozostawały bez echa.

W czasie kontroli ajentka „Zameczku", Anna Zawadzka, nie dysponowała podstawowymi dokumentami, kartą kwalifikacyjną obiektu ani zezwoleniem na prowadzenie placówki wypoczynkowej dla dzieci — twierdziła, że są w Łodzi, u organizatora. Dane dotyczące wysokiego 130-złotowego narzutu i rzeczywistej stawki podała mi sama, nie stać ją ponoć było na dodatkowe napoje dla maluchów w czasie upałów. Teraz z kolei ja się dziwię, że publicznie oznajmia, iż całe trzysta złotych przeznaczała na wikt obozowy, kontrolującym jej działalność w dniu 31.07.83 mówiła zupełnie co innego. Błagała też, między innymi i mnie, o pomoc w „wywikłaniu się" z trzeciego turnusu (wywiązałem się przecież podając jej prośbę w artykule), gdyż zbiorowe żywienie to żaden biznes, przynajmniej dla niej... Czyżby?

Dzieciaki otrzymywały posiłki nieprawidłowo, sama zresztą przyznaje, że w pierwszym turnusie dwa razy dziennie i suchy prowiant, w drugim trzy, a dopiero po zaleceniach Wojewódzkiej Stacji Sanit.-Epid. w Łodzi wprowadziła czwarty — podwieczorek. Karać za brudy mandatem w dniu 31.07.83 nie było większego sensu, bowiem w tym dniu dzieci w ogóle nie jadły posiłków u pani ajentki, załatwiła je gdzie indziej, sama zaś obsługiwała weselę! Założenie, że ajent restauracyjny spełni należycie role aprowizatora grupy maluchów jest nieporozumieniem, gdyż goni wyłącznie za zyskiem. Za czystość sztućców i talerzy też nikt pani Zawadzkiej nie chwalił — natomiast kontrola stwierdziła, że jedynie myje to, co jest podawane na stół — a taki fakt ma zupełnie inną wymowę!

Co się zaś tyczy samego organizatora — Wojewódzkiego Ośrodka Sportu i Rekreacji w Łodzi, cytat z Prusa, którym usiłuje się podpierać w swojej obronie, jest absolutnie nie na miejscu, ponieważ był to pisarz szczególnie wrażliwy na krzywdę dzieci, czego o twórcy obozu w Grotnikach i kolonii w Wiśniowej Górze, w Zbiorczej Szkole Gminnej — niestety, powiedzieć nie można. W pierwszym przypadku, mimo wiadomego niedostatku wody, nieprawidłowego żywienia (WOSiR korzysta z usług „Zameczku" nie po raz pierwszy), kłopotów z organizowaniem zajęć z braku sprzętu, itp., wcześniej nie wykazał należytej troski — o wszystko, kąpiele pod prysznicami, rozgrywki na boiskach sąsiednich kolonii zabiegała wyłącznie kierowniczka obozu. Była to męcząca żebranina, nie uprzednio przygotowane warunki. Natomiast w drugiej placówce w Wiśniowej Górze, zorganizowanej zupełnie „na dziko" — bez uprawniających dokumentów, WOSiR dał dzieciom do spania sienniki rzucone na brudną podłogę, sfatygowane koce i ani skrawka bielizny pościelowej. Oczywiście niezbędny sprzęt dowieziono po interwencjach. Czemu tak karygodnych zaniedbań nie próbowano wyjaśnić w prasie, choć zarzuty postawiłem? Jeśli w tym miejscu dodam, że zakłady pracy wykupujące „luksusowe" szeroko rozreklamowane „miejsca wypoczynkowe" dla milusińskich płacą grube tysiące (sprawę tę również pominięto w wyjaśnieniu), myślę, że ostatecznie udowodnię, jak w swej obozowo-kolonijnej działalności Wojewódzki Ośrodek Sportu i Rekreacji w Łodzi daleko odbiegł od czystych intencji, które usiłował wmówić w drukowanym sprostowaniu („Odgłosy" nr 37 z dnia 10.09. 83) i odsłonię rzeczywisty sens poczynań leżący jedynie w zyskach. Uważam, że organizowanie wypoczynku letniego dla dzieci to sprawa zbyt poważna, aby zajmowali się nią ludzie niekompetentni, lekceważący najistotniejsze potrzeby dziecka.

EDWARD BRYL

„NIEPOTRZEBNA BUDOWA"

W 36 numerze „Odgłosów" z dnia 3 września 1983 roku w odpowiedzi na mój artykuł pt. „Rozpoczęto budowę, która okazała się niepotrzebna" p. Marta Sobocka zarzuciła mi, że nie w pełni prawdziwie przedstawiłam sprawę budowy Domu dla Samotnych na Osiedlu Retkinia-Piaski. Swoim artykułem „skrzywdziłam tych mieszkańców osiedla, którzy w tym kierunku autentycznie działali... ludzi zarówno partyjnych, jak i bezpartyjnych, ofiarnych, oddanych wspólnej sprawie osiedlowej".

Droga pani Marto. Nie to było moją intencją, gdy zabierałam się za pisanie tego tekstu i nadal nie czuję się winna. Pisze pani, że „przeciw lokalizacji Domu dla Samotnych na osiedlu Retkinia-Piaski protestowali zawsze tylko mieszkańcy, a nie Komitet Osiedlowy". Przepraszam bardzo, ale dla mnie Komitet Osiedlowy to samorząd, a samorząd to MIESZKAŃCY. Zresztą w swoim artykule w kilku miejscach używam wymiennie słów „ludzie" i „działacze samorządu". Zwrotu „Komitet Osiedlowy" użyłam tylko raz. Nie rozumiem więc, skąd wzięło się u pani przekonanie, że całą zasługę w działaniach wokół tej budowy przypisuję Komitetowi Osiedlowemu „Piaski". Uważam też, że samorządem nie są tylko formalne struktury, gdzie funkcjonuje przewodniczący, wiceprzewodniczący i skarbnik. Dla mnie samorządem są zawsze wszelkie przejawy samorządności wszystkich mieszkańców. A przecież sama pisze pani o petycjach mieszkańców, zabiegach ludzi „służby ludziom", w tym i pani. Czy takich ludzi nie można nazwać działaczami samorządu?

Poza tym nie było moim zamiarem pisać epopei o zatargach między Komitetem Osiedlowym a mieszkańcami. To byłby temat na oddzielny artykuł. Dla mnie najważniejszą sprawą było ratowanie milionów złotych, które zostały włożone w tę budowę.

Teraz przechodzę do drugiego zarzutu p. Sobockiej. Otóż nie miałam racji pisząc, że nikt na Retkini nie słyszał o żadnym sondażu. Pisze pani: „Słyszano i to nie tylko na Retkini, ale w całej Łodzi, a nawet w całym kraju... Nie może być mowy o braku sondażu opinii publicznej. Nikt nie chciał po prostu jej słuchać i nie chciał nic zrobić." I tu zaszło nieporozumienie. Otóż ja pisałam o braku sondażu zainteresowanego środowiska przeprowadzonego przez Wydział Zdrowia. P. Sobocka natomiast przytacza argumenty obrazujące już protest opinii publicznej. A sondaż to technika badania opinii publicznej stosowana w badaniach statystycznych nad społeczną oceną danych wydarzeń; rodzaj rozsyłanej ankiety. I w tym wypadku mogę panią zapewnić, że o takiej ankiecie nic nie było wiadomo na Retkini. Sama bowiem mieszkam na tym osiedlu-gigancie od 1978 roku, mogę się więc na ten temat wypowiadać. Natomiast, jeśli już chodzi o protesty, to pisze pani m. in. o petycji z 850 głosami. Bardzo panią przepraszam za to stwierdzenie, ale ta liczba jest wcale nieprzekonywająca. Nie przekonuje mnie, a więc nic dziwnego, że nie przekonała władz miasta i spółdzielni. Co to jest bowiem 850 głosów w stosunku do 80-tysięcznego osiedla. Prawdopodobnie były to głosy z sąsiadujących bloków, co zresztą uważam za rzecz naturalną i wcale się temu nie dziwię. Gdyby udało się w porę zainteresować tą sprawą większy krąg osób i zebrać na przykład 8 tysięcy głosów, to wtedy władze miasta miałyby z kim rozmawiać i można by było mówić o opinii zainteresowanego środowiska. A zainteresowanie środowiska tego rodzaju placówką według mojego rozeznania jest duże. Od czasu, kiedy pisałam swój artykuł, sprawa ruszyła naprzód. Inwestycją ma zainteresować się Polski Komitet Pomocy Społecznej. Został też ustalony regulamin przydziału mieszkań, którego ma dokonywać Zarząd Spółdzielni RSM „Polesie" na podstawie opinii Społecznej Komisji Mieszkaniowej. W przypadku osób skierowanych przez inne spółdzielnie i Wojewódzką Spółdzielnię Mieszkaniową — przez wyżej wymieniony zarząd na podstawie opinii Społecznej Komisji Mieszkaniowej działającej przy Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej i innych spółdzielniach. W tej chwili lista chętnych już przekroczyła możliwości placówki. Należałoby tylko życzyć, aby budowa Domu dla Samotnych została jak najszybciej zakończona; aby niepotrzebna budowa na Retkini okazała się potrzebna.

EWA LACHOWSKA

JESZCZE O „MAŁOLETNICH PILOTACH"

Szanowny Panie Redaktorze!

Doskonale zdaję sobie sprawę z faktu, że „tasiemcowe" polemiki nie bardzo nadają się do publikacji, niemniej jednak, z uwagi na szereg zarzutów wysuniętych na łamach Waszego tygodnika przez Pana Jana Zbigniewa Chojnackiego, będę niesłychanie wdzięczny za zamieszczenie mojego sprostowania. W dalszym ciągu polemiki na temat artykułu o „Małoletnich" — jestem głęboko rozczarowany uporem Autora, który odpiera moje zarzuty w sposób nieco dziwny. I tak — twierdzi, że komendantem SPLdM był ppłk obs. Adam Julian Zaleski, odsyłając mnie do „Historii polskiego lotnictwa wojskowego 1918—1939". Zgodnie z życzeniem Autora — na wspomnianej str. 180 stwierdza się, że komendantem SPLdM był mjr pil. Adam Zalewski (nie ppłk obs. A. Zaleski), ale dotyczy to okresu przed reorganizacją polskiego szkolnictwa lotniczego, czyli przed 1937 rokiem. Natomiast na wskazanej przez Autora stronie 592, w załączniku nr 5 dotyczącym obsady personalnej ważniejszych stanowisk w polskim lotnictwie, a obejmującej okres „od lata 1939" figuruje nazwisko ppłk pil. Adama Zaleskiego jako Komendanta CWPL Bydgoszcz-Krosno.

Natomiast w „Informatorze historycznym o Wojsku Polskim", tom 9, wydanym przez Wojskowy Instytut Historyczny im. W. Wasilewskiej w Warszawie w 1978 roku czytamy na str. 194 (cytuję:).

„Centrum Wyszkolenia Lotnictwa nr 2 zostało zorganizowane w 1929 roku w Bydgoszczy jako Centrum Wyszkolenia Podoficerów Lotnictwa. W 1937 roku przemianowano je na Centrum Wyszkolenia Lotnictwa nr 2. W 1939 r. Komendantem Centrum był ppłk pil. Adam Zaleski. W skład Centrum wchodziły: Szkoła Podoficerów Pilotów, Szkoła Mechaników Lotniczych i Szkoła Podoficerów Lotnictwa dla Małoletnich..."

Moje sprostowanie oparłem jednak przede wszystkim na zachowanych dokumentach w Centralnym Archiwum Wojskowym w Rembertowie, gdzie w tomie 18 znajdują się rozkazy o mianowaniach na stanowiska dowódcze w CWL-1 i CWL-2. Powoływanie się Autora na opracowanie Adama Hasińskiego, „Historia SPLdM 1930—1939" jest nieco niepoważne. Po pierwsze dlatego, że oryginalne dokumenty zachowane w CAW mają większe znaczenie źródłowe aniżeli opracowania książkowe, po drugie historia ta została opracowana i wydana w Anglii, gdzie brak jest wielu dokumentów z tamtego okresu. A zatem nie może być traktowana jako opracowanie ściśle historyczne. Również powoływanie się na sprawozdanie por. obs. A. Kaucza, napisane prawie 5 lat po opisywanych wydarzeniach jest niepoważne. Po pierwsze nikt nie jest na tyle fenomenem, aby po 5 latach wojny pamiętać dokładną godzinę nalotu czy stan pogody.

Sprawa bombardowania lotniska w Krośnie. Według źródeł niemieckich „Der Feldzug in Polen, Lagenberichte des OKW" karta 3 stwierdza się, że w dniu 1 września zostały zaatakowane wszystkie bazy lotnicze za wyjątkiem Wilna, Lwowa, Krosna i Dęblina. W dzienniku działań bojowych 4 Floty Powietrznej Luftwaffe, znajdują się wymienione lotniska polskie, które 1 września były atakowane przez tę Flotę. Były to: Katowice, Wadowice, Moderówka, Radom, Łódź, a przede wszystkim lotnisko cywilno-wojskowe Kraków-Rakowice. Pod dniem 2 września zanotowano cele do nalotów: Krosno, Dęblin, Radom, Lublin, Mielec oraz szczególnie podkreślone lotnisko fabryczne LWS w Świdniku. Dokumenty te, nie są niestety do podważenia, nawet gdyby Autor sam latał bombardować Krosno w dniu 1 września o godz. 6.05. Dokładność i systematyczność niemiecka są powszechnie znane i podważanie tego rodzaju dokumentów jest niepoważne.

Pomijam już „akademicką dyskusję" na tematy ataku z lotu koszącego przez Dorniery Do-17. Chciałbym tylko dodać, że wspomniane przez Autora „Łosie", Wellingtony czy Halifaxy nie wykonywały lotów koszących, lecz loty nurkujące. Różnica między jednym a drugim polega na tym, że samolot leci równolegle do ziemi pochylony pod kątem, atakując cele z broni pokładowej, natomiast lot nurkujący polega na locie zbieżnym z ziemią pod odpowiednim kątem. A więc nie ma mowy o lotach koszących wykonywanych przez bombowce. Lot na małej wysokości nie jest jeszcze lotem koszącym ani lotem nurkowym — jest po prostu lotem prostoliniowym na określonej wysokości.

Autor zastanawia się, skąd zdobyłem informacje na temat stanu pogody rankiem dnia 1 września 1939 roku? Nic trudnego, proszę Autora! Pierwszym sygnałem było odwołanie dnia 1 września 1939 roku o godz. 5.50 przez marszałka Goeringa akcji „Wasserkante" z powodu złych warunków atmosferycznych, co zostało zanotowane w dziennikach działań bojowych 1 i 4 Floty Powietrznej. Drugim dokumentem jest mapa pogody południowo-wschodniej Polski na dzień 1.09.1939 r. godz. 6.00 wykonana przez posterunek meteo Brygady Bombowej w Ułężu k. Dęblina, znajdująca się we wspomnianym 18 tomie akt Centralnego Archiwum Wojsk. w Warszawie. Materiałami pomocniczymi są relacje: komendanta Bazy Dęblin, mjr pil. M. Tarnowskiego (Biuro Historyczne Lotnictwa Londyn, nr Lot. A.I. 14/1a za liczbą dziennika 148 Lin/ 44) oraz relacja dyżurnego podoficera Portu Lotniczego Dęblin kpt pil. J. Mikszo. Zbieżność tych wszystkich informacji jest dowodem, że Autor po prostu się myli. Nie sądzi przecież nikt, że Goering odwołałby zaplanowaną akcję swojego lotnictwa, bez istotnej przyczyny.

Sprawa atakowania lotnisk przez Dorniery Do-17 w liczbie, jak pisze autor 25—32 Dornierów. Po pierwsze: Luftwaffe w 1939 roku posiadała niewielkie ilości Dornierów Do-17F, które były używane jako samoloty dalekiego rozpoznania. Jednostką operacyjną lotnictwa rozpoznawczego była eskadra (Staffel) w ilości 9 samolotów. Niemieckie lotnictwo rozpoznawcze dzieliło się na „Eskadry H", czyli eskadry bliskiego rozpoznania wyposażone w samoloty typu Heinkel He-45 i Henschel Hs-126 oraz na „eskadry F" — czyli eskadry dalekiego rozpoznania, wyposażone w samoloty Dornier Do-17F. W lotnictwie rozpoznawczym najwyższą jednostką organizacyjną był dywizjon. Nie było w Luftwaffe pułków rozpoznawczych. Według 6 de B 4 Luftflotte, stan jej na dzień 1. 09. 1939 roku przedstawiał się następująco: 2 dywizja lotnicza w składzie: 4, 76 i 77 pułki lotnictwa bombowego wyposażone w samoloty Heinkel He-111, 77 i 168 pułk bombowców nurk., samoloty Junkers Ju-87B „Stuka". Grupa bojowa „Richthofen" w składzie: szkolne pułki bombowe; „General Wsever" i 4 pułk bombowców nurkujących. 138 i 311 pułk myśliwski z samolotami Messerschmitt Me-109E, 76 pułk myśliwców ciężkich z samolotami Me-110, 11 eskadr bliskiego i dalekiego rozpoznania w tym 7 eskadr H — wyposażonych w samoloty Henschel Hs-126 oraz 4 eskadry F — wyposażone w samoloty Dornier Do-17F. Tak więc, sprawa jest chyba jasna i nie wymaga komentarzy. W tym przypadku, wyjaśniając Autorowi pewne sprawy — opieram się li tylko na dokumentach, aby nie być podejrzanym o chęć ośmieszenia i o krytykę „na żywioł".

Na zakończenie swojej wypowiedzi Autor stwierdza, że w wykazie personelu SPLdM nie odnalazł wymienionych przeze mnie uczniów oraz pozostałych żołnierzy, a zatem nie byli oni ani uczniami, ani instruktorami w Krośnie.

Od ponad 15 lat zbieram dokumentację poległych polskich lotników, opierając się nie na jakichś zestawieniach, ale na bardzo poważnych dokumentach w postaci relacji rodzin poległych, aktów zgonów, ewidencji w Instytucie Historycznym im. Gen. Sikorskiego w Londynie oraz ewidencji Ministerstwa Gospodarki Komunalnej i Ochrony Środowiska, w którego gestii znajdują się cmentarze wojenne i wojskowe na terenie Polski. Wymienieni przeze mnie uczniowie i instruktorzy SPLdM pochowani są na cmentarzach w Krośnie oraz na cmentarzu w Szebniach koło Jasła i w Jaśle, i w tamtejszych księgach cmentarnych figurują po dzień dzisiejszy. Zarząd cmentarzy zachował księgi zgonów, które są znakomitym materiałem dla badacza tamtych dziejów. Znajdująca się w tej chwili w druku w Londynie „Księga Poległych Lotników Polskich" została zweryfikowana przez kolegów-lotników ze Stowarzyszenia Lotników Polskich i mimo sugestii p. Z.J. Chojnackiego, polegli żołnierze lotnictwa polskiego na lotniskach w Moderówce, Krośnie i na szlaku odwrotu zostaną wpisani do pamięci narodowej.

Z niepoważną radością, Autor stwierdza że i ja się „potknąłem" nie umieszczając trzech nazwisk poległych uczniów SPLdM. Niestety, muszę Autora rozczarować. Nie „potknąłem" się, lecz po prostu nazwiska te nie dotyczyły bombardowań wymienionych lotnisk. Szer. ucz. pil. M. Domagała po bombardowaniu Moderówki został wysłany do Krosna i zginął podczas ostrzeliwania drogi przez niemieckich myśliwców. Pochowany został nie w Szebniach, gdzie leżą wszyscy polegli podczas bombardowania Moderówki, lecz na cm. w Jaśle. Szer. ucz. pil. Piórek Jan Franciszek również nie zginął podczas bombardowania, lecz kilka godzin później na lotnisku Moderówka, podczas wybuchu bomby z opóźnionym zapłonem. Szer. ucz. strz. rtg. Ekiert Roman nie zginął podczas bombardowania Gródka Jagiellońskiego. W dniu 22 września 1939 r. po bombardowaniu opuszczano Gródek Jagielloński. Ucz. strz. rtg. R. Ekiert zgłosił się na ochotnika do grupy zwiadowczo-rozpoznawczej i kiedy maszerowano już poza miastem, został zastrzelony przez dywersanta ukraińskiego.

Podobny los zresztą spotkał nieco wcześniej Henryka Gawieńkowskiego, który w dniu 17. 09. 1939 r. idąc w szpicy oddziału natknął się na uzbrojoną grupę Ukraińców pod m. Łuniniec i w wyniku wymiany strzałów poległ. Nie wspomniałem również o Edmundzie Aleks. Szprędze, kpr pil., który wraz z grupą pilotów ewakuował samoloty RWD-8 na lotnisko Ułęż, i który zginął na lotnisku w Ułężu dnia 2. 09. 1939 r., podczas bombardowania w godzinach popołudniowych. Pochowany jest na cmentarzu w Lublinie, kwatera lotników — co Autor może zresztą łatwo sprawdzić. Jeżeli Autora interesuje pełna lista poległych podczas Wojny Obronnej Polski uczniów i absolwentów SPLdM służę swoją kartoteką, ponieważ wymienianie jej na łamach prasy zajęłoby zbyt wiele miejsca.

Wymienione nazwiska poległych były wielokrotnie weryfikowane i konsultowane przeze mnie z innymi ludźmi, zajmującymi się historią polskiego lotnictwa, że wspomnę tylko p. Adama Popiela z Gliwic czy p. mgr inż. Jerzego Pawlaka z Warszawy. Ponadto również konsultowałem te sprawy z p. Janem Otłowskim z Warszawy, absolwentem SPLdM oraz z innymi absolwentami SPLdM poza granicami kraju. Dodam jeszcze tylko, że posiadany przez Autora wykaz, opracowany przez A. Hasińskiego jest niepełny. Z wymienionych uczniów SPLdM, którzy rzekomo zginęli w Łucku, okazało się, że żyją i cieszą się dobrym zdrowiem. Na temat samej księgi i prowadzonych przeze mnie wieloletnich poszukiwań — można pisać wiele, ale nie należy to do tematu.

Uważam, że przedstawionymi w niniejszej korespondencji dowodami, całkowicie wyjaśniłem sporne kwestie i nie należy już wracać do polemiki, tym bardziej, że Autor na poparcie swoich racji posiada zaledwie „racje z autopsji".

HUBERT KAZIMIERZ KUJAWA
kpt rez. pil.
historyk lotnictwa

Opowieść ostatniego kowala

Młotobij, ogniarz i falbankier...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Sam nie wiem dlaczego nie zjawiłem się tu wcześniej. Pewnie dlatego, że niska, zadymiona przybudówka skryta w zieleni gęstych krzaków dopiero u progu jesieni jakoś z tego gąszcza wyjrzała. A i trasa komunikacyjna obok zatłoczona wielce wiedzie, więc nie ma tu czasu ani miejsca na rozglądanie. Ale tego dnia, pod wieczór się już miało, niskie wrota były rozwarte, a w ciemnym wnętrzu, w migotliwym blasku ognia dwie sylwetki miarowo wyginały się pod brzemieniem młotów. Zamach, huk i snop iskier. I jeszcze raz, i jeszcze...

Kuźnia. Prawdziwa. Jeszcze funkcjonująca. Może już ostatnia w milionowym prawie mieście? Wszedłem do środka. Ten niższy, starszy podniósł na sekundę umorusaną twarz.

— Co się stało? Koń, samochód?; czy pług się stępił? — pytał szybko nie przerywając roboty. Zapamiętale tłukli, rozwałkowywali jakiś czerwony pręt. — Jak trza coś pospawać to dziś nie da rady, tienu nie mam... — nie dawał dojść do słowa. Papierosowy pet jak przylepiony tkwił w ustach nie przeszkadzając ni w pracy, ni w rozmowie.

— Porozmawiać chciałbym trochę o robocie, o zawodzie...

— Z finansówki pewnie... — zarechotali. Młoty wciąż spadały w równym rytmie.

— Nie, z gazety jestem. Przecież to ginący zawód, pewnie jedna z ostatnich kuźni...

— Dobra, w porządku. Ale panie, nie wcześniej jak w sobotę po fajerancie, koło szóstej wieczorem. Bo roboty od cholery i czasu wciąż brak. — No, bierz teraz sztabkę na falbank, a kleszcze szybko na kotlinę — to było do pomocnika, bo ze mną majster rozmowę uznał już za skończoną.

Spóźniłem się trochę. Ale czekał. Zmordowany widać po całym tygodniu, umorusany jeszcze siedział na zagraconym wszelkim możliwym żelastwem podwóreczku. Z nieodłącznym papierosem w lufce.

— Wojnarowski Zygmunt, rocznik tysiąc dziewięćset sześć — wyciągnął do mnie żylastą prawicę. Pobrużdżone oblicze przyglądało mi się nieco ironicznie, oceniając wrażenie, jakie wywołał ten rocznik.

— Jak to się zaczęło? Ano, jak to mówią z ojca na syna. Ale siądź se pan gdzie, może na tej beczce, bo tu wszystko zasmolone, jak to w kuźni.

Urodził się w Nowym koło Kutna. Tam ojciec miał kuźnię, a i dziadek, co w sile dożył 99 lat, też był kowalem. W Warszawie. W domu było ich jedenaścioro — siedmiu braci i cztery siostry. Fach ojciec miał poważny i choć w domu się nie przelewało, to biedy nie cierpieli. Ale pracować trzeba było ciężko. I to od najmłodszych lat.

— Po starszeństwie byłem w domu trzeci. Miałem bodaj 11 lat i u ojca na miechu za sznurek musiałem już codziennie dymać. Ze szkoły się wracało i do roboty. Ciekawiła mnie ta praca, czułem że od niej nie odstąpię, ale co tu gadać, chciałem być lepszy od ojca. Tu się nauczyłem podstaw, ale tego było mi mało...

— Chyba dziewiętnaście lat niecałe miałem jak wyszedłem z domu. W tajemnicy pojechałem do Żychlina. Najpierw myślałem pracować w takim szwajcarskim towarzystwie, co to silniki do tramwajów robili, ale szybko przekonałem się, że to nie dla mnie. Nająłem się do miejscowego kowala...

Młody, sprytny, szybko się uczył. Chciał go też żychliński majster ze swoją kuzynką żenić, a po paru latach firmę na Zygmunta przepisać. Ale ani mu to w głowie było, wiedział, że jeszcze wiele lat musi tajniki zawodu poznawać, zdawał sobie sprawę, że wciąż niewiele umie. Eleganckich wolantów czy bryczek raptem kilka u ojca i teraz naprawił, więc długo miejsca w Żychlinie nie zagrzał. Ciągnęło go do dużych, nowoczesnych kuźni. Po roku powędrował do Łowicza. I u Krupińskiego przez parę lat doskonalił swój fach.

— Łatwo powiedzieć — doskonalił. Panie, dzisiaj młodym łopatą się do głowy wiadomości kładzie, a za przeproszeniem, zaraz im tylkiem wychodzą. Kto by tam wtedy młodego szpica szkolił. Trza było robotę, jak to mówią, ukraść, podejrzeć, podpatrzyć, potem samemu gdzieś na boku próbować. Ale jak się robi piękne powozy, ciężkie lory czy miękkie bryczki, to dopiero w Łowiczu mogłem podejrzeć naprawdę.

— Tam już były całe firmy. Kowal wykonywał wszystkie elementy metalowe, nie tylko resory, wóz jak to mówią — ustawiał, a obok stelmach wasongi robił, a ostatni szlif to znowu lakiernik. Panie, inna stal była niż dzisiaj. I na składzie u Żyda do wyboru, do koloru, na wekselek, bez kłopotu można było dostać, jeszcze się prosili. Tam się nauczyłem jak gisztel prawidłowo pod dorożkę montować, jak łapy do resorów zgrzewać, bo przedtem znałem tylko odkuwane, a teraz szło to szybciej.

— Naprawdę piękne bryczki i wolanty robiliśmy, dla wojskowych, dziedziców, „księżaków" okolicznych. Dobry powóz kosztował 700—800 złotych, bryczka-wolant — do tysiąca, a pamiętam taki powóz Wiktoria — to chyba z 1600 złotych. Ale panie, aż się oko śmiało. Resorki dawaliśmy lekkie, nie jak inni z dziesięciu czy dwunastu, ale z sześciu tylko piór. Jak sam je zahartowałem, to gardłem gwarantowałem, że wytrzymają. Bo swoją moc i sprężystość mieć musi. A resorki robiło się piękne, wyszlicowane, pod lakier, szparunki dawało się różne, najczęściej jasne. A lakierniki to mieli te śleperki, pędzelki z wiewiórczego włosia, żeby się farba nie rozlała. Panie, po dwudziestu latach mógł się pan w takim lakierze golić jak w lustrze...

Ceniony był już wtedy w okolicy, „młody szpic — a jaki zdolny" — mówiono o nim. Podpadał czasem, bo to i starych fachowców czasem pouczać próbował, poprawiać chciał po swojemu. Młotem umiał dobrze bić, a i podkowy zakładał doskonale. Czuł konia jak nikt. Przeprowadzał go najpierw długo, starą podkowę macał, oglądał. Mówili, że i z końmi gada. Ale jak trzeba było rasowego Araba podkuć, czy ciężkiego, transportowego — tylko do kuźni, gdzie Wojnarowski robi. Miał swoje metody, na uszkodzone kopyto, na zerwane ścięgna. Gdzie inni się bali — on podkuwał. I nigdy konia nie zmarnował.

— Panie, toż to tak jak z ludzką nogą. Nie ma dwóch butów jednakowych, idealnie do stopy pasujących i nie ma dwóch jednakowych podków. Rzecz jasna, jak się chce robotę porządnie zrobić. Ale trza znać anatomię konia, budowę nogi tzw. rozkład kopyta.

— Roboty było bardzo dużo. Odmiennie niż dziś się pracowało — od 6 rano do dwudziestej przeważnie, inaczej by człowiek nie zarobił. Ale też w trzy tygodnie cały wolant się robiło. A konkurencja była duża, w samym Łowiczu kilkunastu dobrych kowali pracowało. *I twardym trzeba było być.* Pamiętam, to był chyba 29 rok, taka zima ciężka, mroźna, wszystkie na grypę chorowały, a ja „Grypolin" brałem i robiłem za dwóch. E, dla zdrowia „brałem" też spirytusik z piwem, i szynkę na bułkę, masła grubo i to człowieka trzymało.

Wojnarowski przerywa na chwilę, męczy go kaszel. — Zaraz, zaraz — chrypi, bo ktoś się do metalowej furty dobija. — No i co Zygmunt z moim pługiem? — ogorzała twarz wsuwa się w wąską szparę. — Cholera, nie dałem rady skończyć — majster drapie siwą skroń. — Ale być rano w poniedziałek, jeszcze tylko jeden lemiesz został do naostrzenia. — No będę, będą, przecie wiesz ile teraz w polu roboty, a kto mi to zrobi, jak nie ty — podpuszcza na pożegnanie rolnik.

— Taki zwyrodniały dzisiaj ten zawód. To już nie kowalstwo, bo i taczkę, i samochód też trza umieć naprawić. Z końmi również przychodzą, mam tu paru stałych klientów, ale po trochu człowiek jest i blacharzem, i ślusarzem, i mechanikiem z konieczności. A zawsze mówili, że kowal to ślusarza po fajerancie zrobił...

— No, ale co tam, wtedy w Łowiczu też za długo miejsca nie zagrzałem. Ciągnęło mnie do Warszawy, jakie też tam bryczki robią, jaką techniką? Może coś się da podpatrzeć? Chyba w trzydziestym roku pojechałem do stolicy, ale okazało się, że wiele rzeczy lepiej od tamtejszych majstrów wiem. W ustawianiu pojazdu, czyli regulacji tej całej amortyzacji, zawieszenia też byłem nieraz mądrzejszy. Miałem swoje metody, jak pióra ustawić; jak raz ustawiłem, to już śruby kazałem ucinać, bo wiedziałem, że poprawki będą niepotrzebne. A to najważniejsze, jak by to powiedzieć: bryczka czy powóz musi iść miękko, poddawać się równo, by konia nie zmordować i pracować na każdej drodze równomiernie. Raz żeśmy się założyli, pamiętam, zrobiłem po swojemu, jeszcze szybciej niż klient chciał. Porządny był chłop, do Słoniewicza po trzy litry wódki — białogłówki kazał posłać. To był, taka ciekawostka, spirytus dobierany czymś co się zwało chabeso. Doskonale to smakowało, ale wziął tajemnice ze sobą do grobu, nikt potem tak nie dorabiał...

— Umiałem już sporo, dwudziesty siódmy rok mi szedł, żenidło podrosło, trza się było obejrzeć za panią Wojnarowską. A przyjeżdżałem wtedy do Łodzi, tu niedaleko w Retkini, starszy brat, Stefan miał swą kuźnię. Poznałem też w Łodzi w tym czasie, jak to mówią, ciepłą wdowę, po kowalu. Kuźnia była dobra, na Wojska Polskiego pod sto dwudziestym, tylko ludzi miała kiepskich do roboty. No i ożeniłem się, ludzi nowych podobierałem, żeby był z nas zgrany zespół.

— Prawidłowo, to powinno być w kuźni trzech, a nawet czterech ludzi. Bo tak: falbankier, podkuwacz, ogniarz i pomocnik, czyli młotobij. Jak duży ruch, to i ogniarzy powinno być dwóch — prawy i lewy, ten lewy to zawsze jest młodszy stażem, co się dopiero do roboty wciąga...

No i miał wreszcie własną kuźnię. Majster co jeszcze trzydziestki nie skończył szefował starszym od siebie często i o dwadzieścia lat falbankierom i ogniarzom. Ale tak to już było — liczyły się faktyczne umiejętności, a nie wiek czy „papier". A majster był biegły, robotę miał opanowaną do perfekcji, robił szybko i nowocześnie. To i zamówień nie brakowało, choć w samej Łodzi — jak opowiada — było przed samą wojną prawie 100 kuźni. Na dzisiejszej Wojska Polskiego działało wtedy, od mostu do placu Kościelnego, siedmiu czy ośmiu kowali. Aż przyszedł Wrzesień...

— Pierwsze lata okupacji pozwalali mi jeszcze pracować. Dopiero gdzieś w połowie czterdziestego drugiego przyszedł, pamiętam rano, żandarm i dwóch z gestapo i w pięć minut musiałem kuźnię zamknąć, a im oddać klucze. Co było robić? Pracowałem u Niemca, w kuźni na Karolewskiej: fachowiec to on był żaden, ale wyposażenie zakładu miał świetne. Robiło się platformy transportowe, bryczki, „resorki". Ale i niektóre Niemce umiały robotę docenić. Jednemu klientowi, co miał firmę transportową przerobiłem kranc w wozie po swojemu, bo mu się na zakrętach wywracał. Wiedziałem, że mi nie tylko zapowiedziane baty grożą, jeśli się nie uda. A on, drań, zamiast ośmiu — dwanaście ton towaru załadował, szóstkę koni zaprzągł i jazda. Miałem trochę stracha, ale następnego dnia przychodzi, wali prosto do mnie i powiada: — przerób mi pan tak moje wszystkie lory...

— Po wojnie otworzyłem swoją kuźnię. Dziury w dachu na metr straszyły, ale co tam, nie zraziłem się, przecież cała Polska była wtedy jak ten dach zniszczona i dziurawa.

— Przeprowadzać się musiałem jeszcze dwa razy, bo wyburzali pod budownictwo. Najpierw na Strykowską, „na dołek", pod siódmy, a od siedmiu lat tu robię — pod siedemdziesiątym szóstym...

— Ile? Ja wiem, że 100 powozów i bryczek to w życiu zrobiłem. Jeszcze parę lat temu to słyszałem, że jedna moja bryczka i wolant gdzieś koło Łowicza doskonale się sprawują. I wcale mnie to nie zdziwiło, powiem szczerze przecież to nie samochód, choćby i Mercedes, żeby się po czterdziestu latach rozleciały...

Albo kto dziś umie podkuć wyścigowego araba czy kłusaka. Robiłem i takie podkowy. Musi ona być krótka, żeby koń o nią tylnej nogi nie kaleczył. Robi się taką specjalną zatyczkę z przodu i ruchomą „bombkę". Podkowa się nie zsuwa, a jeszcze kopyto w kłusie do przodu mu wyciąga...

— No prawie, że jedyny, sam się niemal ostałem. Janie Bronek na Złotnie jeszcze trochę podkuwa i Zygmunt Goszczyński w Wiskitnie, com go egzaminował sam na mistrza.

— Zginie ten zawód nie wiedzieć kiedy, dopóki jeszcze trochę koni zostało to i gdzieś tam kowala się wypatrzy. Choć jak mówię — bardziej to blacharz i ślusarz, niż prawdziwy podkuwacz. A kto dziś umie prawdziwą cygańską bryczkę okuć czy ustawić, te galerwiki wyrobić metalowe, armuliny różne spasować?...

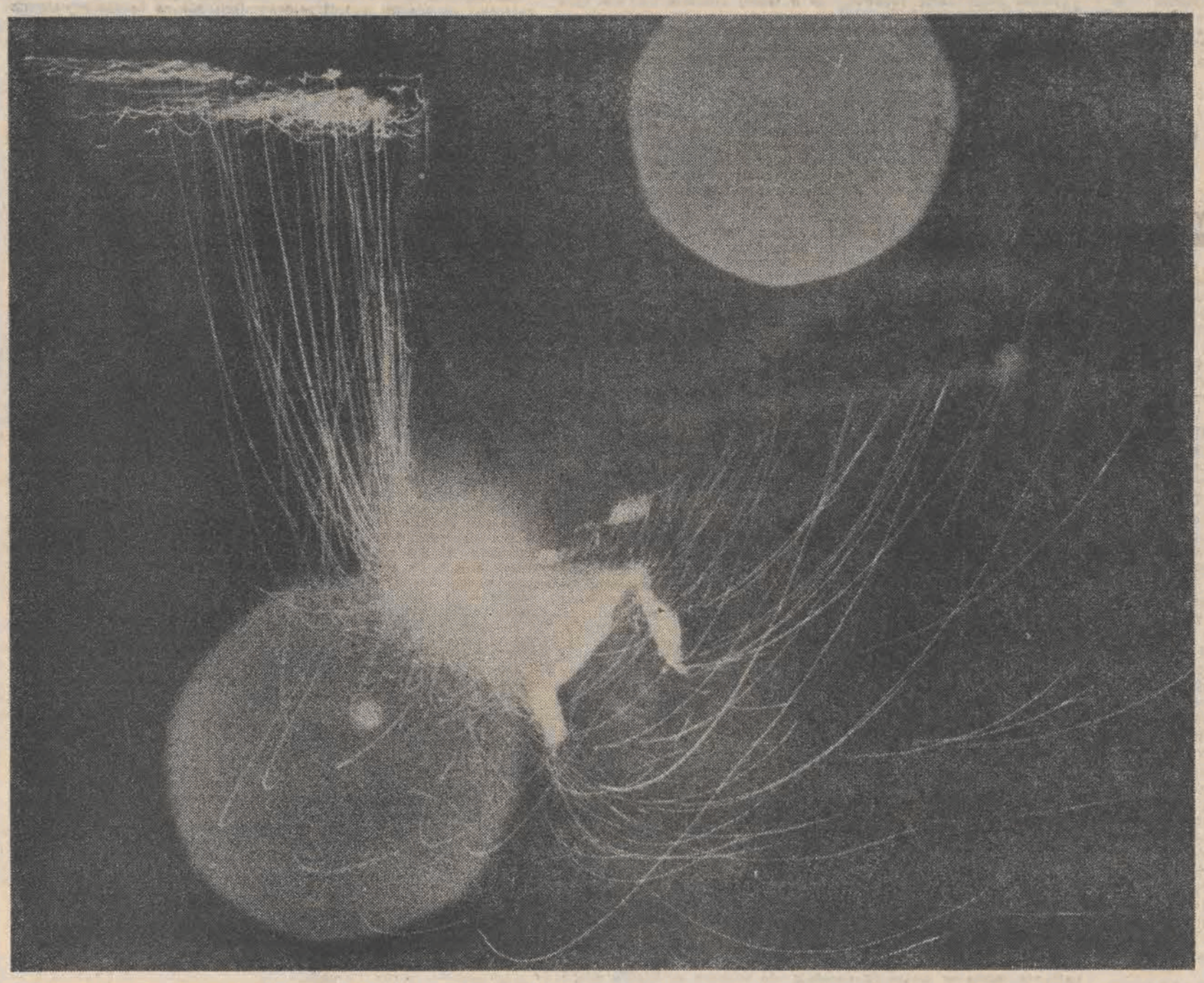

Foto: Włodzimierz Parys

Marazm

JACEK BINKOWSKI

W Białogardzie najpopularniejszą rozrywką młodych jest spacer po głównej ulicy, albo... zakupienie pół litra wódki i wyprawa nad jezioro. W Białogardzie z braku innych zajęć czternastoletnie dziewczyny rodzą dzieci. Tak mówią o tamtejszej młodzieży, tak mówi młodzież o sobie. Bo w Białogardzie nie ma żadnych rozrywek, w Białogardzie nie istnieje zjawisko kultury.

— Tutejsza młodzież jest tak zaniedbana, że nie potrafi bawić się bez alkoholu, i nie wie kto napisał „Balladynę" — mówi bibliotekarka z Domu Kultury Kolejarza.

A miasto liczy ponad dwadzieścia tysięcy ludzi, z tego najmniej jedna trzecia to młodzi...

* * *

I rzeczywiście. Główna ulica Białogardu, prowadząca do rynku, po godzinie dwudziestej zapełnia się grupami młodych ludzi. Chłopaków i dziewczyn chodzących w tę i z powrotem, albo siedzących na ławkach. — Ta ulica, to jakby symbol marazmu w mieście. Bo nawet kawiarni porządnej nie ma.

Maria Przybyszek — bileterka z tamtejszego kina (jedynego, bo drugie od lat w remoncie) powiada, że w tym mieście zawsze tak było i ona też pamięta swoje młode lata, kiedy się siedziało w domu, albo chodziło po ulicy.

A dzisiaj ona młodym w Białogardzie bardzo współczuje, bo rzeczywiście nie mają co robić. Dom Kultury w remoncie, jedno z kin w remoncie, a i kawiarni przyzwoitej dla nich nie ma. Zbierają się więc w domach i słuchają magnetofonu, albo chodzą po tej ulicy. Albo, co najgorsze, piją wódkę i szukają przygód. Krótko mówiąc, pani Przybyszek bardzo młodzieży współczuje.

— W kinie też nie najlepszy repertuar, wiadomo prowincja. I trzeba zaznaczyć, że tutaj ambitne filmy nie „chwycą". Na ten przykład „Z życia marionetek" Bergmana obejrzało chyba kilkadziesiąt osób. To za trudne filmy dla naszej młodzieży. Co innego „Wejście smoka" albo „Wielki Szu". Na tych filmach zawsze były kompletny i seanse dodatkowe graliśmy...

Na słupie ogłoszeniowym przy dworcu PKS obok masy zawiadomień o śmierci i pogrzebie jeden plakat informujący o przyjeździe zespołu rockowego „Turbo".

Te zespoły, bo przyjedzie w lipcu do Białogardu jeszcze kilka innych, to tylko z okazji imprezy „Rock nad Bałtykiem" — informuje siedemnastolatek.

— Poza tym u nas przysłowiowa cisza. No, czasami dyskoteka raz w miesiącu. Dom Kultury to tylko sobie stoi jak każdy inny budynek, bo o działalności żadnej nie słyszałem. Krótko mówiąc, każdy się bawi we własnym gronie i przeważnie w domu. Można też wziąć trochę jedzenia i butelkę wódki, i wybrać się kilka kilometrów stąd nad jezioro. Też będzie rozrywka. W samym mieście nie ma dla młodych żadnej takiej młodzieżowej kafejki, gdzie można by było wybrać się z dziewczyną albo z kolegami spokojnie posiedzieć.

— Czy my coś proponujemy? A co my możemy proponować i komu? Czy kogoś nasza propozycja tutaj może obchodzić. A poza tym, powiem szczerze, nikomu się nic nie chce. Po prostu jesteśmy przyzwyczajeni do takiej apatii i koniec...

W Wydziale Oświaty, Wychowania i Kultury Urzędu Miasta Białogard panienka, która jak sama twierdzi, powinna zajmować się sprawami kultury w tym mieście, nic na ten temat bliżej powiedzieć nie może i w ogóle od niedawna pracuje i poza tym w samym Białogardzie nie mieszka. Krótko mówiąc, nie zna tego środowiska, ale podejrzewa, że nie jest najlepiej. Cóż by można w tej sprawie zrobić, też nie bardzo wie i nie widzi rozwiązań. Nieco bardziej kompetentny w tych sprawach jest inspektor Antoni Figiel. Inspektor od oświaty, kultury, wychowania i sportu. Uważa, że kto się chce w Białogardzie nudzić, to się zawsze będzie nudził. I to, że w tym mieście nie ma w ogóle kultury, to wcale nie jest prawdą. Placówki kulturalne są w gorszym albo lepszym stanie, działają bardziej albo mniej prężnie, ale nie można powiedzieć, że ich nie ma w ogóle. I tak: jest w Białogardzie Ośrodek Kultury, jest Młodzieżowy Dom Kultury, Dom Kultury Kolejarza, są świetlice osiedlowe...

— No, nie da się ukryć, że niektóre placówki wymagają natychmiastowego remontu, bo straszą, mówiąc szczerze. Bo prawdą jest, że młodzież, skoro ma w domu wygodny fotel, kolorowy telewizor i dobrej klasy sprzęt muzyczny nie przyjdzie do obskurnych pomieszczeń Białogardzkiego Ośrodka Kultury.

A z programem w ośrodkach kulturalnych bywa różnie, przyznaje inspektor Figiel. Najbardziej aktywnie działa Młodzieżowy Dom Kultury, tam jest kilkanaście sekcji i w okresie szkolnym w MDK jest ponad tysiąc uczestników. Gorzej z młodzieżą pracującą, bo w zakładach pracy mało się przeznacza pieniędzy na zjawisko kultury.

— Ja tutaj widzę małe uaktywnienie młodzieży przez ZSMP w zakładach. Obserwuje się takie zjawisko, że w okresie tzw. szkolnym młodzież jest aktywna, działa w sekcjach i zespołach, a kiedy zaczyna pracować wszystko się nagle urywa. I zainteresowanie spada praktycznie do zera. Jak są jakieś imprezy przychodzi... kilka osób. Nawet taka tradycyjna impreza „Bitwa o krowę" nie cieszy się już taką popularnością jak kiedyś.

Przewodnicząca Zarządu Miejskiego ZSMP — Henryka Walczak twierdzi, że w zakładach pracy organizacja młodzieżowa stawia przede wszystkim na wypoczynek i sport, bo to najbardziej ludzi interesuje. A tą kulturą z prawdziwego zdarzenia białogardzka młodzież nie jest zainteresowana. I choćby nie wiadomo co robiło się w Zarządzie Miejskim — to i tak „nie chwyci" — jak mówi przewodnicząca. Ludzie podobno nawet nie czytają plakatów o imprezach, jakie się w mieście odbywają.

— Chcieliśmy wspólnie z harcerzami założyć klub dyskusyjny, ale nie było chętnych i taki klub do tej pory nie powstał.

Co jeszcze Zarząd Miejski ZSMP chciał zrobić, żeby zachęcić młodzież do uczestnictwa w kulturze, przewodnicząca młodzieżowej organizacji tak od razu przypomnieć sobie nie może. W każdym bądź razie zainteresowanie kulturą jest skąpe. I chociaż wiadomo, że w mieście są ludzie, którzy zajmują się fotografowaniem, piszą poezje i prozę, którzy myślą o założeniu zespołu muzycznego — to nie można ich jakoś przyciągnąć i spowodować, żeby się „odkryli".

Głos uzupełniający:

— Organizacja młodzieżowa w Białogardzie tak działa, jakby sobie nie zdawali sprawy z tego, że w tym mieście jest kilka tysięcy młodych ludzi. I pewnie ZSMP nie zdaje sobie sprawy, że ta młodzież nie jest taka łatwa, że trzeba do młodych umiejętnie podchodzić i atrakcyjnie zachęcać do uczestnictwa w kulturze. Ja na przykład jestem zainteresowany kursem języka obcego. Ale takich kursów w Białogardzie nie ma. Bardzo chętnie zapisałbym się do klubu fantastyki naukowej, ale takiego klubu nie ma, chociaż zainteresowanie tą sprawą jest bardzo duże. Interesuję się również teatrem, tylko do nas przyjeżdża Teatr Objazdowy z najgorszymi „knotami" i ludzi tylko zraża do teatru w ogóle...

Henryka Walczak z ZSMP:

— Jak było spotkanie z archeologiem w Domu Kultury Kolejarza, to przyszło kilkanaście osób, z tego większość pracowników, bo wstyd było przed człowiekiem. Jak był koncert orkiestr dętych sytuacja była identyczna. Cokolwiek by się nie zrobiło to ludzi trzeba przyciągać siłą. Kursy języków obcych również były organizowane, ale nie było chętnych. Nikt o nich nie wiedział, skoro wisiały plakaty? Już powiedziałam, że ludzie nie czytają żadnych ogłoszeń.

* * *

Białogardzki Ośrodek Kultury od lat nie cieszy się dobrą sławą. Ludzie pamiętają lata, w których w Domu Kultury kompletnie nic się nie działo, kiedy z dnia na dzień budynek był systematycznie dewastowany. Sabina Szulakiewicz — od kilku miesięcy dyrektor BOK — była zaszokowana, kiedy po przejęciu stanowiska zapytała instruktorów, co przez ostatnie lata zrobiono — nie potrafili wymienić choćby jednej imprezy.

— Po prostu nic się nie działo, kierownicy tej placówki zawsze byli z przypadku, nie próbowano nawet rozwijać żadnych form. Od niektórych form klubowych po prostu odstąpiono. Kilka lat temu były przecież spotkania z aktorami, z dziennikarzami, były wieczorki taneczne, była kręgielnia, piękny ogród. Natomiast przez ostatnie dwa, trzy lata nie było nic.

— I teraz, choćby nie wiadomo co robić, zła renoma pozostanie w świadomości. Długo trzeba będzie odzyskiwać zaufanie, żeby młodzież zmieniła swoje poglądy o BOK. Trzeba ludzi przyzwyczaić do uczestnictwa w kulturze, odrobić straty, jakie spowodował panujący w tej dziedzinie marazm. Przede wszystkim trzeba robić dużo imprez, lepszych, gorszych, ale dużo. Na początku nie będzie chętnych, trzeba będzie sprowadzać na imprezy „na siłę". Ale jak się spodoba jedna impreza, to jeden drugiemu przekaże, że w Domu Kultury coś się dzieje, że warto przyjść na spotkanie. Tylko przedtem trzeba budynek doprowadzić do stanu używalności, żeby wnętrza były atrakcyjne, żeby wreszcie było gdzie organizować większe imprezy. Obecnie trwa remont i do czasu jego ukończenia nie można robić takich masowych imprez dla ludzi z zewnątrz, z uliey. Póki co działają sekcje.

I jeszcze jedno: żeby robić atrakcyjne formy zachęcające ludzi do uczestnictwa, muszą w BOK pracować instruktorzy z prawdziwego zdarzenia, ludzie z inicjatywą, twórcza. Dopóki nie będzie takich instruktorów nie można zaczynać cyklicznych imprez dla miasta. Natomiast dopóki nie będzie mieszkań i odpowiednich warunków oraz funduszy... nie będzie instruktorów. Taka jest prawda, niestety.

A prawda jest taka, że dyrektorka Białogardzkiego Domu Kultury właściwie działa samotnie. Zainteresowanie władz miasta sprawami kultury delikatnie mówiąc jest znikome, jak sama twierdzi. Owszem, władze by chciały, żeby kultura w tym mieście była, ale specjalnie nie są zainteresowane jej tworzeniem. A chodzi, podobno, tylko o trochę życzliwości i pomocy w doprowadzeniu placówki do używalności. No cóż, najłatwiej z góry założyć, że młodzież nie chce kultury, że młodzieży nie interesują żadne spotkania i że w ogóle wszystko jest w porządku. Kiedy dyrektorka BOK powołała Radę Programową do spraw Upowszechniania Kultury, żeby spróbować zdiagnozować zjawisko, poznać przyczyny zaniedbania i w ogóle coś zaradzić, na 40 osób przyszło około... piętnastu. Nie było dyrektorów szkół, nikogo z harcerstwa, nie było dyrektorów zakładów pracy ani... zastępcy inspektora Wydziału Oświaty, Wychowania i Kultury. Nie było więc osób, które niejako z urzędu powinny być upowszechnianiem zainteresowane.

— I jak można dojść do jakichś konkretnych wniosków, skoro nikogo to nie obchodzi — mówi dyrektor Szulakiewicz.

I jak wyprowadzić białogardzką młodzież z marazmu, skoro zainteresowanie władz miasta, szkół i zakładów pracy sprowadza się praktycznie do zera — donosiada dziennikarz.

— Bo najłatwiej asekurować się stwierdzeniem, że dzisiejszej młodzieży zaimponować można tylko głośną muzyką i alkoholem, uznać to za stan normalny. Tylko, ja się pytam, czy ktoś się silił zaproponować nam atrakcyjne formy spędzenia wolnego czasu? — dodaje dwudziestoletni chłopak.

* * *

Kiedy przychodzi wieczór, główna ulica Białogardu zapełnia się grupami znudzonej młodzieży, która z braku zorganizowanych form rozrywki poszukuje wrażeń we własnym zakresie. A starsi mają pretensję do młodego pokolenia, że takie apatyczne, że takie sfrustrowane. Bez życia jakieś, bez fantazji. I podobno narkotyki już niektórzy biorą...

Falsyfikat w przytułku

W. KASA

W lipcu ubiegłego roku czterdziestoletnia Janina J., nie pracująca sprzedawczyni po podstawówce, spotkała na ulicy swoją rówieśnicę, Lucynę M., zwaną Korą. Pani Kora była rozwódką, z nastoletnim dzieckiem i średnim wykształceniem ogólnym, czyli bez zawodu i bez majątku, nie pracującą, utrzymującą się z alimentów od byłego męża, ongiś artysty.

Janina wybierała się na wczasy i potrzebowała szlafroka, którego w sklepie nie można kupić. Kora powiedziała, żeby przyszła do niej, to Ela ze wsi pożyczy jej ten szlafrok. Janina poszła i zastała u Kory Elżbietę K. oraz funkcyjnego Jurka, ale bez alkoholu. Bo trzeba wiedzieć, że Kory M-3 zamieniło się samoistnie w ośrodek kultury, który jest skrzyżowaniem, powiedzmy, hotelu samoobsługowego z samodzielnym i samofinansującym się szynkwasem.

Ela powiedziała, że pożyczy szlafrok, ale przyniesie później. Była godzina trzynasta, Janinie J. spieszyło się na obiad, więc się umówiły na siedemnastą. Na odchodnym Ela zapytała, czy Janka nie pożyczy jej pięć setek.

— A jak ci się szlafrok spodoba — dodała — to sprzedam.

Janina J. pożyczyła. Jednakże o wyznaczonej porze szlafroka nie było. Elżbieta K. oświadczyła, że przywiezie ciuch, jak się ściemni. Zdenerwowana Janina dała tysiąc złotych Korze, która kupiła na mieście pół litra. Wypiły po kieliszku, razem było tego coś trzy butelki, i Kora z Janiną pojechały taksówką na wieś po szlafrok. Ela nie chciała jechać, ponieważ miała chęć do życia, była średnio wykształcona i zatrudniona w gospodarstwie rodziców. I co rusz chodziła do jakiegoś pokoju u Kory na seanse spirytystyczne z tajniakiem Jurkiem, który się za takowego podawał.

Matka Eli nie chciała Korze wydać szlafroka, kiedy jednak Janina oznajmiła, że Elka jest jej winna pieniądze, to zaraz wydała. Wróciły na chatę, gdzie Elżbieta z Jurkiem robili sobie hipnozę. Na wieść o nowej wódce przerwali seans i się napili.

I byłaby nastała senna cisza w hotelu, gdyby nie to, że trzech agentów na cyku już o godzinie dziewiętnastej poczęło kręcić powróz na wesołe towarzystwo z przytułku Kory. Byli to: 1. dwudziestosiedmioletni Włodzimierz S., zwany „Skórą", bezdzietny kawaler z podstawówką, bez zawodu, nie pracujący, na utrzymaniu rodziców, 2. czterdziestojednoletni Stanisław S., pseudo „Szubert", żonaty ojciec dwojga dzieci, z podstawówką, lecz bez majątku, zarabiający 10 tysięcy jako maszynista, 3. Władysław K., zwany „Kaczorem", lat trzydzieści sześć, żona plus dwoje dzieci, podstawowo wykształcony masarz, nie pracujący i bez majątku.

Ci właśnie osobnicy dorwali na dworcu autobusowym wracającą z Łodzi dwudziestoczteroletnią Danutę Z., panienkę z poczciwego okienka, która miała blond włosy krótkie, mamę w Chechle oraz kłopoty, ponieważ ugryzł ją wiejski pies i brała leki. Ale najważniejsze, że tego dnia brała również pożyczkę z zakładu pracy. I pewnie dlatego gościnni trzej dżentelmeni zawiedli ją do kawiarni „Mocca". I postawili z gestem nababów z przedmieścia trzy butelki sikacza.

— Pij, mała, pij, na starość torba i kij — zachęcają.

A ona na to:

— Nie mogę ze względu na wściekliznę.

— A sztosik pod kocem?

— Chcesz się zarazić?

— Można się wściec! — jęczy Szubert. — Kup chociaż te pieprzone dolary!

— Po ile?

— Trzysta pięćdziesiąt.

Tanio. Wzięłaby ze dwadzieścia, ale rzecz w tym, że Szubert nie mógł rozmienić tych dolarów.

— Więcej nie kupię — oświadczyła nieugięta, skrzywdzona przez psa dziewczyna.

— To na ulicę, sobaką zakażona — zaryczał mściwie Kaczor. — Odpadkami cię żywić, sekutnico!

I wypędzili sierotę na bruk.

Ale zabrakło im wina. Kaczor zarządził wypad do pani Kory. Zobaczyli na chodniku przed kawiarnią załamaną psychicznie Danutę Z. i serce im zmiękło. Zabrali do taksówki niebogę, zawieźli na ulicę Radosną.

I tu się właśnie zaczęło nieszczęście. Dokładnie o godzinie dwudziestej pierwszej trzydzieści.

Kaczor poszedł do Kory i mówi, co jest grane. Po zastanowieniu orzekła, iż nabywcą może być sąsiad z drugiej klatki, emerytowany szewc Władysław W. Wprawdzie obywatel ten miał tylko 4500 zł renty inwalidzkiej za utratę wzroku jednego oka i krótszą prawą nogę, ale forsa go się jakimś cudem trzymała. Kaczor wręczył Korze banknot studolarowy i poszła robić transakcję, przeprosiwszy wpierw towarzystwo.

Władysław W. wiedział, że dolarami nie wolno handlować, wolałby bony, ale nie rozróżniał bonów od dolarów, toteż w końcu uległ pokusie. Tym bardziej, że chciał sobie kupić jakiś aparat w Pewexie. Zaznaczył jednak, że weźmie dolary po dwieście pięćdziesiąt, da tylko zaliczkę, a resztę po sprawdzeniu, czy banknot nie jest fałszywy.

Kora zeszła przed blok, gdzie czekali panowie z Danutą Z., i mówi:

— Weźmie za dwadzieścia pięć tysięcy. Zaliczka dziesięć tysięcy plus dwie butelki wódki po tysiąc.

— Czyli do rozliczenia trzynaście — stwierdził inteligentnie Kaczor.

Naradził się z paką, która wyraziła zgodę na ten interes.

Natenczas w przytułku zbudził się z letargu cywil funkcyjny Jurek.

— Korka jest u chachmęta! — wrzeszczy. — Ja się zastrzelę!

— Co za chachmęt? — dopytuje się Janina J.

— A to ślepe ścierwo na hulajnodze! Przyjaciel naszej umiłowanej Kory...

— Niedobry człowiek?

— On ją strasznie katuje! Idę go aresztować!

Ale jak zobaczył na schodach Korę całą i zdrową, z dwiema butelkami wódki, zaniechał egzekucji służbowej. Wypili te dwie butelki, ocknięta z erotycznych misteriów Elżbieta K. przysunęła się do Szuberta. Kaczor wydzielił dyskretnie Skórze i Szubertowi po trzy tysiące. Rozochocony Szubert dał Korze tysiąc na półlitrówkę.

I zaczęły się dziać cuda.

Wyparowała pogryziona przez psa Danuta, chociaż wcale nie piła.

Zniknął w sposób niezwykły agent bez uniformu.

Szubert upił się jak świnia, zdążył się jednak oporządzić w przedpokoju i wyszedł.

Nigdzie nie można było znaleźć Elżbiety K.

Ulotnił się koszyk Kory ze szlafrokiem w środku.

Pod wieszakiem stały buty swawolnej Elki.

— Co tu się dzieje? — dziwi się Skóra. — Czy ktoś nie wyskoczył przez okno?

Nie! Wykształcona córa rolnika wyszła boso, żeby zaliczyć Szuberta, bo harówka na roli wzmogła u niej potencję i dzika żądzę.

Została ćwiartka wódki na stole.

Wstrzemięźliwy Kaczor przeznaczył ją na kota.

Zasnęli, by zbudzić się o dziewiątej rano, wypić klina i pójść po nową wódkę.

A Władysław W. poszedł do Pewexu, pokazał w kasie banknot studolarowy i dowiedział się, że to piękny falsyfikat. Wali więc do mieszkania Kory, stuka, puka, lecz nikt nie otwiera, choć w środku musi ktoś być. Udał się do matki Kory, ob. Alicji W., sześćdziesięcioletniej emerytki, która miała klucz do mieszkania córki. Weszli i matka ze łzami w oczach mówi do Kory:

— Jezus Maria, coś ty narobiła?

— Ja? A cóż takiego?

— Dziesięć lat ci grozi, córeczko...

— Za co, do cholery?

— Dałaś temu oto „Kulawce" fałszywe sto dolarów.

Zaskoczona Kora aż zaniemówiła. No, bo nie miała pojęcia, że banknot jest podrobiony. Obiecała, że do wieczora znajdzie tych cholernych handlowców. Władysław W. opuścił lokal, a Kora poszła po chleb i mleko do sklepu.

Matka siedzi i płacze. Pojawia się Janina J., a za nią Skóra i Kaczor. Słuchają lamentu, wzdychają, wszyscy zdenerwowani i zaskoczeni. Kaczor ze Skórą klękają, całują matkę po rękach.

— Niech się pani nie martwi — rzecze Kaczor — on z tymi dolarami nigdzie nie poleci. My je wykupimy.

— A masz forsę na wykup? — pyta rzeczowo Skóra.

— Pani Janka pożyczy.

— Ależ ja nie mam pieniędzy! — broni się Janina J.

— Ale ma pani złoto — zauważa Kaczor i wskazuje obrączkę i pierścionek na palcach niefortunnej poszukiwaczki szlafroka.

W tym czasie do przytułku przybyła skromnie Elżbieta K., nie zauważona wsunęła się do jakiegoś pokoju i siedzi jak trusia. Wraca ze sklepu Kora, rozpoczyna dysputę z matką i ze Skórą, a Kaczor z Janiną J. przechodzą do kuchni. Kaczor hipnotyzuje Janinę, która unosi dłoń, pozwalając mu delektować się widokiem biżuterii.

— Może pierścionek? — kusi Kaczor. — Zrobimy umowę, damy pod zastaw i się uratuje nieszczęsną Korę.

— O, nie! Pierścionek to pamiątka rodzinna.

Kaczor ogląda kobiecą dłoń, dotyka palcami błyskotek, przesuwa obrączkę.

— Obrączka nic niewarta — stwierdza.

— Jak to? Siostra była u wyceny i wyszło trzynaście tysięcy!

— Nie wierzę! Ale można sprawdzić — szepcze Kaczor.

I zsuwa z palca obrączkę, skacze do przedpokoju i krzyczy:

— Włodek! Kup mi papierosy!

I już ich nie ma! A oszołomiona Janina stoi w kuchni, gardło ma ściśnięte, wzrok błędny. Wreszcie wpada do przedpokoju i jęczy:

— Szatan mnie omamił i uszedł z obrączką!

Wybiegły kobiety przed blok, lecz po naszych agentach wszelki ślad zaginął.

Po obrączce też...

I do dziś nie ma obrączki, do dziś nikt nie wie, skąd panowie wytrzasnęli banknot studolarowy. Bo oni się do niczego nie przyznali.

Ale Władysław K. kupował, Kora pośredniczyła, tamci trzej musieli więc sprzedawać, przeto wszyscy muszą odpowiadać przed sądem.

Można ich rozgrzeszyć tylko z jednego. Otóż wszyscy mogli nie wiedzieć, że banknot jest fałszywy, a więc wprowadzili go do obiegu nieświadomie. Czy to możliwe?

Ano, tak. Według opinii ekspertów z KG MO falsyfikat został wykonany techniką poligraficzną. Takie egzemplarze są notowane w publikacjach Interpolu. Po raz pierwszy natrafiono na fałszywą setkę w 1977 roku w Syrii. W Polsce odnotowano dotąd trzy przypadki: w Łodzi, w Ustroniu i w Lesznie.

Eksperci z KG MO stwierdzają zgodnie, że taki falsyfikat jest szalenie trudny do rozpoznania dla osób nie obeznanych z wyglądem oryginałów.

A więc, obywatelu! Pragnąc zlikwidować swój nawis, kupuj tylko drobne zielone!

Ale po cichu...

Zew krwi

MANUEL VAN LOGGEN

Nowa zabawa narodziła się w Paryżu, ale w chwili obecnej kluby istnieją w większości stolic europejskich. Przyłączyły się one do międzynarodowej federacji, która ustaliła przepisy gry. Planuje się już nawet zorganizowanie mistrzostw świata. Oczywiście pierwszym miastem, które będzie miało zaszczyt gościć najlepszych sportowców będzie Paryż, istnieją jednak jakieś przeszkody prawne. Obcokrajowcy biorący udział w zawodach powinni mieć te same prawa i obowiązki, co miejscowi. Odbyły się wprawdzie pierwsze rozprawy sądowe, ale, jak dotąd, nie zapadł ostateczny wyrok i obcokrajowiec pragnący uprawiać swój sport w Paryżu wciąż ryzykuje aresztowaniem za zwykłe morderstwo, a za morderstwo z premedytacja we Francji obowiązuje kara śmierci.

Nietrudno się domyślić, że te staroświeckie przepisy utrudniają wzięcie udziału w zabawie. Poza tym hamują one rozwój zdrowego pragnienia polowania, gdyż nic nie jest tak dobre dla nowej dyscypliny sportu, jak międzynarodowe spotkania, które pomagają podnieść poziom zawodów, wpływając jednocześnie mobilizująco na tych, którzy wciąż jeszcze są outsiderami.

Pomimo tych przeszkód sezon polowań na pieszych został w Paryżu rozpoczęty. Otwarto go w pierwszy wtorek kalendarzowej jesieni. O tej porze roku w „Mieście Światła" przebywa zazwyczaj wielu obcych. Większość z nich nie zna za dobrze przepisów zabawy i może zostać z łatwością upolowana. Zaczęły się więc odzywać głosy, by nie dopuszczać do tego, żeby ofiarą polowań padały osoby nie znające przepisów; postulat ten jednak jest nie do zrealizowania ze względów czysto praktycznych, gdyż takich ludzi trzeba wyposażyć w jakiś widoczny znak, a to znaczyłoby, że zostali zapoznani z przepisami i tym samym przestali być ignorantami.

Zapadła więc decyzja, że można polować na wszystkich pieszych, także ignorantów. Oczywiście stuknięcie takiego pieszego nie jest tak zaszczytne, jak wzięcie na zderzak zdolnego spryciarza, ale dla wielu myśliwych nie ma to znaczenia. W każdej dyscyplinie sportu znajdą się tacy, którzy bardziej dbają o widoczną dla wszystkich premię punktową niż własna satysfakcję. „Lepsze jedno ciało na zderzaku niż dziesięć punktów więcej na liście honorowej!" — jest ich hasłem i nic im nie można zrobić, dopóki działają w granicach przepisów.

Odbyłem rozmowę na te tematy z prezesem Związku Myśliwych Polujących na Pieszych, panem Pierrem Chasseur, który posiada biuro przy Rue de la Paix. Przyjął mnie wyjątkowo uprzejmie, ale do pewnego stopnia także protekcjonalnie.

— Wciąż jeszcze łowi się ryby w pańskim kraju? — zapytał z przesadną grzecznością, tak często spotykaną u wysokich urzędników.

— Owszem — przytaknąłem.

— Tu już nie — powiedział z satysfakcją. — W każdym razie w naszych sferach. Wyprawy na ryby zostały całkowicie wyparte przez polowania na pieszych. To o wiele bardziej interesujący sport.

Opowiedział mi nie bez dumy o swych staraniach, mających na celu zalegalizowanie nowego sportu.

— Kosztowało mnie to wiele czasu i wysiłku, ale za to teraz ściśle współpracujemy z władzami. Wielu dyplomatów zostało już członkami naszego klubu.

Jak pan wie, polowania na pieszych rozpoczęły się na długo przed powstaniem klubu, ale były dzikie, niezgodne z przepisami i wyjątkowo niesportowe. Co innego dzisiaj.

Wstał i poddając się przepełniającemu go entuzjazmowi zaczął przemierzać tam i z powrotem pokój. Był znacznie niższy niż przypuszczałem. Pokręcał swe rzadkie, żółte wąsiki, dopóki nie zaczęły sterczeć na boki. Od czasu do czasu spryskiwał się perfumami z małej buteleczki. Przedyskutowaliśmy możliwości rozpropagowania nowego sportu w moim kraju. Opowiedziałem mu o istniejącej tam silnej opozycji. O tym, że polowanie na pieszych uważane jest przez większość moich rodaków za dziwaczną i wyjątkowo okropną zabawę.

— Nonsens! — skwitował krótko to, co powiedziałem, pan Chasseur. — Tutaj początkowo było to samo. Ale ludzie wkrótce przyzwyczaili się do walk byków. Teraz, kiedy mamy to już za sobą, ludzie doceniają piękno tej dyscypliny sportowej: zręczność, intuicję i inteligencję, jakie są potrzebne, aby dostać przechodnia zgodnie z przepisami. Przepisy jako takie są dosyć zawiłe. W zeszłym tygodniu wprowadziliśmy do nich poprawkę, która przyznaje dziesięć dodatkowych punktów za Amerykanów. Są oni tak doskonałymi fachowcami od przeskakiwania przez jezdnię, że trudno ich dostać na zderzak. Przechodzień w ogóle nie jest bezbronny. Jeśli stosuje się do przepisów, dosyć trudno go złowić. Jednocześnie teraz jest o wiele trudniej zdobyć przyzwoitą premię, niż na początku. Piesi stali się ostrożniejsi. Jak pan wie, piesi są bezpieczni na zebrach, a teraz jeszcze wielu zaczęło instynktownie unikać przechodzenia w zakazanych miejscach. Bardzo wielu zaczęło czekać na czerwone światło dla samochodów, a są nawet tacy, którzy trzymają się ściśle przepisów ruchu drogowego. Człowiek musi wysilić całą swą inteligencję, aby łowy się udały. Powinien był pan to zauważyć.

Skinąłem głową. Rzeczywiście widywało się już o wiele mniej samochodów z przywiązanymi do zderzaka przechodniami, niż na początku sezonu łowieckiego w zeszłym roku.

— Powiedziano mi, że niektórzy myśliwi stosują niedopuszczalne metody — zauważyłem ostrożnie, nie chcąc urazić mego gospodarza. Ale ten zareagował, jak na prawdziwego sportowca przystało.

— To prawda — powiedział. — Zdarza się to od czasu do czasu, zwłaszcza wśród nowych członków. Z niższych sfer. Ale my natychmiast reagujemy. Usuwamy ich, gdy tylko uda się nam zdobyć wiarygodny dowód takiego postępowania. Oznacza to unieważnienie licencji myśliwego. Wiem, że niektórzy myśliwi kazali dobrze zbudowanym dziewczynom spacerować na wabia przed maskami swoich samochodów albo rozsypywali drobne w pobliżu przejść dla pieszych. Ale to już nie skutkuje. Piesi są sprytniejsi niż się panu zdaje. Wkrótce połapali się w czym rzecz.

— W każdym razie w naszym kraju sport ten uważany jest za raczej okrutny — powiedziałem.

— Odbyła się nawet dyskusja w Parlamencie na ten temat. Stowarzyszenie Pieszych żąda wydania zakazu polowania, jeśli nie całkowitego, to przynajmniej obejmującego członków organizacji noszących odznaki.

— Nie wiedziałem o tym — wymamrotał pan Chasseur. — Uważam, że to bardzo niesportowo, a poza tym nie fair z ich strony. Wie pan chyba, że my, myśliwi, chcemy podnieść na wyższy poziom kulturę zachowania się pieszego na jezdni. Polujemy tylko na tych, którzy naruszają przepisy ruchu drogowego. Z pewnością pan wie, że w ciągu pierwszych kilku miesięcy po otwarciu sezonu liczba ludzi zabitych na drodze zmalała o około trzydzieści procent, ponieważ piesi stali się o wiele ostrożniejsi. Piesi, którzy znają dobrze przepisy, mają większe szanse na utrzymanie się przy życiu. Jest to korzystne także i dla nas, gdyż w ten sposób większość pieszych jest na poziomie. Na pieszych poniżej osiemnastu lat i powyżej sześćdziesięciu nie wolno polować, nawet jeżeli stoją na środku autostrady.

— Ale w jaki sposób może pan ustalić wiek pieszego znajdując się we wnętrzu samochodu? — zapytałem.

— Union Nationale de Pietons rozprowadza wśród swych członków opaski, na których widnieje wiek posiadacza, ale na ulicach zdążyli już się pojawić piesi z podrobionymi opaskami i nie ma to nic wspólnego ze sportem.

Raz jeszcze podkręcił wąsy, tym razem w przeciwnym kierunku i te upodobniły się do wystrzępionego kawałka sznura. Spojrzał na zegarek.

— Za kilka minut mam spotkanie z człowiekiem ze Szwecji — powiedział. — W kawiarni, po przeciwnej stronie ulicy. Byłoby mi bardzo miło, gdyby zechciał pan udać się ze mną na małego drinka. Moglibyśmy porozmawiać na temat sposobu utworzenia filii Federacji w pańskim kraju.

Wyszedł przede mną. Z wyraźną przyjemnością wciągnął w płuca spaliny unoszące się nad ulicą niebieskimi chmurami.

— Dobra pogoda na polowanie — powiedział.

Kiedy byliśmy na środku jezdni, zza rogu wyskoczył z rykiem samochód i skierował się prosto na nas. W dwóch ogromnych skokach — bo ze strachu wyrosły mi u ramion skrzydła — znalazłem się na chodniku.

Ujrzałem młodego człowieka wysiadającego z samochodu i z wprawą przywiązującego pana Chasseur rzemykami do zderzaka.

I tylko dzięki małym plamom krwi na jezdni uświadomiłem sobie, że mój towarzysz na moment zszedł z pasów dla pieszych.

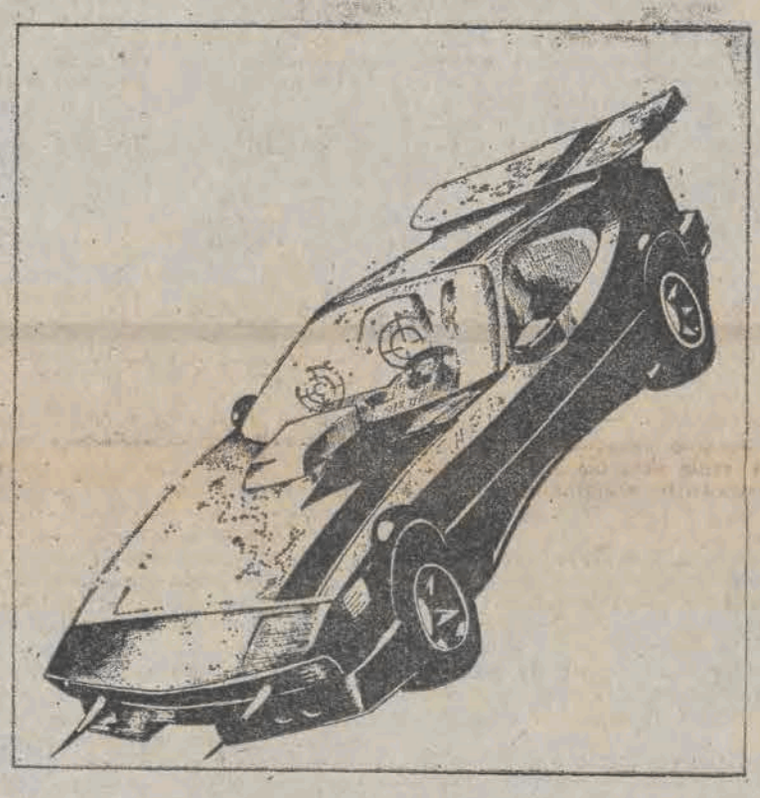

Rys. K. Wieczorek

Tłum.:
MICHAŁ SIWIEC

Nagrody dla tych, którzy podadzą swój adres

Co chcesz czytać na tej kolumnie?

ANKIETA DLA MIŁOŚNIKÓW SF

Chcąc poznać gusta naszych Czytelników, postanowiliśmy przeprowadzić ankietę. Na podstawie jej wyników łatwiej będzie nam dobierać materiały do kolumny fantastyki tak, aby zadowoliły jak największą liczbę zwolenników tego gatunku. Pozwoli to również zorientować się, jak Czytelnicy oceniają dotychczasowy profil kolumny, gdyż chcemy, aby i odbiorcy mieli wpływ na to, co pojawia się pod szyldem „W kręgu fantastyki".

Ankietę przygotował współredagujący kolumnę łódzki oddział Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki, również fundator nagród. Bowiem ci, którzy zechcą, mogą wziąć udział w losowaniu nowości wydawniczych sf (Iskry, Czytelnik) — wystarczy tylko podać swe nazwisko i adres (patrz punkt XIX). Można też nadsyłać odpowiedzi anonimowo. Wtedy nie bierze się udziału w losowaniu nagród.

Ankiety należy nadsyłać pod adresem redakcji „Odgłosów": 90-438, al. Mickiewicza 11, z dopiskiem: „Ankieta SF", do dnia 15.X.1983 r.

I. Płeć K/M
II. Wiek . . . . . .
III. Wykształcenie . . . . . .
IV. Wykonywany zawód . . . . . .
V. Mieszkam w:
A — mieście powyżej 500 000 mieszkańców
B — mieście od 50 000 do 500 000 mieszkańców
C — mieście poniżej 50 000 mieszkańców
D — na wsi
VI. Poza sf interesuję się również . . . . . .
VII. Sf interesuję się od:
A — czasów szkolnych
B — czasu studiów
C — .....lat
D — nie interesuję się
VIII. Należę do organizacji lub klubów miłośników fantastyki (jakich?) . . . . . .
IX. Kolumnę fantastyki czytuję:
A — regularnie
B — od czasu do czasu
C — przeglądam
X. Spośród innych rubryk „Odgłosów" oraz zamieszczanych w nich tekstów, „W kręgu fantastyki" moim zdaniem:
A — jest najmniej ciekawa
B — niczym się nie wyróżnia
C — wyróżnia się
D — jest najciekawsza
XI. Aktualna objętość rubryki (1 kolumna) jest:
A — wystarczająca
B — nie wystarczająca
C — zbyt duża
XII. Jeśli jest nie wystarczająca, proponuję poszerzenie do . . . . . .
XIII. Jeśli jest zbyt duża, proponuję ograniczenie jej do: . . . . . .
XIV. Najbardziej odpowiadają mi:
A — opowiadania polskie
B — tłumaczenia
C — recenzje literackie
D — recenzje filmowe
E — szkice z zakresu teorii literatury sf
F — szkice z zakresu teorii filmu sf
G — artykuły popularnonaukowe (filozofia, astronomia, itp.)
H — artykuły paranaukowe (paleoastronautyka, futurologia, UFO, itp.)
I — kronika wydarzeń w ruchu sf w Polsce i na świecie
XV. — Preferuję:
A — opowiadania kończące się w tym samym numerze
B — dłuższe formy w odcinkach
XVI. Proponuję poszerzenie kolumny o następującą tematykę (następujące formy) . . . . . .
XVII. Z dotychczas publikowanych tekstów najbardziej podobało mi się (wywarło na mnie największe wrażenie):
A — opowiadanie (jakie?) . . . . . .
B — szkic . . . . . .
C — inne . . . . . .
XVIII. Inne uwagi nie ujęte w wyż. wym. punktach: . . . . . .
XIX. Jeśli chcesz wziąć udział w losowaniu nagród, podaj w tym punkcie swoje imię, nazwisko i dokładny adres: . . . . . .

Świat ciemności

„Na zachód od Arkham wznoszą się dzikie wzgórza, a doliny porastają głębokie lasy, których jeszcze nigdy nie tknęła siekiera. Są tam mroczne, ciasne wąwozy, a w nich fantastycznie pochylone drzewa i sączące się wąskie strumyki, gdzie nigdy nie dociera słońce". Tak zaczyna jedno z niezwykłych opowiadań Howard Phillips Lovecroft w tomie „Zew Cthulhu", rysując obraz ciemnych gór i dolin Nowej Anglii, w których czają się tajemnice ludzkości i Ziemi.

Twórczość Lovecrofta, mało dotąd znana polskiemu czytelnikowi, jest jednym z najbardziej interesujących i kontrowersyjnych zarazem zjawisk w dwudziestowiecznej literaturze fantastycznej. Trudno zresztą opowiadania Lovecrofta jednoznacznie zakwalifikować, niełatwo bowiem określić ich wyznaczniki gatunkowe. Jeden z krytyków amerykańskich, jak przypomina we wstępie Marek Wydmuch, usiłując nazwać charakterystyczne dla autora połączenie cech powieści grozy i science-fiction, wymyślił formułkę „science fiction of horror", która znakomicie oddaje istotę pisarstwa Lovecrofta.

Zawarte w zbiorze opowiadania rysują świat niezwykły, a raczej kilka światów jednocześnie, które się wzajemnie uzupełniają. W krajobraz przepaścistych wąwozów i opuszczonych osad, wpisuje Lovecroft świat wyobrażeń i mitów starych, jak sama ludzkość. Mity te, choć w całości wymyślone przez autora, łączą się znakomicie ze znanymi z badań antropologicznych archetypami – wątkami wiecznie obecnymi w kulturze ludów pod każdą szerokością geograficzną i na każdym etapie rozwoju.

Opowiadania, takie jak „Kolor z przestworzy" czy „Szepczący w ciemności", z fascynującą wyrazistością ukazują zjawiska mroczne i tajemnicze, które dostrzec można w najzwyklejszych przedmiotach i zdarzeniach. Siły ciemności, ukazywane przez Lovecrofta w wymiarze kosmicznym, są obecne zawsze i wszędzie, mogą – poruszone i wyzwolone – zagrozić człowiekowi totalną zagładą. Życie mieszkańców Arkham czy Dunwich jest balansowaniem na cienkiej linie, a kontaktami ludzi z tym mrocznym światem rządzi zawsze przypadek.

Siły ciemności są skondensowaną destrukcją, złem, ich poznanie musi się kończyć katastrofą. Lovecroft jednak w żadnym utworze nie dopuszcza do katastrofy ostatecznej, ukazuje tylko jej symptomy, jak grzmoty przed nadchodzącą burzą. Żadna zresztą z zagadek nie zostaje rozwikłana do końca — większość opowiadań jest pod tym względem raczej zbiorem przypuszczeń i hipotez.

Lovecroft jest mistrzem w stopniowaniu napięcia, w potęgowaniu nastroju grozy przekraczającej wyobraźnię człowieka. W dziwnych potworach przybywających z głębin czasu najbardziej groźne jest to, że są one wysłannikami świata organicznie nieludzkiego, obcego, wrogiego. Groza czai się wszędzie, tamując słowa, które mogłyby ją opisać.

Wszystkie opowiadania zawarte w zbiorze ukazują świat ciemności w ten sam sposób, bóg zła, tajemniczy Cthulhu, pojawia się prawie w każdym z utworów, jako ostateczne odniesienie i wyjaśnienie toczących się wypadków. Kilkakrotnie powraca także nazwa planety Yuggoth, powtarza się tytuł tajemnej księgi „Necronomicon". Nastrój grozy potęguje się więc przy lekturze kolejnych opowiadań, pogłębia się swoisty, niepowtarzalny klimat, świat duchów, czarów i gwiazd staje się coraz bardziej plastyczny, zmysłowy.

Bohaterami opowiadań Lovecrofta są na ogół wędrowcy, przypadkowi świadkowie niezwykłych wydarzeń, którzy, choć cało wychodzą z opresji, diametralnie zmieniają pod ich wpływem swój tryb życia, przekonania, poglądy. Są to często naukowcy, którzy sceptycznie i z obiektywizmem podchodzą do dziwnych zjawisk, lekceważąc stare wierzenia i mity, do których zawsze w końcu należy słuszność. Romantyczne opowieści konfrontowane są nieustannie z argumentami racjonalnymi wynikającymi z zasad nowoczesnej nauki.

Lovecroft konstruuje ten jednolity, zwarty świat z niepospolitą pisarską maestrią, graniczącą wręcz z szarlatanerią. Człowiek, jak bohater „Koszmaru w Dunwich", żyje w poczuciu zagrożenia, ale jednocześnie — w poczuciu więzi z kosmosem, który może się jawić tuż za progiem. Kontakt z Obcymi budzi grozę, ale przynosi także określoną wiedzę o człowieku, pokazuje korzenie jego lęków i przesądów. Opowiadania Lovecrofta są jak gdyby rodzajem soczewki skupiającej rozproszone światło, by rozjaśnić tajemnicze jądro ciemności, które kryje się w każdej istocie ludzkiej.

MARIA BARTUS

Howard Phillips Lovecroft, „Zew Cthulhu", Czytelnik 1983.

Kosmostworki Andrzeja Biedrzyckiego

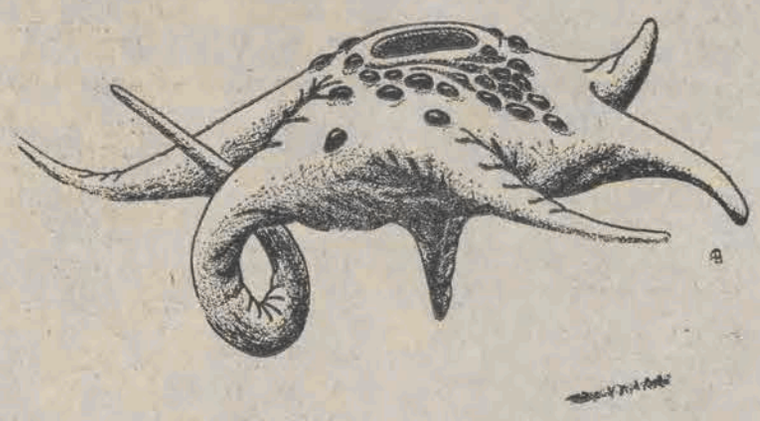

1 Lewym okiem

Trzy sprawy

Wszystkie czasopisma zamieszczają od paru tygodni pokaźny komunikat zatytułowany „Warunki prenumeraty". To jest cała skomplikowana wiedza: inaczej winien zamawiać prenumeratę czytelnik indywidualny, inaczej instytucja, inaczej na wsi niż w mieście, odrębny tryb dotyczy tytułów lokalnych, a to jeszcze chyba nie wszystkie różnice. Raz się zamawia w urzędzie takim, raz w innym, to znowu u listonosza. Terminy też są różne. Jedna rzecz jest tylko wspólna dla wszystkich przypadków: nie wiadomo, ile to ma kosztować.

Według kodeksu zobowiązań umowa — żeby była umową, a więc ważnym dwustronnym zobowiązaniem — musi zawierać co najmniej dwa elementy: przedmiot umowy (więc określenie świadczenia) i cenę. „Warunki prenumeraty" nie są ani ofertą, ani konkretną informacją, dopóki nie obejmują drugiego z najważniejszych warunków: ceny. A może to nie warunek? Może i tak, w ciemno, bez względu na cenę, chętni będą znów wystawać godzinami w kolejkach i płacić bez szemrania każde pieniądze? Może RSW „Prasa" na to liczy i nie uważa za potrzebne informować swych klientów, po ile za tytuł? Klient to przecież zło konieczne. Nasz dostawca — nasz pan!

* * *

Coraz to czytamy gdzieś wyrazy zdziwienia, że Polacy tak dobrze pracują za granicą, a tak źle u siebie. Czytamy też komentarz: bo za granicą organizacja i motywacja, a w kraju organizacji i motywacji brak.

Przyznaję, jest w tym dużo prawdy, zwłaszcza co do organizacji. Ale przecież organizacja też nie jest sprawą klimatu ani prądów powietrznych. Dlaczego to Polacy za granicą są dobrymi organizatorami, a w kraju tak beznadziejnie zawodzą?

Dopowiedzmy sobie raz sprawę do końca. Polak pracuje dobrze, kiedy po jego prawej i lewej ręce pracują nie-Polacy. Wtedy po pierwsze: chce i ma okazję się popisać, a po drugie: natychmiast by się wyróżnił i podpadł. Twierdzę, że to są właśnie najsilniejsze momenty motywacyjne. Kiedy nasz rodak znajdzie się w otoczeniu rodzinnym — natychmiast skuma się z tym otoczeniem w taki sposób, żeby pracą się nie przemęczyć. Śmierć frajerom. Skuma się z kumplami, z majstrem, z inżynierem i całym zarządem. Będą wspólnie radzić nad tym, jak nie dopuścić do zwolnienia ludzi niepotrzebnych, jakich użyć formalnych argumentów, kruczków, podciągań i naciągań, żeby cyfry sprawozdań ułożyły się w piękną podstawę do maksymalnych wypłat. Będą wzajemnie kryć spóźnienia, nieobecności, zaniedbania, brakoróbstwo. Będą **solidarni** w okpiwaniu dalekiego i ledwie uświadamianego źródła, z którego płyną pieniądze. Za granicą nigdy do takiej solidarności nie dojdą, tam każdy czuje się skazany na siebie i dlatego od siebie wymaga.

To jest uwaga gorzka i pesymistyczna. Myślę jednak, że jest prawdziwa.

* * *

We wszystkich — albo powiedzmy ostrożniej: w bardzo wielu wznoszonych ostatnio blokach mieszkalnych — instaluje się zsypy do śmieci. Nie tylko w wielopiętrowych wysokościowcach.

We wszystkich blokach, zaopatrzonych w takie zsypy, z odrazą wchodzi się na klatkę schodową. Te klatki ohydnie śmierdzą. W najnowszych blokach i w najnowszych dzielnicach najwięcej jest karaluchów, prusaków, szczurów, myszy i mrówek. Twierdzę, że właśnie przez te zsypy. W założeniu to miała być wygoda dla mieszkańców. W praktyce to jest urządzenie antysanitarne, zdecydowanie szkodliwe. Nie wierzmy, że akurat zsypy będą stale utrzymywane w idealnym porządku, skoro na żadnym innym odcinku w taki porządek nikt nie wierzy. A tu brak idealnej czystości jest od razu zalążkiem higienicznej katastrofy.

Myślę, że za znikomą część kosztów, jakie pochłonęła budowa zsypów, można by produkować i przez wiele lat zaopatrywać za bezcen wszystkich mieszkańców w torby foliowe, stosowane na Zachodzie. Odpadki wrzuca się do takiej torby, rozpiętej (w każdym mieszkaniu) na drucianym stelażu. Potem przy okazji wychodzenia na miasto wynosi się pełną odpadków, ale zawiązaną, czyściutką i bezwonną torbę i kładzie się ją zwyczajnie przed domem. Bez żelaznych, wielotonowych potworów, które w tej chwili zamieniły nasze ulice w cuchnący śmietnik. Wóz asenizacyjny jeździ i zbiera te torby, co wymaga jednego machnięcia ramieniem, a nie wymaga kolosalnych maszyn, wiecznie zepsutych, a hałasujących piekielnie. I to jest dopiero nowoczesne, higieniczne, łatwe i **tanie**. Kto jest innego zdania — będę wdzięczny za argumenty.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2 Zdarzenia i zwierzenia

Kultura języka

Starsi Czytelnicy pamiętają radiowe pogadanki językowe prof. Witolda Doroszewskiego, które następnie opublikowano w tomie zatytułowanym „O kulturę słowa". Był to rok 1962 i maturzysta Jan Miodek przygotowywał się do egzaminu dojrzałości. Być może czytał tę książkę, być może go zafascynowała.

W każdym razie sześć lat później młody naukowiec-językoznawca Jan Miodek rozpoczyna kontynuację działalności popularyzatorskiej prof. Doroszewskiego, publikując felietony językowe w prasie i wygłaszając je w Polskim Radiu. Zebrało się tych felietonów ponad sześćset, część znalazła się w wydanej niedawno książce „Rzecz o języku".

Oczywiście takich książek nigdy nie za wiele, bowiem współczesna polszczyzna ma się nie najlepiej. Powstają różne rady i komitety do spraw języka, Polskie Radio ma własną placówkę, która wydaje regularnie... katalog rażących błędów popełnianych na antenie, w „Życiu Warszawy" niestrudzony Ibis-Wróblewski poucza rodaków jak pisać i mówić poprawnie, w antykwariatach znaleźć jeszcze można któreś z kolejnych wydań poradnika naszej łódzkiej popularyzatorki języka, Marii Nalepińskiej. I wciąż mówimy i piszemy źle.

Pewno i w tym felietonie purysta językowy znalazłby jakieś uchybienia. Z językiem jest kłopot dlatego, że to struktura żywa, że niegdysiejsze błędy, gdy się upowszechnią, stają się normą. Z drugiej zaś strony każde pokolenie przywiązane jest do „własnych" form i niechętnie przyjmuje zmiany. Ja do dziś nie mogę zaakceptować — uznanej już za poprawną — formy „w studiu, w radiu", zamiast dawniej „w studio, w radio".

Czy przyjdzie czas, kiedy usankcjonowane zostaną ewidentne błędy, nagminnie dziś propagowane przez prezenterów Polskiego Radia: „dziś mamy piętnastego września", albo „dziś jest piętnasty wrzesień", zamiast: „piętnasty września"? Czyli piętnasty dzień września. Wrzesień jest przecież jeden, chodzi o dzień miesiąca.

Kiedy słyszę w radio słowa „czeba wspomnieć", albo „całom nocom" to choć wiem, że mówi tak większość Polaków, mam żal do prezenterki, że jednak nie ma ambicji przestrzegania poprawnościowej normy. Ale nie kruszyłbym kopii o te „nowości językowe", bo przecież jest to proces nieuchronny.

Niedawno wydano poemat Wespazjana Kochowskiego z 1684 roku. Pierwsza część książki zawiera faksymile siedemnastowiecznego wydania, druga część... jego transkrypcję według współczesnych norm. Bez tego nawet przeczytać by się nie dało tego tekstu. Ale jeśli nawet czytamy — już po transkrypcji — też nie jest to polszczyzna zbyt zrozumiała. Oto, co pisze Kochowski w posłowiu do czytelnika:

„Nie mam zwyczaju na świat podawać jakichkolwiek lukubracyi moich kwapionego konceptu partum; bo mimo to, żem conscius nieudolności własnej, dawnom już abdykował poesim polską, moją niegdy w młodym wieku zabawę, ad interium annabalis partiis poświęciwszy pióro..." Proszę bardzo! Przetłumaczcie to na współczesny polski.

Niestety, nie bardzo by się mogli ze sobą dogadać Polak współczesny i Polak siedemnastowieczny. Za kolejne trzysta lat nasza polszczyzna też będzie dla późnego wnuka zupełnie niezrozumiała. Nie w tym więc rzecz, aby trzymać się kurczowo normy, bo normy się zmieniają wraz z językiem, a nie odwrotnie. Rzecz natomiast w kulturze języka i w kulturze ogólnej, która jest zawsze niezbędna.

Jeśli słyszę, że „zespół artystyczny Poltexu wrócił z występów na tarczy", a z dalszych słów wynika, że zespół odniósł sukces, to widać, że reporterce brak podstawowej kultury. Na tarczy bowiem wracali pokonani — niesiono na tarczach ich zwłoki, z tarczą wracali zwycięzcy. I tak ignorancję uważam za groźniejszą niż błąd gramatyczny czy stylistyczny. Brakowi kultury nie zaradzi bowiem ani Witold Doroszewski, ani Jan Miodek.

JERZY WILMAŃSKI

3 Gdyby Buchwald był Polakiem

Interwencja pod Wiedniem

Ufny w optymistyczne przepowiednie meteorologów naiwnie pojechałem na urlop, co okazało się błędem, nie tylko bowiem zmarzłem, zmokłem i złapałem katar, ale na dobitek podczas mojej twórczej nieobecności z dwóch pozostawionych w „Odgłosach" tekstów ten, który miał być drugi, ukazał się jako pierwszy i odwrotnie. Pozornie mała różnica, w „Plum puddingu" opowiadałem jednak, jak mnie kuszono i straszono, zaś w „Partii angielskiej" — jak dałem odpór, gdy w zaprezentowanej przez moje ulubione czasopismo kolejności najsamprzód dałem odpór, a potem dopiero zaczęto mnie straszyć...

Przez moment małodusznie podejrzewałem intrygę, najpewniej międzynarodową, przypuszczałem nawet, że jeżeli tylko śmiało pójdę za nitką, dotrę do tej mątwy, która mnie i ucapię ją za jedną z wrażych macek. Lepsza strona mojej natury rychło wyperswadowała wszakże tej gorszej, że wszystko zasadzało się z pewnością na zwykłej pomyłce, która może przytrafić się w najwytworniejszym towarzystwie.

Widać pomyślałem to w dobrą godzinę bowiem po powrocie do domu zajrzałem do skrzynki na listy, a znalazłem w niej gustowną kopertę z adresem zwrotnym jednego z uniwersytetów amerykańskich. W kopercie tkwił list, nie do mnie wszakże skierowany, a do jednego z wyższych urzędników amerykańskiej administracji. Poczucie taktu nie pozwala zdradzić jego nazwiska, powiem jedynie, że urzędnik ten jest nieco niższy rangą od prezydenta USA, znacznie jednak wyższy od oddźwiernego Białego Domu.

Najwyraźniej sekretarka pomyliła koperty — wysoki urzędnik dostał list skierowany do mnie (nie próbuję nawet zgadywać, co w nim nawypisywano), ja zaś list skierowany do wysokiego urzędnika. Oto treść w wolnym tłumaczeniu, nazwiska i tytuły naukowe wykropkowałem.

„Szanowny Panie (...)!

Senat naszej uczelni z głęboką wdzięcznością przyjął wiadomość o przyznaniu dotacji rządowej na prowadzenie badań o charakterze specjalnym. Bezzwłocznie powołaliśmy też komisję interdyscyplinarną złożoną z młodych, utalentowanych historyków, politologów, specjalistów w dziedzinie prawa międzynarodowego, socjotechniki, bioenergetyki i psychotroniki.

Zgodnie z Pańskimi obawami zadania postawione przed grupą badawczą są istotnie trudne, zaś wstępne ustalenia nie wróżą rychłego zakończenia prac.

Hipoteza, iż w roku 1683 pod Wiedniem odbywały się pokojowe manewry wojsk tureckich, a brutalna interwencja armii polskiej pod wodzą gen. Sobieskiego nie tylko naruszyła neutralność Austrii, ale bezpośrednio ugodziła w wysunięte, czułe skrzydło NATO, jest wprawdzie wyjątkowo śmiała, nie znajduje jednak pokrycia w dostępnych dokumentach, pomijając już nawet fakt, że Sobieski był w tym czasie królem, nie zaś generałem. Trudno też byłoby przekonywająco udowodnić, że wszystkie istniejące materiały zostały sfałszowane przez wywiad radziecki i umiejętnie porozmieszczane w archiwach na całym świecie, łącznie z watykańskim. Tekstów źródłowych jest po prostu zbyt dużo i wedle naszej najlepszej wiedzy pochodzą z czasów poprzedzających powstanie Związku Radzieckiego. Zarzutem fałszerstwa nie można też obarczyć — cytujemy Pańskie sformułowanie — „marksistów różnej maści", bo choć dałoby się zakwestionować datę urodzenia Karola Marksa, data jego śmierci wydaje się całkiem pewna. Marks umarł w roku 1883, w 200 lat po bitwie pod Wiedniem.

Wątpliwe jest także, czy pokojowym manewrom wojsk tureckich towarzyszyli doradcy amerykańscy, którzy ponieśli uszczerbek na zdrowiu i majątku, co zdaje się Pan sugerować. Rzecz w tym, iż Deklaracja Niepodległości ogłoszona została w roku 1776, natomiast nasz wierny sojusznik, Wielka Brytania, uznała niepodległość Stanów Zjednoczonych dopiero w roku 1783 w traktacie paryskim, w 100 lat po bitwie, tj. po interwencji pod Wiedniem. Z powtarzalności dat w cyklu stuletnim (1683 — 1783 — 1883) dałoby się może wysunąć jakiś konstruktywne wnioski, jednak przypuszczenie o obecności doradców amerykańskich podczas czysto pokojowych manewrów armii tureckiej należy mimo wszystko odrzucić.

Znacznie łatwiej byłoby natomiast wyszukać obywateli amerykańskich będących dalekimi potomkami żołnierzy tureckich brutalnie zaatakowanych przez Wojska Układu Warszawskiego. Z całą pewnością znajdziemy podstawy prawne pozwalające żądać odszkodowania od strony polskiej, bądź też — w przypadku odrzucenia naszych roszczeń — służące uzasadnieniu dla wprowadzenia nowych sankcji ekonomicznych. Przypuszczamy, że rząd Stanów Zjednoczonych jest w stanie zlecić przeprowadzenie poszukiwań wyspecjalizowanym służbom, doradzamy jedynie, iżby w miarę możliwości wykluczyć osobników podających się za prapraprawnuków eunuchów znajdujących się w świcie tureckiego wezyra. Z przyczyn, których nie chcielibyśmy wyłuszczać, większość eunuchów nie miała bowiem potomstwa, co zgodnie potwierdzają poproszeni o konsultację lekarze-ginekolodzy i specjaliści od inżynierii genetycznej.

Łączymy wyrazy głębokiego szacunku

(... — podpis)"

Za A. BUCHWALDA JERZY P.

4 Sport

Czy warto podziwiać Władysława Kozakiewicza?

To nie jest moje pytanie. Takie pytanie wyczytałam w felietonie Witolda Dubikowego z cyklu „Cnoty i błędy" zatytułowanym „Zostawcie nam wspomnienia" opublikowanym w 38 numerze „Sportowca" z felietonem tym to dość zawiła sprawa. Żeby więc nie było nieporozumień, rzecz całą muszę dokładnie opowiedzieć.

Witold Duński otrzymał list, którego nie ujawniony autor prosi, aby nie obrażać w prasie sportowych bohaterów, bo to niweczy piękne wspomnienia o ich sukcesach. Witold Duński zgadza się z tym. Wprawdzie przyznaje, że nawet na „najbardziej szlachetnym metalu są rysy, skazy zadrapania", że „nie wszyscy medaliści olimpijscy wytrzymują próbę czasu", ale mimo wszystko „nasi bohaterowie są wspaniali". Jeśli więc się chce o nich pisać, to tylko dobrze, z szacunkiem, żeby nie powiedzieć na kolanach.

A tymczasem są tacy podli ludzie, „najczęściej w pismach młodzieżowych, pozujących na bardzo odważne i szalenie awangardowe", którzy nie mają szacunku do mistrza i jego obraz zamiast malować pełną barwą tęczy, używają do tego czarnej tylko farby. Popiera ich od czasu do czasu „jakiś tygodnik - obwieszczający się jako kulturalny, społeczny, polityczny, publicystyczny", a który nie szczędzi „połajanek, druzgocącej krytyki stosowanej wobec nierobów, szmalcowników, milionerów, koksiarzy", jakimi okazują się — w mniemaniu oczywiście tych pismaków — pracowici sportowcy Witold Duński jest z całym szacunkiem do ciężkiej pracy i słusznie, ale w tych pismach młodzieżowych i tygodnikach „tę pracę w sporcie często się obrzydza". Robią to ludzie, którzy nigdy tej pracy „nie obserwowali z bliska, pracują jeden, dwa dni w tygodniu, nie wstają o piątej rano jak pływacy, i ludzie dojeżdżający do swoich fabryk przez dwie godziny, zapchanym aż po sufit pociągiem, nie kładą się nocą po treningu kończącym się o dziesiątej wieczorem". Po prostu sami są nierobami, „podmistrzami pióra", zazdroszczą mistrzom sportu, z czystej więc zawiści obrzucają ich błotem.

Sprawa jest dość trudna i skomplikowana. Nie chciałabym, aby Czytelnik odniósł wrażenie, że Witold Duński uderzył w stół w „Sportowcu", a nożyce odezwały się w łódzkich „Odgłosach". Nie chciałabym tego, bo nigdy nie zazdrościłam mistrzom, chwaliłam kogo należało za jego pracę i sukcesy, ganiłam też kogo należało i to również za jego błędy lub nierobstwo. Dlatego też sądzę, że mam prawo i w tej sprawie zabrać głos, bo uważam, że Witold Duński wsypał wszystko do jednego worka, dokładnie wymieszał i taką mieszaninę sprezentował Czytelnikom „Sportowca". Byłoby oczywiście dużo lepiej, gdyby Witold Duński posłużył się w swoich rozważaniach konkretami, to znaczy faktami. Po prostu, gdyby napisał jakie to pisma młodzieżowe, jakie tygodniki i jacy autorzy, bo tak, odnosi się wrażenie, że błotem obrzucają mistrzów we wszystkich pismach młodzieżowych, we wszystkich tygodnikach, gdzie pracują ludzie zawidzeni, zazdrośni i podli. A to jest po prostu nieprawda, jak nieprawdą byłoby stwierdzenie — metodą Witolda Duńskiego — że w prasie sportowej pisują nieudolni felietoniści, bo tak wcale nie jest.

Felieton Witolda Duńskiego — poprzez pomieszanie materii i brak konkretów — wywołuje w Czytelniku wrażenie, że sportowcy są absolutnie znakomici, nie wolno więc ich krytykować. Natomiast dziennikarze, to niebywałe podły naród i do tego same nieroby. A to też jest nieprawda. Znam na przykład pewnego redaktora, który czasem pisuje o sporcie, ale który jest też autorem kilku książek i scenariuszy do filmu. Trudno byłoby go nazwać nierobem, choć nie wszyscy zgadzają się z jego sądami o sportowcach.

Z lektury felietonu mistrza Witolda Duńskiego można odnieść takie wrażenie, że sportowców można krytykować do... pułapu II ligi, ale już pierwszoligowcy, już mistrzowie Polski, a już mistrzowie Europy i mistrzowie świata, i olimpijscy muszą być poza wszelką krytyką. Na kolana przed nimi! Oni muszą być bez skazy. Uwierzyć i nie gadać! Kto tam szepcze w szeregu? Znów ci niesforni pisacy z tygodników! Uspokoić się, bo pójdziecie do kąta!

Wprawdzie „Sportowiec" jest pismem kolorowym (oraz ciekawie redagowanym), ale Witold Duński użył do swego felietonu tylko dwóch barw: czarnej i białej. A życie jest kolorowe. I tak się zdarza, że sportowiec może być na boisku wspaniały, a w życiu różnie może mu się wieść, w życiu może mieć kłopoty, żona może go zdradzać, narozrabiać może, może mu nagle zmiękнąć moralny kręgosłup... Więc, co? Mamy udawać, że tego nie widzimy, bo mistrzowi wszystko wolno? Czy nie lepiej przyjąć postawę realistyczną i rozdzielać, kiedy trzeba, sukcesy na boisku od postępków w życiu prywatnym i ganić to, co nagany wymaga?

Pewnie, że chcielibyśmy, aby człowiek, którego znamy z ekranu telewizora, którego oglądamy w gazecie, czytamy o nim, którego podziwiamy na boisku, więc żeby taki człowiek był bez skazy, był wzorem dla innych. Ale człowiek jest tylko człowiekiem. I bardzo dobrze. Więc traktujmy ludzi, jak ludzi i nie każmy im nawzajem przed sobą klękać.

BOGDA MADEJ

Redaguje zespół: **Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji) Jerzy Kwieciński Bogda Madej, Andrzej Makowiecki Grażyna Olechnowicz (z-ca sekretarza redakcji) Tomasz Sas (z-ca redaktora naczelnego) Igor Sikiryckl (kier. działu literackiego) Karol I Stryjski Janusz Szymański (z-ca grafiki) Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny) Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler (fotoreporter).**

Stale współpracują: **Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.**

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy", al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652 44, sekretarz redakcji 680 89. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. **WARUNKI PRENUMERATY:** 1 dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy. — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych Oddziałach; — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2 dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. — osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201043-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 bieżącego na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa Książka-Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Druk Drukarnia Prasowa Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 2531 L-8.

4

BRONISŁAWA CZERNIOGRADZKA

Czarna wdowa

Pod baldachimem odbyła się między nami długa rozmowa. Były również gorące pocałunki, ilekroć jednak wypalacz cegieł chciał mnie zgarnąć pod swój wydatny brzuch, wyślizgiwałam się sprytnie, grożąc, że jeśli nie zostawi mnie w spokoju zacznę krzyczeć.

Doprowadziłam go w ten sposób do szału. Czochrał pazurami włochatę piersi i prawie płakał. Nic nie mógł zrozumieć.

— Czego ty właściwie chcesz? — sapał mi do ucha gorącym, pijanym szeptem i zaraz znowu zaczynał całować.

— Nie podobam ci się?

— Podobasz — mówiłam odwzajemniając pocałunki.

— Więc o co chodzi?

Próbował wtarabanić się na mnie, ale zaciskałam nogi i kręciłam przeczącą głową, tłumacząc, że może zaszkodzić to dziecku.

Suka dobrze skonstruował scenariusz. Są mężczyźni, w których ciężarna kobieta rozpala najplugawsze żądze. Wypalacz cegieł omdlewał dosłownie z podniecenia. Jęczał, kwilił jak niemowlę, pompował łapą mój brzuch i dopytywał raz po raz:

— W którym jesteś miesiącu?

— W trzecim.

— To śmiało możesz, nawet jest wskazane. Ja się na tym znam. Zrobię to bardzo delikatnie. — Znowu wciskał mnie w pościel, a ja broniłam się i rechotałam na całe gardło.

Był wystraszony.

— Cicho — uspokajał mnie.

— Czemu?

— Mogą przyjść.

— Kto?

— Nasi.

— No to przyjdą.

Nasłuchiwał chwilę, a potem zaczął z nową energią kruszyć moje mury obronne.

— Kupię ci futro.

— Nie chcę.

— Samochód.

— Nie chcę.

Nie pogardziłabym oczywiście ani futrem, ani samochodem, wiem jednakże, co znaczą takie obiecanki w ustach pijanego łajdaka. Ledwie tylko dopuścisz go i skończy, gotowy jest poczęstować cię kopniakiem, albo nawet zadzwonić po milicję. Zamiast obiecywanego futra i samochodu wolałam trochę zdrowej gotówki, i to z góry.

— Chciałam kupić dziecku taki składany, angielski wózek spacerowy, ale nie mam...

— Co nie masz? Masz! Został nam taki po Zośce.

Pokazał zawieszone na ścianie zdjęcie jakiegoś dziewuszyska.

— Twoja córka? — zapytałam.

— Tak.

— Też marzę o córce. Ale, wiesz... moja córka musi jeździć nowym wózeczkiem, a nie jakimś zużytym gratem. Potrzebuję na ten cel setkę.

— Czego?

— Dolarów.

Był pijany, ale pojawiły mu się w oczach iskierki zrozumienia.

— Robisz to za pieniądze?

— Co?

— Miłość.

— Nie. Nawet gdybyś mi dał sto dolarów i tak nie mogłabym ich wziąć bezpośrednio, bo co bym potem powiedziała Suce? Jest moim mężem i ma prawo wiedzieć, skąd wzięły się w mojej torebce pieniądze.

Odchylił jakiś obraz na ścianie. Musiała tam być skrytka, bo zasłaniając ją palcami i majdrując niewidocznymi pokrętłami wręczył mi po chwili setkę z wielce wzruszającą podobizną prezydenta Franklina Na banknocie, w rogu ktoś wypisał flamastrem cyfrę 46.

Zwróciłam mu banknot.

Zdziwił się.

— Nie chcesz?

— Już mówiłam, żebyś dał go Suce.

— I za co to niby mam mu dać?

— Powiedz, że jest to prezent bogatego przyjaciela z młodości dla nie narodzonego jeszcze następcy tronu.

Nie chcę tu się długo rozwodzić nad tą historią, w każdym razie była draka. Suka zasnął naprawdę i wypalacz cegieł wsunął mu setkę do kieszeni w spodniach. Nad ranem sytuacja pomiędzy dwoma pomieszanymi „małżeństwami" była remisowa, to znaczy: ja lojalnie wypłaciłam się wypalaczowi, jego żona zaś zdołała zgwałcić Sukę. Była dzięki temu w nadzwyczajnym humorze, śpiewała na całe gardło, aż do chwili, kiedy zauważyła, że ze spodni Suki wystaje setka, na której pisze czerwonym tuszem 46. Jako kobieta interesu odrzuciła z miejsca wszelkie sentymenty. Zaczęła szarpać Sukę i dopytywać, skąd ma te dolce. Z pewnych względów nie mogę dokładnie opisać tej sceny. Tak czy owak, niewiele brakowało, aby przyjechała milicja Tylko przytomności Suki zawdzięczamy, że wyjechaliśmy stamtąd cało i nie z setką, tylko z trzema setkami dolarów. Wypalacz miał do stracenia dużo więcej niż my, nie chciał kontaktu z żadnymi stróżami prawa, natomiast Suka postawił się twardo i założył gospodarzowi podwójnego nelsona. Pobił mnie na wszelki wypadek, krzyczał, że się ze mną rozwiedzie, że nie chce żadnego dziecka z dziwką, jednym słowem — zrobił im wszystkim makaron z mózgu, tak, że drżeli dosłownie ze strachu.

Mieliśmy dużo więcej takich przygód w naszym Tour de Pologne. Na rozkładzie miałam bogatych szewców, badylarzy, pewnego renowatora zabytków z Poznania, mechaników samochodowych, którzy reperowali naszego fiata, trafił się nawet działacz katolickiego towarzystwa antyalkoholowego, który pił i palił jak furman.

Tylko raz popełniłam błąd. Byłam zakochana w Suce. Naprawdę. Ale któregoś dnia trafiliśmy pod dach doktora, którego żona przebywała na kontrakcie w Nigerii. Facet miał czterdzieści lat i był piękny, i jak zaczęłam się z nim kochać, w żaden sposób nie mogłam przestać. Suka był w sąsiednim pokoju i wszystko słyszał. Chrząkał, pokasływał, dawał znać, że pora odjechać. Potem wszedł kilka razy do pokoju i patrzył na nasze łóżkowe zmagania, na co nie zwracaliśmy uwagi. Jakiś diabeł w nas wstąpił. Obecność Suki podniecała nas dodatkowo.

Suka był poważny. Przyglądał mi się zmrużonymi oczami, tak jakoś dziwnie, jakby go coś bolało. Skąd mogłam wiedzieć, że i on mnie kocha, taką dziwkę. Skąd mogłam wiedzieć, że jest o mnie zazdrosny? A może wcale nie był zazdrosny, tylko zagrała w nim po prostu urażona męska ambicja? Po raz pierwszy zobaczył faceta, dla którego, zapominając o nim, straciłam głowę. Wszystko, ubiór, zapach, maniery doktora były najwyższej klasy, nie mówiąc już o hollywoodzkim uzębieniu i hollywoodzkim uśmiechu. Aż dziw, że coś takiego mogło znaleźć się w prowincjonalnym miasteczku poza Warszawą. Suka nie mógł tego znieść i jakkolwiek zawsze był spokojny, ukrywający swoje uczucia, stracił nerwy.

Wywlókł mnie wreszcie z domu i w samochodzie zapytał:

— Ile wzięłaś od tego faceta?

Przestraszyłam się. Nie wzięłam ani grosza. Powiedziałam przytomnie:

— Dwadzieścia tysięcy.

— Pokaż!

Siedziałam bez ruchu, w bluzce i spodniach o pustych kieszeniach. Zajrzał do mojej torebki, a potem uderzył mnie w twarz.

Nigdy nie wrócił do tego tematu. Nie mam pojęcia, czy się mścił, ale nagle zaczął mi podstawiać okropnych klientów dość powiedzieć, że jeden ugryzł w Grandzie bułkę z topionym serem i zostawił w niej dwie szczęki, drugi natomiast szedł przez życie ze sztucznym odbytem.

Zniosłam i to. Zaczęłam podwójnie troszczyć się o Sukę z nadzieją, że puści incydent z doktorem w niepamięć i zostanie przy mnie. Robiłam sobie głupie nadzieje, że może kiedyś, gdy przestanę już uprawiać swój zawód i zostanę jakąś czcigodną bibliotekarką czy archiwistką, Suka ożeni się ze mną i będziemy mieć dzieci. Bardzo chciałam mieć dziecko, ale z wybranym mężczyzną, a nie z jakimś przypadkowym łachudrą, więc zabezpieczałam się na różne sposoby całe życie i z wolna osiągnęłam wiek, w którym o dziecko nie jest tak łatwo.

Niemal każdego dnia rozważałam możliwość odejścia od zawodu. Byłam posażna, miałam dwa konta w dwóch różnych bankach, mieszkanie i samochód, dwa futra i szafę modnych łachów. Czas jednak że robił swoje i wyczuwałam, że nie budzę już tego pożądania w mężczyznach, co kiedyś Bardzo przeżyłam moment, kiedy Suka posłał mnie do numeru, w którym mieszkał pewien Amerykanin, ten zaś kiedy zaczęłam ściągać sukienkę, powstrzymał mnie ruchem dłoni i z całą okrutną delikatnością zapłacił mi za seans, który nie doszedł do skutku. Nie wszyscy byli tak delikatni. Jeden byczek z Rzeszowa, którego odwiedziłam w towarzystwie Suki, powiedział wesoło:

— Widzę, kochany, że przyprowadziłeś mi osiemnastkę. Rok urodzenia: tysiąc dziewięćset osiemnasty.

Zrobiłam awanturę, bo nie miałam jeszcze czterdziestu lat, a przyznawałam się do trzydziestu czterech.

Byłam zmęczona. Lata prostytutki liczą się podwójnie. Z czasem zaczyna ciążyć świadomość przegranego życia. Niby wszystko mam, ale coś tam ważnego uciekło po drodze. Za dużo wiesz, za dużo rozumiesz, jesteś nieufna. W ludziach nie szukasz przyjaciół, tylko wrogów. Podchodzisz do nich z przekonaniem, że chcą cię oszukać.

Nie wiem, jak to się stało, że nie wpadłam w alkoholizm Nabawiłam się za to ciężkiej nerwicy. Któregoś dnia, rano, kiedy leżałam jeszcze w łóżku, Suka zaczął pakować swoją jedyną walizkę. Patrzyłam na to z łomocącym sercem. Zaschło mi w ustach i nie mogłam wycisnąć z siebie ani słowa. Wreszcie jednak zapytałam:

— Co robisz?

— Spadam.

— Wrócisz na obiad?

— Nie.

Nie był cyniczny. Był smutny. Wiedziałam, że nie chce mnie ranić, ale wiedziałam również, że nie zostanie, choćbym go błagała na kolanach. Mężczyzna, zwłaszcza przystojny, pół życia może być sutenerem, a drugie pół wychowawcą zabłąkanych owieczek Mężczyźnie uchodzi wszystko, kobiecie nie uchodzi nic. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby Suka został ministrem. Ja mogłam tylko zamknąć okno i otworzyć gaz.

Zabawna sprawa. Temu gościowi, co mieszkał nade mną, ktoś, tym razem nie ja, podwędził mleko. Zrobił raban na całą klatkę schodową. Nie słyszałam tego, ale ludzie opowiedzieli mi później, że wyzywał mnie od najgorszych, bo kto mógł ukraść mleko jak nie ja, Czarna Wdowa.

Zaczął walić wraz z całą rodziną dozorcy do moich drzwi. Potem ktoś odkrył, że są otwarte, bo Suka nie zamknął za sobą. No więc żyję. W swojej samotności i w swoim dobrobycie. Gdybym nie była mądra i wykształcona, byłoby mi chyba lżej. Mogłabym spadać powoli na dno, coraz niżej, do lokali trzeciej kategorii i zapić się spokojnie na śmierć. A tak, to jestem pęknięta. Muszę mobilizować siły, aby przebrnąć przez każdy następny dzień. Są ci, których ja nie chcę, ale nie ma tych, których ja bym chciała. Nieraz myślę, że powinnam przenieść się do jakiegoś innego miasta, ale wiem, że zła sława powlecze się za mną jak cień.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Panienki z hotelu

TOMASZ SAWICKI

Wieczór w hotelu zaczyna się już przed południem. Najpierw wpadają waluciarze, żeby dowiedzieć się czegoś o gościach, którzy przyjadą tego dnia. Tuż po nich zaglądają „hotelowi" taksówkarze. Zwiedzają bar, kawiarnię i restaurację. Patrzą uważnie, czy nie zdarzy się jakiś gość na dłuższy, najlepiej dewizowy, kurs Panienki wpadają od przypadku do przypadku. Lubią zobaczyć jak zapowiada się wieczór, ale trochę boją się „palić" wejście. Niedobrze jest kilka razy dziennie pokazywać się portierom. Najgorzej, gdy przy wejściu stoi taki „Falconnetti". Ten ma sokole oko. Goni wszystkie.

NA STO PROCENT

Pierwsze prostytutki przychodzą po godzinie 17. Wiele z nich liczy na szczęście, tj. nieuwagę portierów lub „nie opatrzoną buzię" przy wejściu. Wiedzą, że pracownicy hotelu mają obowiązek interwencji tylko w przypadku stuprocentowej pewności, że mają do czynienia z prostytutką. W przeszłości było kilka wpadek. Potem trzeba było przepraszać obrażone kobiety, kupować kwiaty, a nawet wymieniać personel.

Do wejścia trzeba iść szybko, nie oglądając się na boki i nie zwracając uwagi na to, co dzieje się dookoła. Ta metoda dość często zawodzi. Nie pomaga nowa fryzura, inny kolor włosów czy zmiana stylu ubierania. Pracownicy mają dobre oko i świetną pamięć. Nawet po kilku miesiącach nieobecności potrafią rozpoznać i zatrzymać.

Znacznie lepiej jest wyczekać na odpowiedni moment. Portierzy mają sporo roboty, gdy podjedzie autokar z grupą turystów lub kilka samochodów osobowych. Wtedy można wejść najłatwiej. Gdy i to zawiedzie, można jeszcze spróbować „na szczerość". — Szukamy wujka — mówią wtedy lub wymyślają na poczekaniu naiwne historyjki o poszukiwaniu znajomego cudzoziemca. Nawet nie proponują pieniędzy za wejście. Portierowi nie opłaca się wpuszczać prostytutek za żadną cenę. Hotel, nawet największy, jest za mały, żeby układ z panienką dał się ukryć. Portierom nie opłaca się tracić dobrej opinii. Zupełnie legalnie mogą przecież zarobić, załatwiając gościowi taksówkę lub pozwalając na zaparkowanie samochodu w pobliżu wejścia. Krótki postój kosztuje sto czy dwieście złotych, gość musi mieć tylko przyzwoity samochód „Polonezem" lub „Fiatem" lepiej nie podjeżdżać. Dobrych wozów w Warszawie nie brakuje. Zawsze jest parę groszy do pensji.

Wejście to jeszcze nie wszystko. W hallu trzeba jeszcze ominąć kilku pracowników, którzy mogą panienkę poznać i zatrzymać. Błyskawiczne przejście do baru lub restauracji, to także jeszcze niepełny sukces. W ostatnim momencie, któryś z pracowników może szepnąć kelnerowi lub barmanowi, że „tej pani się nie podaje". Niektóre kupują jakoś swój tonik z lodem i kawę, ale kelnerzy mają już na nie oko, wypraszają przy pierwszej okazji. Każde wyjście poza teren baru jest dla panienki związane z ryzykiem. Po powrocie od gościa lub z toalety, wejście do baru lub restauracji może być zablokowane przez pracowników hotelu i panienka, chce czy nie chce, jest odprowadzana dyskretnie do drzwi wyjściowych.

— Hotel to nie klasztor — powiadają pracownicy — ale nie może być tu dom publiczny. — Kilka panienek w barze czy restauracji nie przeszkadza nikomu. Goście trochę więcej zamawiają i jest „atmosferka", ale gdy k... zajmują połowę miejsc, trzeba je gonić.

KONKURENCJA

Panienki na ogół znają się między sobą. Amatorki „cichodajki" nie są mile widziane. Bywa, że dochodzi do awantur o miejsce przy barze czy o „lepszy" stolik. Te sprawy załatwia się bez świadków. Najlepiej w toalecie lub w pobliżu hotelu. Prawo do przesiadywania w barze też trzeba sobie „wychodzić". Najlepiej, gdy te sprawy, „bojki", czyli przyjaciele, załatwią między sobą.

W oczekiwaniu na klientów dziewczyny opowiadają sobie najnowsze plotki. Specjalnie się nie krępują. Trzeba być głuchym, żeby nie usłyszeć czegoś o ostatnim kliencie, o kradzieżach, przewałkach i numerach. Milkną, gdy do baru zagląda któryś z pracowników hotelu lub wchodzi jakiś gość. Nie wolno stracić okazji. Te najładniejsze nie muszą długo czekać, ale takich jest niewiele. Większość cierpliwie wyczekuje, aż gość wypije swoje Wtedy łatwiej go „odprowadzić". Na początku wieczoru można jeszcze się podroczyć z jakimś amatorem „pięknych dziewczyn" ale im później, tym kryteria wyboru się obniżają. Te panienki, które decydują się na „numer", łapią kogo się da.

Trzydziesto-, trzydziestopięciolatki nie mają wielkiego wzięcia. W centrum zainteresowania gości są młode dziewczyny. Bywa, że łapią i trzech klientów w ciągu wieczoru. Jeśli gość mieszka w hotelu, a panienka jest „z miasta", zaczynają się — szczególnie gdy jest po 22 — perypetie z wjazdem na górę, do pokoju Udaje się tylko niektórym, bo pracownicy hotelu czuwają, ale gra jest warta świeczki. Idzie się wtedy na całą noc. Można znacznie więcej wyciągnąć z gościa.

Jeśli panienka mieszka w hotelu, stara się rozpocząć polowanie na klientów jak najwcześniej. Do godziny 22 może gościć u siebie w pokoju kogo jej się żywnie podoba. Nic dziwnego, że małolatki od godziny 18 do 22 potrafią obrócić trzy, a nawet cztery razy.

Starsze prostytutki dają sobie radę inaczej. Przed południem, gdy niektórzy goście siedzą w barze czy restauracji, podpatrują numery pokojów (jeśli ktoś ma klucz na wierzchu) i wieczorem dzwonią, oferując swoje towarzystwo. Metoda jest niezła W ten sposób można złapać gościa nawet i na kilka dni.

Gość „na dłużej" jest marzeniem wszystkich panienek z hotelu. Taki gość oznacza dobre pieniądze, prezenty, czasem atrakcyjny wyjazd w Polskę, no i perspektywy W najgorszym razie za jakiś czas zgłosi się jego kolega. Lepiej, gdy on sam podczas powtórnego pobytu w Polsce zadzwoni. Jeszcze lepiej, gdy zdecyduje się na „polską utrzymankę". Dziewczyna ma wtedy zapewnione mieszkanie, niezły samochód i znacznie lepszy start niż koleżanki. Może zarobić więcej.

Są takie panienki, które umiejętnie korzystając z okazji, dorobiły się własnych domów, szklarni lub sklepów i luksusowych samochodów. Wpadają czasem do hotelu i choć kapią od złota a ich kreacje są nieosiągalne nawet dla lepiej niż przeciętnie zarabiającej Polki, są traktowane w podobny sposób jak inne panienki. Muszą stosować wszystkie chwyty przy wejściu, tak samo jak ich mniej zasobne koleżanki. Portierzy nie stosują taryfy ulgowej Te najbogatsze starają się odgrywać damy. Zachowują się nienagannie. Wtrącają obcojęzyczne słówka i z uśmiechem podejmują każdą konwersację.

Cała ta gra prowadzona jest jednak bardziej dla ich własnego dobrego samopoczucia niż dla jakiegoś efektu Portierom takie zachowanie nie imponuje, bo i tak wiedzą z kim mają do czynienia, a większość gości na to nie zwraca uwagi.

TAAAKIE ŻYCIE...

Gdy panienki są „na fali", gdy chociaż przez kilka dni jest względny spokój, to znaczy są klienci i nie ma awantur, lubią opowiadać o tym, ile zarabiają, co i gdzie jedzą, jak mieszkają. Dobry nastrój pryska, gdy okaże się, że gość był zarażony, że opiekun ma o coś pretensję lub przy próbie wejścia do hotelu pracownicy zamkną drzwi przed nosem. Wtedy jest niedobrze. Jadą gdzieś w Polskę, próbują coś robić, ale tylko nieliczne potrafią wyplątać się ze swojego układu. Nieliczne mają szanse na karierę call-girl w dobrym wydaniu. Brakuje im ogłady, wykształcenia i znajomości języków. Zdarza się, że niektóre z nich wychodzą za mąż. Nikną gdzieś wtedy w Polsce powiatowej, wolą być jak najdalej od Warszawy i od hotelu. Większość kończy w ludzkim śmietniku. Na miejsce tych, które wypadają, co roku, najczęściej latem lub jesienią, przychodzą nowe.

(„EXPRESS WIECZORNY-KULISY" Z 17 WRZEŚNIA 1983 r.)